

Neville Randall „Życie po śmierci”

Wstęp

Pewnego chłodnego szarego popołudnia, dwudziestego stycznia 1966 roku, znalazłem się na zachodnim przedmieściu Londynu, w Acton, pomiędzy rzędami identycznych domków z cegły. Moja gazeta zamówiła u mnie wywiad z Eną Twigg, która cieszyła się sławą jednego z najlepszych mediów w Wielkiej Brytanii.

Po godzinie odpowiadania na moje pytania przerwała, aby zrobić herbatę. Nagle dobiegające z kuchni odgłosy brzęku filiżanek zagłuszył podniesiony głos pani Twigg. Najwyraźniej prowadziła ożywioną rozmowę.

Dałbym głowę, że poza nami nie ma w domu nikogo więcej. Kiedy wróciła z tacą, zapytałem ją, czy miała gościa.

- Właśnie przybyła pańska matka - oświadczyła. - Chce z panem rozmawiać.

Moja matka umarła na raka niemal dokładnie rok temu. - Ona mówi - oznajmiła pani Twigg - że byliście sobie bardzo bliscy. Stoi tuż za panem.

Obejrzałem się nerwowo. Nikogo nie zobaczyłem.

- Klepie pana po ramieniu - kontynuowała pani Twigg. - A teraz całuje w czoło.

Nic nie czułem.

Posypała się lawina informacji dotyczących mojej matki, mnie, mojej rodziny. Niemal wszystko się zgadzało. Potem pani Twigg rzekła:

- Przyproceedziła pańskiego teścia, którego dobrze zna i bardzo lubi.

Mój teść, Holender, zmarł w swojej ojczyźnie trzy tygodnie po mej matce, również na raka.

- Ona twierdzi, że w tym małym domku powstanie wielkie dzieło.

Patrzyłem bez zrozumienia. - Pojedzie pan do Worthing.

Nigdy tam nie byłem i wcale się nie wybierałem.

- Tylko pan w tej rodzinie zajmuje się pisaniem. Nadzwyczaj ciekawi ich ta książka.

Kilka minut później oznajmiła, że mój teść chce ze mną rozmawiać.

- Wejdzie pan w posiadanie uroczego zegara. - Po chwili dodała: - Będzie pan przemawiał w imieniu ogromnej rzeszy ludzi z niewidzialnego świata. Pańskie pióro utrwali rzeczy wielkie i niezapomniane. Będzie miał pan własne biuro. Ciche i spokojne.

Wieczorem, gdy dzieci położyły się już do łóżek, wraz z żoną przejrzałem zapiski z tej dziwnej, jednostronnej rozmowy. Większość stwierdzeń można było bez trudu sprawdzić. Rzeczywiście marzyłem o własnym biurze. Jak dotąd musiałem je dzielić z jeszcze jednym dziennikarzem i sekretarką. Nie slysziałem jednak o żadnych planach przeniesienia mnie.

- Mam! - zawołała żona. - W Holandii to samo słowo oznacza "gabinet" i "biuro".

Po śmierci mej matki żona zamieniła jej mały pokoik w gabinet, gdzie mogłem spokojnie pracować.

Materiały do książki wyglądały zachęcająco. Seria napisanych przeze mnie artykułów na temat życia po śmierci została opublikowana w formie broszury. Planowałem opracować je od nowa i ułożyć w niewielką książkę.

Zegar i wyprawa do Worthing pozostawały tajemnicą. W kwietniu umarła moja teściowa. Razem z żoną zamówiliśmy wizytę u Eny Twigg, aby się przekonać, czy teściowa ją odwiedzi.

Przyszła. Moja matka również.

- Zaczęła książkę - odezwała się. - Ale nie tę. Inną. Pomozemy ci przy niej.

Nadal zajmowałem się przeredagowywaniem broszury, dałem już nawet swemu agentowi kilka próbnych rozdziałów, aby szukał wydawcy. Nikt jednak nie był zainteresowany, więc porzuciłem tę pracę. Notatki z obydwu seansów zostały skatalogowane i zapomniane.

W 1971 roku pojechaliśmy z żoną do jej siostry mieszkającej w Zeist w Holandii, aby odebrać kilka rodzinnych pamiątek, wśród których znajdowały się między innymi dwa rodzinne portrety i siedemnastowieczny zegar.

Na początku 1972 roku odwiedził mnie George Woods, badacz psychiki ludzkiej (parapsycholog). Gościłem u niego w Brighton w 1960 roku, gdy zbierałem materiały do artykułów na temat życia po śmierci. Prezentował mi taśmy magnetofonowe z bezpośrednim zapisem wypowiedzi zmarłego w 1945 roku Cosmo Langa, arcybiskupa Canterbury - przemawiającego głosem medium Leslie Flinta.

W 1969 roku jeszcze raz odwiedziłem George'a Woodsa, przy okazji pisania artykułu o wciąż rosnącej kolekcji jego taśm. W 1972 roku Woods zaproponował mi napisanie na podstawie całego zbioru książki o tym, co nas czeka po śmierci. Nie musiałem jechać daleko. Przeprowadził się z Brighton kilka mil dalej. Do Worthing.

To tyle na temat początków tej książki. Mój udział w niej jest niewielki. Większość pracy wykonał Woods oraz jego współpracownica Betty Greene. I w tej książce, i w ich życiowym przedsięwzięciu jestem tylko ostatnim ogniwem łańcuszka rozpoczynającego się w świecie niewidzialnym. Jestem tylko ustami.

Historia Alfa Pritchetta

Rok 1960. Czwarty listopada. Mroczny pokój w londyńskim mieszkaniu. Dwaj mężczyźni i kobieta siedzą nieruchomo. Tak już od pięciu lat w każdy poniedziałkowy ranek. Czekaają na kogoś, kto przyjmie zaproszenie, aby zrelacjonować doświadczenia, których na świecie nie posiadał nikt, a które pewnego dnia staną się dostępne wszystkim.

Gruby, zachrypły głos z akcentem charakterystycznym dla londyńskiej biedoty przerwał ciszę. Magnetofon został włączony. Głos zaczął opisywać przeżycia samotnego żołnierza w błotnistym okopie Flandrii podczas piekła zwanego Wielką Wojną, przed czterdziestoma sześcioma laty.

- Byłem tylko zwykłym człowiekiem - mówił głos. - I dla większości to, co miałem do powiedzenia, nie miało żadnego znaczenia.

- Jak się pan nazywa? - zapytała kobieta.

- Och, moje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy - odparł. - Nazywam się Pritchett. Alf Pritchett. To naprawdę nieistotne.

Musiał być jakiś 1917 lub 1918 rok. Sam już nie jestem pewien, minęło tyle czasu. Praktycznie cały dzień znajdowaliśmy się pod ostrzałem artylerii.

Uznałem w duchu, że jeżeli uda nam się przetrwać, to będzie szczęście. Wczesnym rankiem otrzymaliśmy rozkaz wyjścia z okopów. "A niech tam", pomyślałem. Tylko na to mogłem się zdobyć. Biegłem przed siebie. Jacyś Niemcy pędzili w moją stronę, jakby mnie wcale nie widzieli! "O Boże, już po mnie", przeleciało mi przez myśl. Oni jednak zamiast mnie zaatakować lub w jakikolwiek inny sposób zainteresować się mną, po prostu mnie minęli. "Dobry Boże! Co to ma znaczyć?", głowiłem się. Pamiętam, że biegłem do utraty tchu.

Wreszcie postanowiłem: "No cóż, skoro mnie nie zauważyli, to naprawdę nie będę się tym przejmował. Schowam się w leju po bombie". Pamiętam, że zaszyłem się w jakiejś wyrwie, skuliłem i postanowiłem przeczekać zawieruchę. "W najgorszym razie mogę zostać wzięty do niewoli. Kto wie, może tak byłoby lepiej?", zastanawiałem się. Gdy tak leżałem przyciśnięty do ziemi, kołatały mi się po głowie różne myśli: "Piekielnie dziwne, że mnie nie widzieli. Przecież musieli mnie zauważyć. A mimo to minęli mnie". Nie wiem, jak długo tam się kryłem. W każdym razie musiałem chyba zasnąć, bo kiedy się ocknąłem, ujrzałem przed sobą intensywnie jasne światło.

Skąd się tam wzięło? Takiego światła jeszcze nigdy nie widziałem. Jakby świeciło ze wszystkich stron. Blask był olśniewający. "To nic takiego", pomyślałem, "taka gra światła". Miałem przywidzenia.

Potem nagle wyłoniła się jakaś postać. Przybrała ona ludzkie kształty. Z każdą chwilą wyraźniejsze. Spocłem się do suchej nitki. Był to mój stary bliski przyjaciel, który został zabity przed kilkoma miesiącami. Nazywał się Smart. Billy Smart. Wołaliśmy na niego "Ole Bill". Wpatrywaliśmy się w siebie jak zahipnotyzowani.

Wziąłem się jednak w garść. Uświadomiłem sobie, że czas wstawać. Leżałem prawdopodobnie całą noc, cały dzień i noc. Powinienem czuć się sztywny i ociężały. Ale nic z tego. Byłem lekki jak piórko. "Coś musiało mi się stać w głowę. Chyba się uderzyłem... .."

W każdym razie, ciągnięty jakąś magnetyczną siłą, ruszyłem w stronę Billa. Gdy zbliżyłem się trochę bardziej, spostrzegłem, że jest pełen sił witalnych, wprost tryska zdrowiem. I wtedy nagle olśniło mnie, że przecież on umarł!

Na początku wcale tak o nim nie myślałem, chociaż przypominałem sobie, że zginął kilka miesięcy temu. Tak czy inaczej, ciągnęło mnie do niego. On się uśmiechnął, więc pomyślałem, że powinienem odwzajemnić się tym samym. Wyciągnął do mnie rękę. Poczulem się lekko zakłopotany, wypadało uściskać mu dłoń, lecz głupio witać się z umarłakiem! Zlany zimnym potem, gorączkowo myślałem: "O co tu chodzi? To chyba jakiś sen".

"W porządku, nie masz się czym przejmować. Nic nie jest, stary. Chodź" - przemówił do mnie Ole Bill.

"Cholernie głupio", stwierdziłem w duchu. "Coś tu nie gra".

Koniec końców uściskałem mu dłoń i nagle zawładnęło mną dziwne uczucie lekkości. Zanim się spostrzegłem, z jego dłonią w swojej zacząłem unosić się w powietrzu. Przypomniał mi się Piotruś Pan. "Zabawny sen", myślałem.

Nie potrafię powiedzieć dokładnie, na czym to polegało, ale unosiłem się. Moje stopy oderwały się od ziemi, a ja byłem coraz wyżej i wyżej, wszystko stawało

się coraz bardziej odległe. Widziałem z góry pole bitwy, działa, wybuchy. Najwyraźniej wojna trwała nadal. "To bardzo osobliwy sen", zawyrokowałem.

Następnie w zasięgu wzroku pojawiło się coś, co przypominało wielkie miasto. Było rozświetlone. Tylko to określenie przychodzi mi do głowy. Budynki emanowały blaskiem. Nagle znów poczułem grunt pod stopami. Bardzo dziwne. Czulem się pewnie. Przypominam sobie spacer po czymś w rodzaju długiej alei, między szpalerami przepięknych drzew, z których każde wydawało się wymodelowane. Po deptaku przechadzali się ludzie odziani w niezwykle stroje. Wyglądali jak Rzymianie lub Grecy, żywcem przeniesieni z rzeźb i obrazów. Widziałem też piękne budowle z kolumnami i szerokimi schodami. Przeważnie o płaskich dachach. Nie zauważyłem typowo angielskich dachów. Wyglądało to na styl kontynentalny. Właśnie z nich bił ten blask. Spotkałem tam mnóstwo ludzi, widziałem dużo koni.

"Oczywiście" - zwrócił się do mnie Bill - wiesz, co ci się stało".

"Niby co się miało stać? Wiem tylko, że mi się tu podoba! Wolę być tu niż tam na dole. Przykro mi będzie się obudzić".

"Nie przejmuj się - zapewnił. - To ci nie grozi". "Jak to, nie obudzę się?"

"Masz to już za sobą, kolego".

"Co mam za sobą?"

"Śmierć. Umarłeś".

"Nie wygłupiaj się - obruszyłem się. - Jak mogłem umrzeć? Przecież tu jestem. Wszystko widzę. Widzę ciebie. Chociaż wiem, że kilka miesięcy temu umarłeś. Zastrzelili cię. Ale jak to... Sam nie wiem. Ty sobie mogłeś umrzeć, ale ja tylko śnić".

"Nie śniesz - zapewnił. - Naprawdę umarłeś. Zginąłeś w bitwie".

"Bzdury - zachnąłem się. - Przecież to niemożliwe. Nie byłoby mnie tutaj".

"Ano właśnie. Jesteś tutaj, bo umarłeś".

"Co takiego? Nie chcesz chyba powiedzieć, że to jest niebo?"

"No, niezupełnie niebo - powiedział powoli -lecz pewna jego odmiana".

"Odmiana? Jak mam to rozumieć?" I wtedy nagle mnie olśniło.

Żeby już nie przedłużać opowieści, powiem tylko, że poszliśmy tą uroczą drogą wiodącą przez piękne miasto i dotarliśmy do jakiegoś wzgórza. Przed sobą, po prawej stronie, zauważyłem coś, co przypominało budynek. Wspaniała budynek. Jak by tu go opisać? Podobny widziałem w londyńskim City. Tylko ten był bielszy i okazalszy.

"Co to za miejsce?", zapytałem.

"No cóż, idziesz teraz na spotkanie ze starymi przyjaciółmi - zapowiedział. - Nazywamy to ośrodkiem przyjęć".

"Jak?"

"To rodzaj szpitala".

"Nie chcę iść do szpitala. Nic mi nie jest. Czuję się znakomicie. Poza tym nie wiem co jest grane".

"Nie martw się - uspokoił mnie. - Nie przemęczaj umysłu. Wszystko w swoim czasie. Odpręż się. Czeka cię dobra zabawa".

"Przecież jestem zadowolony. Ładniej tu niż na dole".

Ruszyliśmy do nowego miejsca. Ujrzałem tam tłumy ludzi. Najbardziej uderzyło mnie to, że wszyscy byli normalnie ubrani, w garnitury i tego typu rzeczy...

Nie przypominam sobie, że bym widział słońce, ale zewsząd dochodziło mnóstwo światła. W budynku były duże okna. W środku przy stolikach siedzieli ludzie i gawędzili. Nie dostrzegłem żadnych łóżek i pomyślałem, że to dziwny szpital, jeśli w ogóle szpital.

Każdy wydawał się serdeczny i ożywiony. Zwróciłem uwagę na to, że jedni rozmawiają, a drudzy jedzą i piją. "I tu go mam, ucieszyłem się." Mówił, że jesteśmy w pewnej postaci nieba, a tam chyba nikt nie powinien jeść".

"Patrz, Bill. Przecież oni jedzą!" - zagadnąłem przyjaciela. "Nie rozumiesz jeszcze, że gdy tu przybywasz, czujesz konieczność wykonywania pewnych czynności. Jeśli uważasz, że musisz jeść i pić, to po prostu to robisz".

Przysiadłem się do stolika, przy którym siedziała grupka ludzi.

"Nowo przybyły?" - zapytali. "Tak".

"Słyszeliśmy, że masz się zjawić" - rzucił któryś.

"Jak to? Słyszeliście, że mam przybyć? Przecież nawet mnie nie znacie".

"Tylko tak ci się wydaje - rzekł. - Mamy tu swoich zwiadowców. Pomocników. Mnie pomagano w ten sam sposób. Też jestem tu od niedawna".

"O, dopiero co się osiedliłeś?"

"Tak. Fajnie tu. O wiele lepiej, niż mówiono nam tam, na dole, prawda?"

"Co masz na myśli?"

"No wiesz, jak to się tam na dole rozprawia o piekle, niebie... Tak. Wszyscy się myślą".

"Cóż, na to wygląda" - odparłem z namysłem.

"Te opowieści, że jak jesteś bardzo dobry, to idziesz do góry na najwyższe piętro, a jak masz wiele na sumieniu, to trafiasz na dół, do starej piwnicy. Wszyscy tam się myślą, kolego. Tutaj jesteśmy tacy sami, jak byliśmy, tylko lepsi. W pełni szczęśliwi. Jutro stąd wychodzę" - zakończył radośnie mój rozmówca.

"Co takiego? Dokąd się wybierasz?"

"Idę na spotkanie z babcią i dziadkiem" - wyjaśnił.

Pomyślałem sobie, że lepiej, jeśli będę mówił tym samym językiem. Skoro już tu jestem...

"Tak? A gdzie oni są?" - zainteresowałem się.

"Podobno na tej samej płaszczyźnie, bo tak to miejsce tutaj nazywają, tylko trochę dalej. Zaprowadzą mnie do nich".

"Fajnie. Kto?" "Mój przewodnik". "Przewodnik?"

"Tak. Niezły gość. Można by go nazwać stewardem. Dowiedział się co nieco o moim pochodzeniu i rodzinie. I dostał zadanie eskortowania mnie. A tak przy okazji, czy zauważyłeś, jakle to dziwne uczucie znaleźć się tutaj? Też czułeś się taki lekki? Miałeś wrażenie, że lecisz?"

"Tak, to niesamowity stan".

"W ten sposób się poruszamy. Nie musimy chodzić. Chyba niektórzy mogliby to nazwać lataniem. Zdaje się, że to ci się spodobało".

"A co jeszcze możemy robić? - zapytałem. - Podobno umarliśmy. Po śmierci pozostaje nam wypełniać polecenia. I zachowywać się bez zarzutu. W gruncie rzeczy nigdy me wiadomo, kto będzie nas sądził".

"Eee, nikt cię nie będzie sądził - zapewnił. - Z tego, co się zorientowałem, sam siebie osądzasz. Odkąd tu przybyłem, stale wracam myślami do przeszłości, zastanawiam się nad wieloma rzeczami, analizuję swoje postępowanie. Osądzasz sam Siebie. Przecież to twoje własne sumienie. Ja mam swoje ty swoje. Wszyscy je mamy".

"Z tego, co pamiętam - wyznałem - moim jedynym naprawdę złym uczynkiem było utopienie kota. Aha, i kiedyś jeszcze nie zapłaciłem za kufel piwa, bo był tłok, barman zapomniał, a ja sam się nie paliłem do wyciągania pieniędzy. Ale to chyba nie przestępstwo".

"Wszystko się ułoży. Nie martw się".

"Chciałbym wrócić i zobaczyć się z rodziną" - rozmarzyłem się. - Ciekawe, jak sobie radzą i czy słyszeli o mojej śmierci".

"To się da jakoś załatwić. Ci, co są tutaj zatrudnieni, gotowi są ci w tym pomóc. Tylko, że to może być przykre. Nikt na dole cię nie zobaczy. I co wtedy? Zapukasz do drzwi swego domu? Odwiedzisz pastora, który i tak cię nie spostrzeże, bo jest ślepy jak nietoperz?"

W końcu przyszedł po mnie przyjaciel, z którym tu przybyłem. Chciał mi coś pokazać.

"Nie ma sprawy" - odparłem i poszedłem za nim. Szliśmy w dół ulicy, mijając wystawne domy z niewielkimi balkonami i wspaniałymi kwiatami. Na końcu ulicy znajdował się duży plac. Pośrodku tryskała fontanna. Usłyszałem muzykę. Cudowną, porywającą. "To naprawdę przyjemne", pomyślałem. Przypomniły mi się stare czasy, gdy siadywałem w parku i słuchałem orkiestry.

Usiedliśmy na małej ławeczce pod rozłożystym drzewem. "To cię odpręży - odezwał się Bill. - Posiedź sobie tutaj, a ja za chwilę wrócę".

Opuściłem powieki i wtopiłem się w muzykę. Wtem odniosłem wrażenie, że ktoś się do mnie przysiadł. Otworzyłem oczy i ujrzałem obok przepiękną kobietę. Miała blond włosy, wyglądała na jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Byłem całkowicie zaskoczony.

Odezwała się do mnie po imieniu.

"Zabawne, pomyślałem. "Przecież ja jej nie znam!" "Bardzo tu przyjemnie, prawda?"

"Tak - potwierdziłem. - Dziękuję pani".

"Nie musisz zwracać się do mnie tak formalnie. Nie znasz mnie? Nazywam się Lilly".

"Lilly? Nie znam żadnej Lilly".

"Jestem twoją siostrą. Umarłam, gdy byłam dzieckiem". "Zgadza się! - wykrzyknąłem. - Pamiętam, jak matka opowiadała mi o małej siostrzyczce, która umarła w kilka dni po urodzeniu. Ale to nie możesz być ty. Ty jesteś dorosła".

"To prawda - odrzekła. - Jestem twoją siostrą. Umarłam jako dziecko i dorastałam tutaj".

"No cóż, aż trudno w to uwierzyć!"

"Będę się tobą opiekować. Chciałabym zabrać cię do domu".

"Do domu?" - powtórzyłem z niedowierzaniem. "Owszem. Do domu".

"Och!" - jęknąłem.

Zabrała mnie na szeroką, porośniętą drzewami aleję. Wspięliśmy się na górkę, a potem zeszliśmy w dół - przed nami rozciągał się wiejski krajobraz. Po jakimś czasie dotarliśmy do małego, typowego

angielskiego domku. Ujrzałem niewielką bramę, przydomowy ogródek, werandę i mnóstwo wspaniałych kwiatów.

Weszliśmy do środka. Mały korytarz prowadził do pokoiku.

Robił wrażenie przytulnego i wygodnego. Brakowało kominka.

"Nie widzę kominka ani pieca" - zauważyłem.

"Nie potrzeba nam pieców ani kominków, bo zawsze jest ciepło i przyjemnie".

"Czy tu nigdy nie pada deszcz?" "Nie, czasami jest tylko rosa".

Usiedliśmy i rozmawialiśmy o matce, ojcu i bracie, którzy nadal żyją na ziemi. Lilly mówiła, że często ich widuje, tak samo jak niegdyś mnie. Nie opuszczała mnie przez wszystkie lata wojny. Nie była ze mną w godzinie śmierci, ale wiedziała, że mam przybyć, i wszystko dla mnie przygotowała.

"Miło z jej strony", pomyślałem, ale zaraz się zreflektowałem: "Sam nie wiem, wszystko jest takie dziwne". Niemniej zostałem z siostrą. Może przybędę jeszcze innym razem i opowiem więcej. Słyszę, że mój czas dobiega końca. Muszę iść. Pa, pa.

Głos umilkł i zapanowała cisza. Skąd dochodził? Czy to rzeczywiście mógł być głos żołnierza zabitego podczas pierwszej wojny światowej?

Istnieją zapiski o każdym brytyjskim żołnierzu poległym podczas wojny. Znajdują się pod pieczęcią Komisji Pochówków Wojennych w Maidenhead, w Berkshire.

Pritchett nie należy do popularnych nazwisk. W kartotece znajdują się teczki tylko czterech żołnierzy o tym nazwisku. Jednym z nich był żołnierz Korpusu Dział Maszynowych A. Pritchett. Poległ w 1917 roku. Pochowano go na cmentarzu Potijze Chateau, milę od Ypres.

Czy to on opowiedział historię własnej śmierci? Dał jeszcze jedną wskazówkę. Nazwisko swego przyjaciela i przewodnika. Billy Smart. Według Pritchetta został zabity kilka miesięcy wcześniej.

Smart to popularne nazwisko w armii brytyjskiej. Podczas pierwszej wojny światowej poległy setki Smartów i wiele z nich nosiło chrześcijańskie imię William. Lecz tylko jeden pasował do opisu Pritchetta. William Smart, również Korpus Dział Maszynowych. Zabity w 1916 roku nie opodal Arras.

Historia Pritchetta jest jedną z pięciuset zarejestrowanych na taśmach przez George'a Woodsa i Berty Greene w Worthing za pośrednictwem głosu medium - Leslie Flinta. To tylko jedna z biblioteki pięciuset relacji nagranych w celu przekazania nam wiedzy o tym, co się dzieje po śmierci.

Trzy lata przed śmiercią Alfa Pritchetta, na początku sierpnia 1914 roku, George Woods popłynął do Francji jako żołnierz brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego. Miał dwadzieścia lat. Był wrażliwym chłopcem, synem właściciela ziemskiego. Ojciec George'a utykał od czasu, gdy koń przygniótł mu nogę i zmiażdżył kość. Była to niezwykle religijna rodzina. Młodego Woodsa ogarniało przerażenie na myśl o zabijaniu kogokolwiek, a zaciągnął się tylko na życzenie ojca. Wziął udział w krwawej bitwie znanej z podręczników historii jako ofensywa pod Mons.

Przy przewadze armii cesarza zostali zdziesiątkowani. Pod koniec pierwszej bitwy pod Ypres

w niektórych batalionach z tysiąca żołnierzy pozostał jeden oficer i trzydziestu ludzi. Woods nigdy nie zapomniał tego przeżycia. Zwłaszcza jeden epizod poruszył go do żywego. Jego śmiertelnie ranny kolega złożył ręce i szeptem zapytał:

- Co się ze mną stanie? Czy istnieje życie po śmierci?

- Istnieje - odparł z przekonaniem, którego wcale nie miał.

Żołnierz umarł. Woods zadał to pytanie kapelanowi.

- Co się dzieje z tymi wszystkimi biedakami, którzy polegli?

- Musimy wierzyć w słowa Biblii - odparł kapelan.

- Czy ktokolwiek wrócił i udowodnił, że istnieje życie po śmierci? - zapytał Woods.

- Nie, nikt - rzekł ksiądz. - Z wyjątkiem Jezusa.

Woodsowi dopisało szczęście. W 1915 roku został ranny w głowę i oślepl. Po sześciu miesiącach w szpitalu odzyskał widzenie w prawym oku. Na lewe nie przejrzał już nigdy. Nazwali go Ślepy.

Został zwolniony do cywila. W 1916 roku powrócił do domu, by pomagać ojcu prowadzić nową posiadłość czterystuakrową farmę w Hardwicke w pobliżu Aylesbury w Buckinghamshire. Miał jednak większe ambicje: chciał znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nie potrafił rozstrzygnąć kapelan. Co się z nami dzieje, gdy umieramy? Całe lata dwudzieste i sporą część trzydziestych zajęły mu próby uzyskania od różnych odłamów Kościoła chrześcijańskiego satysfakcjonującego, popartego dowodami wyjaśnienia dręczącej go kwestii. Nie udało mu się. Lata trzydzieste dobiegały końca. Ojciec umarł. George nie dawał sobie rady z uprawą ziemi. Wraz z żoną i synem Nigelem, który przechodził rekonwalescencję po zapaleniu opon mózgowych, przeprowadził się do Croydon znajdującego się na południowych przedmieściach Londynu. Pewnego razu, przechodząc obok nowoczesnego budynku z czerwonej cegły, zauważył napis: "Chodź i posłuchaj, jak przemawiają zmarli".

W następną niedzielę poszedł tam i zajął nierzucające się w oczy miejsce blisko drzwi. Był to jego pierwszy kontakt ze spirytualizmem.

Wszystko wskazywało na to, że miał się odbyć mało interesujący pokaz jasnowidzenia. Już miał ochotę się wymknąć, kiedy zagadnęła go kobieta pełniąca funkcję gospodyni: - Chcę się zwrócić do tego dżentelmena z tyłu.

Z przerażeniem i zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że to jego ma na myśli.

- Jest tu pański ojciec - zaczęła. Wymieniła imię i nazwisko: William Woods. Kaleka. Podczas pobytu na ziemi zdarzył mu się wypadek. Twierdzi, że chce rozmawiać ze swym synem George'em. - Mówi, że mieszkał pan w Hardwicke. Niepokoi się też o pańskiego syna Nigela, który powinien wcześniej chodzić spać, bo inaczej może mieć nawrót choroby.

Woods osłupiał. Czy to jakaś sztuczka? Skąd kobieta, której nigdy nie widział na oczy, może posiadać takie informacje? Czy to możliwe, aby ojciec przyszedł z zaświatów odpowiedzieć na jego pytanie? Był zdezorientowany. Podczas powrotu do domu nie mógł myśleć o niczym innym. Po raz pierwszy rzeczywiście miał nad czym pracować.

Wstąpienie do Towarzystwa Badań Parapsychologicznych umożliwiło nadanie jego poszukiwaniom nowego kierunku i wymiaru. Tam też spotkał człowieka, który pomógł mu wytyczyć kurs na niezmiernych wodach parapsychologii.

Wielebny Drayton Thomas był duchownym w kościele metodystów i dołączył do grupy jasnowidzów, którzy, mimo sprzeciwów ortodoksyjnych chrześcijan, zjednoczyli się, by razem czegoś dokonać. Co prawda jeszcze dokładnie nie wiedzieli, co chcą zdziałać. Na początek wyszli z założenia, że skoro liczące tysiąc dziewięćset lat zapiski o zmartwychwstaniu Chrystusa straciły moc przekonywania, to należy skupić siły na znalezieniu dowodów na istnienie możliwości komunikowania się ze zmarłymi we współczesności.

Taki był cel nadrzędny. W dzisiejszych czasach rozwijające się Kościelne Stowarzyszenie Studiów Parapsychologicznych i Spirytualistycznych organizuje seanse przy poparciu biskupów Kościoła Anglikańskiego i Metodystycznego. W 1945 roku arcybiskup Lang zmienił swój stosunek do spirytualizmu i poszukiwanie kontaktów ze zmarłymi uznane zostało za dzieło szatana. Drayton Thomas zapoznał Woodsa z najlepszym w Wielkiej Brytanii medium ściągającym głosy.

Mówiło się, że Leslie Flint obdarzony jest dziwnym i rzadkim darem - zdolnością przyciągania duchów ludzkich istot, które zmarły i przeniosły się w inny świat egzystencji, oraz że posiadał umiejętność dostarczania im substancji zwanej ektoplazmą, którą wyciągają z jego ciała i ciała uczestników seansu w celu uformowania repliki narządów głosu - swego rodzaju "przekaznika" lub eterycznego mikrofonu...

Dzięki temu zjawisku, jak Woods się dowiedział, duch mógł wyrażać swe myśli z wysokości trzech stóp ponad głową medium. Dzięki procesowi nie wyjaśnionemu przez żadnego z żyjących naukowców, wytwarzał drgania pozwalające mu mówić głosem bardzo podobnym do ziemskiego - jak przez telefon.

Woods wziął udział w sesji. Przemawiało do niego kilka głosów podających się za zmarłych krewnych. Barwa tych głosów i podawane przez nie informacje utwierdziły Woodsa w przekonaniu, że są autentyczne.

Znalazł odpowiedź na swoje pytanie. Wydawało się, że jego misja dobiega końca. W gruncie rzeczy był to dopiero początek.

Nagrania

Kontakty ze zmarłymi nadal budzą kontrowersje. Ci, którzy uważają, że śmierć jest końcem, nazywają je kuglarskimi sztuczkami. Ortodoksyjni chrześcijanie uznają je za dzieło diabła. Zajmujący się parapsychologią naukowcy, którzy przekonali się, że prawdziwość kontaktów ze zmarłymi zależy od ich przebiegu, dzielą media na dwa zasadnicze typy - umysłowe i fizyczne.

Media umysłowe nie należą do rzadkości. Obdarzone są zdolnością jasnowidzenia - widzenia duchów niedostrzegalnych dla normalnych ludzi, lub jasnosłyszeniem - darem słyszenia głosów duchów, na które zamknięte są uszy zwykłych śmiertelników. Ci, którzy mają na koncie najwięcej osiągnięć, jak na przykład Ena Twigg, łączą w sobie te zdolności. Medium utrzymuje, że widzi lub słyszy informacje pochodzące od ducha - niewidzialne lub niesłyszalne dla uczestników

seansu - i tłumaczy je własnym głosem. Rzetelność informacji zależy od umiejętności interpretacyjnych medium.

Mediumizm fizyczny należy do zjawisk rzadszych; nie daje pola do interpretacji. Medium ani nie słyszy, ani nie widzi. Nie doznaje żadnych wrażeń i nie potrzebuje otwierać ust. Może działać jako pasywny widz lub w uśpieniu. Jedyne udział medium to przekazywanie nieograniczonej ilości substancji lub siły życiowej zwanej ektoplazmą, którą w mniejszym lub większym stopniu obdarzona jest każda ludzka istota.

Robione na seansach zdjęcia w podczerwieni ukazują zwoje ektoplazmy emitowane od medium i, w mniejszym zakresie, od uczestników sesji, łączące się w kształt przypominający kulę mgły znajdującą się kilka stóp ponad głową medium. To właśnie nazywane jest "przekaznikiem" i uchodzi za replikę ludzkich narządów głosu. Duch "nadawca" na niskich częstotliwościach przesyła myśli do "przekaznika". W sposób nie wytłumaczony przez naukę zamieniają się one w skuteczną imitację głosu, którym duch władał na ziemi.

Teoria ta wyjaśniona została przez pragnące nawiązać kontakt duchy, które - nie bez trudu - mogą w ten sposób porozumiewać się ze światem ziemskim. Opisanie sposobu stosowania praktycznych testów do oceny tego zjawiska zajmiemy się później.

Do 1945 roku, kiedy to George Woods po raz pierwszy wziął udział w sesji z Flintem, głosy z zaświatów słyszane były przez nielicznych. Wnioski wyciągano jedynie na podstawie zapamiętanych przez uczestników sesji opowieści głosów lub robionych w ciemności notatek. Jedynie wąskie grono ludzi nie podchodziło do tego zjawiska z niedowierzaniem lub sceptycyzmem.

Po wojnie nastąpiły zasadnicze zmiany. Przyniósł je wynalazek będący dla parapsychologii tym, czym prasa Caxtona dla rozpowszechnienia książek - przenośny magnetofon.

Woodsowi udało się zdobyć jeden z wcześniejszych modeli. Zaczął zabierać go na sesje. Po raz pierwszy był w stanie zarejestrować całą wypowiedź głosu i odtworzyć przyjaciółom, którzy słyszeli ją tak wyraźnie, jakby siedzieli obok medium.

Flint znajdował się właśnie u szczytu formy. Jednak niewiele osób spoza kręgów spirytualistów wiedziało o jego istnieniu przed opublikowaniem w 1971 roku nakładem Macmillan and Co. Ltd. jego autobiografii pod tytułem *Voices in the Dark* ("Głosy w ciemności").

Jest to dziwna, niemal niewiarygodna opowieść o chłopcu urodzonym w przytułku Armii Zbawienia. Jego ubodzy rodzice rozwiedli się, gdy był dzieckiem. Wychowywał się w biedzie, odseparowany od innych dzieci, które bały się go z powodu umiejętności widzenia ludzi, którzy - jak twierdzili dorośli - dawno zmarli.

Podejmował się dorywczych prac. Pewnego razu został wciągnięty do grupy spirytualistów, którzy odkryli jego dziwny dar, i zaczął przyciągać głosy na seansach, gdzie zjawiało się coraz więcej klientów bez ociągania płacących po gwinei za wejście.

Kiedy pod koniec lat trzydziestych ugruntowała się jego sława, do skromnego domu, najpierw w St.

Albans, a potem na północnych przedmieściach Londynu, zaczęły ściągać sławne osobistości. Drayton Thomas wraz z grupą liberalnych przedstawicieli Kościoła próbował przenieść badania parapsychologiczne na grunt chrześcijański, dostrzegając związek z obiecany przez Chrystusa życiem wiecznym.

Poprzez Flinta królowa Wiktoria przesłała wiadomość do ostatniej z żyjących córek, księżniczki Luizy; Rudolf Valentino przemawiał do Beatrice Lillie; a Mae West rozmawiała ze zmarłą matką w pokoju hotelu Savoy.

Gdy Woods zaczął do niego uczęszczać jako zwyczajny klient, Flint miał już renomę i zagorzałych zwolenników, choć nie dostrzegła go jeszcze sceptycznie doń nastawiona prasa.

Woods jednak różnił się od innych gości. Wkrótce, po pierwszym seansie, jadąc tramwajem z Croydon do Londynu, poczuł nieodpartą chęć pisania. Wyciągnął notatnik i ołówek. Jego dłoń, opanowana przez jakąś niewidzialną siłę, zapisywała papier tak szybko, iż Woods zmęczył się fizycznie. Kiedy się rozluźnił, zauważył, że spisał filozoficzny traktat o przyszłym świecie - tak samo dla niego dziwny jak nigdy nie otwierany rękopis książki jego ojca.

Woods także miał zdolności parapsychologiczne.

W 1946 roku wyjechał do Australii. Po powrocie zgłosił się na kolejny seans. Słyszał głos podający się za niejakiemu Michaela Fearona. Utrzymywał on, że przed wojną był nauczycielem biologii w szkole Taunton i został zabity w Normandii w 1944 roku, dwa tygodnie po inwazji. Łatwo to było sprawdzić. Woods odszukał matkę Fearona i przyprowadził ją do Flinta. Głos przemówił raz jeszcze. Pani Fearon potwierdziła, że to jej syn.

Woods po raz kolejny przyszedł na seans. Głos, tym razem żeński, utożsamiał się z panią Patrick Campbell - legendarną aktorką okresu edwardiańskiego, która zainspirowała George'a Bernarda Shawa do napisania serii pasjonujących listów i która kreowała rolę Elizy Doolittle w Pigmalionie. Przekazała wiadomość jemu - Woodsowi. Zapowiedziała, że spotka kobietę, która przyłączy się do jego badań parapsychologicznych i pomoże upowszechnić na świecie nagrania głosów.

Wtedy wydawało mu się to kolejnym, podobnym do innych przesłaniem. Potraktował je mniej poważnie, niczym przepowiednie chiromantki, i skupił się na działaniach wciąż rosnącego kręgu osób spotykających się w każdą niedzielę w jego domu, w celu wysłuchania i przedyskutowania materiałów z taśm nagranych u Flinta.

Mijały lata. Prawie zapomniał o tamtej informacji. Aż do czerwca 1953 roku, kiedy zadzwoniła do niego kobieta z pytaniem o mieszkanie, które wynajmował w swoim domu przy Barclay Road w Croydon. Odesłał ją do innego dzierżawcy. Jednak, by złagodzić jej rozczarowanie, zapisał jej nazwisko i adres obiecując, że da znać, jeśli mieszkanie się zwolni. Kobieta nazywała się Greene.

Betty Greene była córką urzędniczki bankowej z Croydon i kościelnego organisty, który po przejściu na rentę zamieszkał w wiosce rybackiej Polperro. Była w separacji z mężem, zarabiała na życie jako recepcjonistka w szpitalu Świętego Jana na oddziale chorób skórnych.

Pewnego sierpniowego dnia, gdy szła po zakupy, Woods, pracujący w ogródku przed domem, zauważył ją i zawołał.

Zapytał, czy nadal jest zainteresowana mieszkaniem na Barclay Road. Przeprowadziła się dwa tygodnie później.

Wkrótce najemca i lokatorka zaprzyjaźnili się. Pożyczał jej książki i taśmy z nagraniami seansów u Flinta. Z zadziwieniem słuchała rozmowy z Michaelem Fearonem, z mówiącą cockneyem dziewczynką o imieniu Rose. Rozpoznała amerykański akcent w głosie należącym do Lionela Barrymore'a. W grudniu Woods uznał, że Betty jest gotowa poczynić kolejny krok w swej parapsychologicznej edukacji. Że gotowa jest usłyszeć głosy przemawiające ustami Flinta.

Pojechali do Londynu w grupie pięciu osób. Światła w pokoju były wyłączone. Przez jakiś czas siedzieli wyczekująco w ciemności. Milczenie przerwał kobiecy głos:

- Dobry wieczór.
- Dobry wieczór - odparli zgromadzeni.
- Co u was?

Betty Greene rozpoznała głos z akcentem charakterystycznym dla londyńskiej biedoty, który zapamiętała z kilkakrotnie przesłuchiwanej na Barclay Road taśmy.

- Rose? - zapytała.
- Zgadza się - potwierdził głos.

Rozmawiali z Rose - londyńską dziewczyną zarabiającą niegdyś na życie sprzedażą kwiatów przy stacji Charing Cross.

Odpowiadając na pytania Greene, dziewczyna zaczęła żywo opisywać im swoje życie na innej płaszczyźnie egzystencji. Bez chwili wahania kreśliła scenę swego nowego świata, przedstawiała ubiory, wymieniała czynności i charakteryzowała stosunki panujące między ludźmi. Dla Woodsa było to coś więcej niż poszukiwany przez całe życie dowód na istnienie życia po śmierci. Był to prawdziwie reporterski opis codziennego życia w świecie, którego istnienia nie był pewien żaden z pięciu uczestników seansu.

W życiu Woodsa dokonał się kolejny przełom. Od tej chwili podczas każdej sesji nieodłącznie towarzyszyła mu Betty Greene.

Ostateczny drogowskaz pojawił się dwa lata później w 1955 roku. Usłyszeli wtedy nowy damski głos. Całkiem inny od głosu Rose. Głęboki, spokojny, wyniosły. Głos utrzymywał, że należy do Ellen Terry. A kiedyś na ziemi używała go Portii oraz Ofelii w Hamlecie Irvinga. Była to zmarła w 1928 roku królowa sceny edwardiańskiej Anglii.

Woods włączył magnetofon z nadzieją na zdobycie kolejnego raportu z innego świata. Zamiast tego otrzymał wykład, który wyznaczył w życiu całej trójki nowy cel.

- Otrzymacie ważne informacje - zapowiedziała. Proponuję regularnie nawiązywać kontakt i dzięki temu powiększyć znaczenie tych nagrań... Po tej stronie w różnych sferach są dusze z całych sił pragnące skorzystać z okazji do przekazywania wieści i zacieśnienia związków pomiędzy waszym i naszym światem...

Liczmy na pomocników - ochotników z waszej strony.

Potrzebujemy ludzi rzetelnych, skłonnych z własnej woli poświęcać swój czas zrealizowaniu tego przedsięwzięcia.

Te nagrane taśmy otwierają przed wami możliwość dotarcia do wielu ludzi na całym świecie... My natomiast możemy sprowadzać różne dusze z rozmaitych sfer, aby rozmawiały i przekazywały wam wiadomości. Jesteście dla nas bardzo ważni, ponieważ wiemy, że pracujecie z poświęceniem...

Świadomi jesteśmy, iż przy współpracy z wami możemy niemało osiągnąć i dlatego chciałabym, abyście przychodzili tu w pewnych określonych terminach. Bardzo wiele zależy od regularności kontaktów. Pragnęlibyśmy je utrzymać za wszelką cenę.

Z propozycji tej Woods nie mógł nie skorzystać. Miał sześćdziesiąt jeden lat. Właśnie zaczynał swe życiowe dzieło. Przez następne pięć miesięcy, w jedną sobotę w miesiącu, Woods i Greene jechali pociągiem z East Croydon do Victorii, przesiadali się na autobus linii 36 do Paddington i włączyli się z magnetofonem na seans o jedenastej. W 1960 roku przeprowadzili się do Brighton, a w 1964 do Worthing. Pod stołem zamontowali specjalną półkę na magnetofon, aby chronić go przed wstrząsami.

Kiedy Flint odmówił pracy w weekendy, Betty Greene zmieniła posadę, by móc w niedzielę odpracować poniedziałek i uczestniczyć w seansie.

W wieczór poprzedzający sesję prawie wcale nie oglądali telewizji, aby nie zakłócać biegu myśli. Podczas podróży niczego nie czytali, by zachować jasność umysłu. W mieszkaniu Flinta, witani przez psy, szli prosto do pomieszczenia sesyjnego, by zainstalować mikrofon ponad krzesłem zajmowanym przez medium. Magnetofon przenosili ze stolika do kawy na główny stół.

Flint zasiadał na swym miejscu, wymieniał datę i nazwiska uczestników seansu oraz medium i wyłączał światło. Siedzieli w ciemności. Czekali.

Gdy tylko dało się słyszeć głos, Greene włączała magnetofon, który rejestrował całą rozmowę aż do samego końca obwieszczanego przez przybyłego ducha lub Mickeya - zabitego przez ciężarówkę gazeciarza, przewodnika Flinta. Chłopiec ostrzegał zawsze, że moc pobierana od Flinta i Woodsa kończy się.

Jeszcze kilka chwil siedzieli po ciemku. Po włączeniu światła widać było, jak zmęczony jest Flint. Woods czuł się wyczerpany i miał mdłości. Greene, jedyna osoba nie obdarzona zdolnościami parapsychologicznymi, pozostawała niewzruszona.

Woods i Greene zdejmowali taśmę, chowali magnetofon, płacili i wracali do domu z nową zdobyczą wzbogacającą ich bibliotekę.

Po piętnastu latach takich spotkań - sporadyczne przerwy spowodowane były tylko chorobami - zebrali bibliotekę pięciuset klarownych, wyraźnych i zgodnych ze sobą sprawozdań zawierających zapis przeżyć ludzi przechodzących z tej płaszczyzny egzystencji do następnej, wraz z charakterystyką życia w zaświatach, które ludzie nazywają Niebem.

Nagrywali głosy należące do ludzi żyjących na ziemi w naszym i w poprzednim stuleciu.

Ludzie zwyczajni, tacy jak Alf Pritchett, poprzedzali na prostych, opartych na faktach relacjach, jak to jest, gdy się umiera i czuje, że żyje się nadal.

Opisywali, co się dzieje zaraz po śmierci. Kto wychodzi na spotkanie i gdzie zabiera zmarłego. Przedstawiali wygląd nowych domów i ogrodów. Miast, wsi. Opisywali pogodę i nowe otoczenie. Mówili, czy jedzą, piją, śpią. Jakie noszą stroje i jakie wykonują zajęcia. Opowiadali, co się dzieje z dzikimi zwierzętami i domowymi pupilkami. Tłumaczyli też, dlaczego tak trudno jest wrócić i porozmawiać z krewnymi żyjącymi na ziemi.

Sławne osobistości, odnoszące sukcesy na ziemi, wtajemniczały w swe reakcje, ujawniały zmianę swoich poglądów po znalezieniu się na płaszczyźnie egzystencji, gdzie mogły myśleć wolne od uprzedzeń i stereotypów.

Tacy aktorzy jak Lionel Barrymore i Ellen Terry oraz pisarze, na przykład Oscar Wilde i Rupert Brooke, wyjaśniali, w jaki sposób mogą rozwijać swe talenty twórcze, i zdradzali, co robią teraz ludzie pokroju Szekspira i George'a Bernarda Shawa. Teolodzy i duchowni przywódcy jak Cosmo Gordon Lang - niegdyś arcybiskup Canterbury czy Mahatma Gandhi zajęli się oddzielaniem prawdy od dogmatu w swoich religiach.

Wszyscy oni zastąpili strach przed fizyczną śmiercią nowym, naturalnym prawem powszechnej nieśmiertelności. Udzielili też odpowiedzi na kilka pytań, które człowiek zadaje sobie od zarania dziejów.

"Zdaje się, że umarłem... ,

Jak to jest, gdy się umiera?

Widok z tej strony grobu nie należy do zachęcających.

Strach. Cierpienia. Jeśli dopisze szczęście, wszystko przebiega szybko. Większość z nas woli się nad tym nie zastanawiać.

Czy to możliwe, że tkwimy w błędzie? Wieści z tamtej, drugiej strony zdają się to potwierdzać. Nie ma się czym martwić. Śmierć jest tylko naturalnym przejściem od jednego do drugiego rodzaju egzystencji.

Żaden z głosów opisujących swoje przeżycia Woodsowi i Betty Greene nie przypominał sobie, aby w śmierci było coś strasznego lub bolesnego. Niejeden dopiero po jakimś czasie zorientował się, że już nie żyje. U wszystkich sam moment umierania przypominał sen, w którym zmieniał się sposób percepcji rzeczywistości. Był intelektualnym doświadczeniem. Mało było w nim emocji, doznań fizycznych i obaw. Źródłem największego zmartwienia była troska o najbliższych: dlaczego popadają w panikę i nie pojmują, że ci, co umierają, nadal żyją, są szczęśliwi i mają się dobrze.

Gdy tylko porozumiewający się dzięki "ektoplazmatycznemu przekątnikowi" duch oswajał się z zamianą swych myśli na słowa, zaczynał zazwyczaj z zaangażowaniem opowiadać o całej podróży ku końcowi zdającemu się być przeznaczeniem. Betty Greene korzystała z każdej okazji, aby, poprzez zadawanie pytań, pokierować opowieść ku sprawom, które najbardziej nas interesują.

- Czy mógłbyś nam opisać swą reakcję na wieść, że umarłeś?

Zadała to pytanie jedenastej kwietnia 1959 roku głosowi podającym się za farmera z Sussex - George'owi Hopkinsowi.

Zamiast udzielenia odpowiedzi rozpoczął monolog na tematy religijne. Greene pozwoliła mu się wygadać. Czekala na sposobną chwilę.

- Panie Hopkins... - wtrąciła w pewnym momencie.
- Co takiego, moje złotko?
- Czy mógłby pan - jej głos brzmiał stanowczo - opisać swoje przejście na drugą stronę?

Tym razem farmer podjął temat.

- Ależ tak - odparł. - Zaraz... Miałem... hm... zapaść, zawał, atak serca czy coś takiego. W każdym razie były wtedy żniwa. Poczulem się dziwnie i choć świeciło słońce, musiałem zejść z pola. Morzył mnie sen, czułem się, jak mówię, dziwnie, więc zdrzemnąłem się. Ale, moja droga, wtedy przeżyłem szok.

Zdawało mi się, że się obudziłem. Słońce zachodziło za horyzont. Widziałem siebie lub kogoś, kto wydawał się być mną. Byłem tak skołowany, że nic z tego nie rozumiałem. Próbowałem się otrząsnąć i rozbudzić. Pomyślałem sobie, że to bardzo zabawny sen. Nie było w tym wszystkim ładu ni składu. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogłem umrzeć.

W każdym razie poszedłem do lekarza. Myślałem, że być może on potrafi mi pomóc. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Musiał być u siebie, bo czekali na niego inni pacjenci.

Ujrzałem jednego czy dwóch serdecznych znajomych.

Zdawali się mnie nie zauważać. Nikt nie odezwał się do mnie ani słowem.

Stałem tam jakiś czas. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. W pewnej chwili zauważyłem, że ktoś pędzi drogą jak szalony. Wpadł między ludzi, rozepchnął ich.

Usłyszałem, że mówi o mnie. Co do diabła, myślę sobie. Plotą o mojej śmierci, a przecież ja jestem tutaj. Doktor odjechał, a ja myślałem o śmierci. Przecież nie mogłem umrzeć. Jestem tutaj. Jak u licha to możliwe, żeby umarł?

Potem sobie wykombinowałem, że owszem, widziałem siebie leżącego, ale przecież po śmierci idzie się do piekła albo nieba. A ja z pewnością nie trafiłem ani do jednego, ani do drugiego. Byłem tam i słyszałem, o czym mówią. Zdaje się, że wtedy stopniowo, powoli zaczęło do mnie docierać, że umarłem.

Potem widziałem, jak zabierają moje ciało i kładą je w kaplicy. "O rany", pomyślałem sobie, "to już koniec. Chyba naprawdę umarłem. Słyszałem o śmierci innych, a teraz mnie dopadła. Chyba najlepiej będzie pójść do pastora. On na pewno coś będzie wiedział".

Poszedłem na zakrystię i czekałem. Spozstrzegłem, że nie jestem materialny. Kiedy siadałem na krześle, nie czułem nic pod sobą. Stary pastor minął mnie, zasiadł za biurkiem, zabrał się za pisanie listów. Łudziłem się, że jest inny niż reszta. Powinien wiedzieć. Klepnąłem go więc w ramię. Odezwał się do niego. Na darmo.

Gdy się odwrócił, jakby spodziewał się kogoś za sobą zobaczyć, pomyślałem "tak, ja tu jestem" i klepnąłem go raz jeszcze. Nie poczuł. Potem poderwał się raptownie i otrząsnął, a ja miałem wrażenie, że drży na całym ciele. Był już późny ranek. Nie powinno być mu zimno. W każdym razie nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności i pojąłem, iż tym sposobem nic nie zdziałam.

George Hopkins był prostym człowiekiem. Brakowało mu wykształcenia i wiedzy, aby bez niczyjej

pomocy wywnioskować, co się stało. Czy zatem intelektualistom jest łatwiej?

W 1957 roku Woods i Greene jak zwykle w poniedziałek zaczęli sesję. Czekali. Ciszę przerwał głos z akcentem świadczącym o pochodzeniu z wyższych sfer:

- Dzień dobry. Nie jestem w pełni przekonany, czy państwo mnie słyszycie.

- Ależ słyszymy pana - zapewni Woods. - Słyszemy pana całkiem wyraźnie.

- Nazywam się Brooke - kontynuował głos. - Rupert Brooke.

- Och, to wspaniale - zachwyciła się Greene.

Woods wrócił myślami do wojny. Na początku 1915 roku sonet młodego edwardiańskiego poety zawładnął wyobraźnią całej Wielkiej Brytanii:

"Winienem skonać, jedyna ma myśl:

Jest tu zakątek na obcej ziemi

Dla wiecznej Anglii..."

Kilka miesięcy później Brooke umarł na jednej z wysp Morza Egejskiego. Nikt nigdy nie miał już usłyszeć jego głosu.

Teraz, w zaciemnionym pokoju w Londynie, przemówił do nich:

- Podpowiedziano mi, że nawiązanie kontaktu może się okazać dla mnie wielce zajmujące. Doprawdy jednak nie bardzo zdaję sobie sprawę, co mógłbym uczynić lub jak być państwu pomocny.

- No cóż - odparła Greene. - Chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób pan zszedł i jak udało się panu odnaleźć w nowej sytuacji.

Brooke wygłosił monolog na temat niedogodności przemawiania za pomocą "przekąznika", potem rozpoczął opowieść o swym nowym życiu i kłopotach związanych z próbami pisania poezji w języku angielskim lat pięćdziesiątych.

- Niestety - zakończył refleksyjnie. - Straszliwa gmatwanina.

- Panie Brooke - wtrąciła nie zrażona Greene - czy może nam pan opowiedzieć o swojej śmierci?

- Umarłem podczas pierwszej wojny światowej - zadumał się. - Wszystko stało się tak nagle. Jakbym znalazł się w ciele, które początkowo wydawało mi się obce, choć z wyglądu było identyczne, jak dawniej. Nie potrafiłem tego pojąć. Po prostu nie uświadamiałem sobie swojej śmierci.

Wszystkie odczucia wydawały mi się zwyczajne, naturalne, a jednak całe ciało wywoływało wrażenie obcości. Nie czułem jego ciężaru. Ogarnęła mnie jakaś przeraźliwa lekkość.

Uszczypnąłem się i zdałem sobie sprawę, że nic nie poczułem. Dogłębnie mnie to zmartwiło. Potem przeżyłem wstrząs, gdy zrozumiałem, że ludzie mnie nie dostrzegają... Pomyślałem sobie, że skoro nie czułem uszczypnięcia, to nic dziwnego, że inni patrzą na mnie jak na powietrze. Doszedłem do wniosku, że muszę znajdować się na niespotykanej na ziemi częstotliwości fal i z tego powodu ludzie mnie nie zauważają. Ja ich widziałem, a oni mnie nie. Zadziwiające!

Dokładnie pamiętam, jak siedząc nad rzeką przeglądałem się w wodzie i nic nie widziałem. Nie miałem odbicia. "To nadzwyczajne", myślałem. "Posiadam ciało nie dające odbicia". Nie miałem zamiaru tak po prostu pogodzić się z tym faktem.

Chodziłem do różnych znanych mi ludzi i starałem się powiadomić ich, że żyję i mam się dobrze, lecz oni wcale nie zdawali sobie sprawy z mojej obecności.

Doszedłem do wniosku, iż nie dostrzegają mnie z tego samego powodu, dla którego nie ma mojego odbicia w wodzie - nie posiadałem ciała materialnego. Istniałem na innej częstotliwości, na innym poziomie materii. Musiałem pogodzić się z oczywistością, że moje ciało, choć na pozór takie samo jak zawsze, z ziemskiego punktu widzenia nie było prawdziwe. Domyśliłem się wtedy, że można mnie określić mianem "duch", choć wcale nie czułem się "duchem". Byłem zdezorientowany i zdenerwowany.

Podejście Brooka było bardziej analityczne niż Hopkinsa.

Obydwu jednakże sytuacja ta wytrąciła z równowagi. Obaj zmarli śmiercią naturalną. Hopkins miał atak serca, a Brooke zakażenie krwi. Czy śmierć tragiczna wygląda inaczej? Jeden z siedmiu tysięcy Brytyjczyków ginących co roku na drogach dziesiątego lutego 1964 roku opisał swą śmierć.

Ted Butler wraz z żoną robił w sobotę zakupy w Leeds. Nagle...

- Przechodziłem przez ulicę i zanim się połapałem, coś mnie trzasnęło. Zdaje się, że jakaś ciężarówka przy zjeździe z górki wymknęła się spod kontroli. Rzuciło mną o ścianę, i to wszystko.

Nie pamiętał żadnego bólu.

- Przypominam sobie tylko - kontynuował - że coś jechało w moją stronę i na tym koniec. Wszystko zdarzyło się tak nagle.

- A jak udało się panu odnaleźć w nowej sytuacji?

- Hm, sam nie wiem - odparł. - Widziałem tłum ludzi wpatrzony w coś. Spojrzałem uważniej i dostrzegłem, że wlepiają oczy w kogoś wyglądającego dokładnie tak jak ja.

Na początku wcale do mnie nie dotarło, że to ja. "Zbieg okoliczności", dumałem. "Facet jest podobny do mnie. Moglibyśmy być bliźniakami". Nie bardzo się tym przejąłem. Później zdałem sobie sprawę, że moja żona płacze i rozpacza. Wcale nie wiedziała, że stoję tuż za nią.

Wsadzili moje ciało do karetki, potem wsiadła żona i jeszcze jakaś pielęgniarka. Ja też wskoczyłem do środka, lecz żona nadal nie miała pojęcia, że jestem z nią. Potem stopniowo pojąłem, że tam w karetce leżą właśnie ja.

Dotarliśmy do szpitala. Oczywiście trafiłem do kostnicy.

Wcale mi się to nie spodobało. Szybko się więc wymknąłem i poszedłem do domu. Nasza sąsiadka Mitchen starała się pocieszać moją żonę. Zdaje się, że właśnie wtedy było najgorzej.

Następnie odbył się pogrzeb. Ja oczywiście też poszedłem.

Tyle zachodów i wydatków na nic. Przecież ja tu jestem. Ceremonia okazała się bardzo wzruszająca, a jednocześnie straszliwie niemądra, ponieważ ja byłem na swoim pogrzebie i nikt nie zwrócił na to uwagi. Stary pastor wygłaszał modlitwy. "On powinien mnie zrozumieć", ucieszyłem się. Podszedłem do niego, stanąłem tuż obok i trąciłem go łokciem. Nie zareagował. Dalej wypełniał obrządek.

Następnie przyszli grabarze. Jednego z nich, starego Toma Corbetta, dobrze znałem. Niezły z niego był

kompan. Lubiliśmy sobie pożartować i wypić po kufelku. Wstawili trumnę do dołu, zasypali ziemią i uformowali grób. Nie chciałem na to dłużej patrzeć i odszedłem.

Przez kilka tygodni snułem się wokół domu. Raz czy dwa przejechałem się starym tramwajem. Na początku uważałem, że wszystko się pomieszało. Czasami jednak było mi do śmiechu. Mogłem sobie do woli jeździć na gapę. Po jakimś czasie zwróciłem też uwagę na inną rzecz. Zacząłem sobie zdawać sprawę, że żaden pasażer nie kasuje biletu. Moją pierwszą rozmówczynią była siedząca obok mnie kobieta. Wydała mi się bardzo sympatyczna.

"Co ty tu robisz?" - zagadnęła.

Pomyślałem sobie, że to świetny sposób na nawiązanie rozmowy, więc odparłem:

"Jak to co tutaj robię? Wolno mi chyba tutaj być?"
"Oczywiście - przytaknęła. - Ale powinieneś zacząć coś robić, a nie jeździć tylko w tę i z powrotem autobusami czy tramwajami i martwić się o swoją żonę. W ten sposób nic nie działośz".

"Łatwo ci mówić - rzekłem. - A ty dokąd jedziesz?" Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że ona nie żyje.

"Czyżby stroiła sobie ze mnie żarty?", zaniepokoiłem się.

"Tak właściwie - mówiła - już od jakiegoś czasu jeżdżę tramwajami i autobusami za tobą. Ty chyba jednak zauważyłeś mnie dopiero teraz. Czekalam na chwilę, kiedy będę ci mogła podać rękę".

Ted Buder doczekał końca pierwszego aktu śmierci.

Spotkał przewodnika, który zabrał go z jednego świata do drugiego.

Przewodnik do przyszłego świata

Ted Buder umarł. Jeżdżąc tramwajem po Leeds, pozostawał niewidoczny dla swoich współpasażerów, lecz nadal był na tym świecie. Po raz pierwszy spotkał osobę która go zobaczyła, usłyszała i zaproponowała pomoc.

"Co możesz dla mnie zrobić?" - zapytał.

"Nie uważasz - odparła - że czas już opuścić te okolice? To tylko myśli, które w sobie zachowałeś. Z pewnością chciałbyś robić coś więcej, niż tylko trzymać się ziemi. Nikt tu na ciebie nie zwraca uwagi. To nie ma sensu".

Buder tak wspomina swoją pierwszą - odkąd został duchem - rozmowę.

"Coś w tym jest - przyznałem. - To prawda, że nikt na mnie nie zwraca uwagi. Zauważyłem jednak, że... hm... wcale mi to nie przeszkadza. Przynajmniej na razie".

"To twoja wina - odrzekła. - Trzyma cię tu twój stan umysłu. Gdybyś wyzbył się obsesyjnych myśli i zwrócił ku rzeczom wyższym, ku naturze, wyzwoliłbyś się. Rozumiem oczywiście, że częściowo dzieje się tak z powodu ostatnich przeżyć i tak nagłego rozwoju wypadków, i za sprawą wibracji od twojej żony i matki oraz kilku innych osób. Powinieneś jednak się uwolnić. Choć ze mną".

"A dokąd mielibyśmy pójść?"

"Nic się nie martw, ja poprowadzę".

"Wysiadamy na następnym przystanku?"

"Po co czekać do następnego przystanku? - Wzruszyła ramionami. - Możemy wysiąść, kiedy tylko sobie życzymy. Kiedy tylko się zdecydujesz".

"Nic z tego nie rozumiem".

"Na razie wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że chociaż możesz wejść do autobusu, zająć miejsce, a potem wysiąść, wcale tego nie musisz robić. Nie musisz już robić tego co inni. To tylko nawyk. Powinieneś wyzwolić się z przyzwyczajzeń i zrozumieć, że ten rytuał nie jest ważny i za pomocą jedynie swych myśli możesz oderwać się od tego miejsca".

"Cóż... sam nie wiem..."

"Proszę, weź mnie za rękę, zamknij oczy i spróbuj nie myśleć o niczym konkretnym. Postaraj się mieć czysty umysł".

Tak też uczyniłem.

Ted Butler udał się w podróż do nowego domu, a pomagał mu ktoś, kto automatycznie zostaje wysłany do każdego umierającego - przewodnik do przyszłego świata.

Z nagranych taśm wynika, iż nieliczni zrobili ten krok samodzielnie. Niemal każdy, kto opuszczał martwe ciało, czuł się przywiązany do ziemi, aż do chwili gdy na spotkanie wychodził mu zmarły krewny lub wyszkolony przewodnik potrafiący wyzwolić go z ziemskich więzów i poprowadzić w nieznaną.

George Hopkins, którego zostawiliśmy w zakrystii, zastanawiającego się, dlaczego pastor go nie rozpoznał, jeszcze przez kilka dni błąkał się w oczekiwaniu na swój pogrzeb.

- Zapakowali moje ciało w pudło - mówił - i pochowali na starym przykościelnym cmentarzu. Położyli mnie z pewną starą kobietą. Wkrótce zaświtało mi, że to moja żona Polly. "Śmieszne", pomyślałem. "Skoro umarłem, to powinienem być razem z nią. Gdzie ona się podziewa?"

Stałem tam i obserwowałem, jak mnie chowają. Po ceremonii szedłem, za ludźmi i wtem, tuż przed sobą, zauważyłem zmierzającą w moją stronę kobietę. To była moja żona!

Ale nie ta połowica, którą pamiętam z ostatnich kilku lat jej życia. Wyglądała tak, jak wtedy, gdy była młodą dziewczyną i poznaliśmy się. Zrobiła na mnie wrażenie! A obok niej zobaczyłem jednego z mych braci, zmarłego w wieku szesnastu czy siedemnastu lat. Miły chłopak z bujną czupryną. Idąc w moją stronę śmiali się i żartowali. Pomyślałem, że skoro oni są tutaj ze mną, to wszystko jest w porządku: oni z pewnością podszeptają mi, jak się teraz zachować. Żona i brat zaczęli mnie przeproszać za spóźnienie.

"Wiedzieliśmy, iż nie czujesz się za dobrze - wyjaśnili. - Nie mieliśmy jednak pojęcia, że przybędziesz do nas tak nagle. Otrzymaliśmy wiadomość, lecz - niestety - nie mogliśmy przybyć szybciej".

Zdziwiłem się niepomnie. Jak, do diabła, oni się poruszają? Ja chodziłem jak niegdyś, tylko z większą lekkością. Wydawało mi się, że moje ciało nie ma żadnego ciężaru, ustąpiły bóle i dolegliwości. Żona i brat próbowali mi co nieco wytłumaczyć, ale bardzo lakonicznie. Zapewniali tylko, że się przyzwyczają i osiedlę...

"Osiedlę? - zdumiałem się - Niby gdzie? Tu najwyraźniej nikt nie chce mieć z nami do czynienia, ani nikt nas nie zauważa".

"Wszystko się zgadza. Nie martw się". Opowiedziałem im o pastorce.

"Niepotrzebnie do niego szedłeś - odrzekli. - Jest najmniej wart spotkania. Wie mniej niż inni. Wszystko w porządku".

"Ale dokąd idziemy?"

"Zabieramy cię do naszego domu". "Gdzie to jest?"

"O, tego nie potrafimy dokładnie wyjaśnić - odparli. - Możemy cię jednak tam zabrać, a wkrótce sam zrozumiesz, że to całkiem miłe gniazdko. Poznasz ten dom".

"Niby jak mam go rozpoznać? Nigdy tam nie byłem". "Ależ byłeś, nawet wiele razy. We śnie. Tak naprawdę znasz go bardzo dobrze".

Zacząłem się zastanawiać:

"Hm, nie pamiętam. Miewałem dziwne, sny... Przypominam sobie, jak raz czy dwa razy śniło mi się piękne miejsce ze wspaniałym ogrodem, w którym biegało moje, zmarłe przed laty, stare psisko wabiące się Rover. Wytłumaczyłem sobie wtedy, że to tylko sen".

"Nie, to nie był tylko sen - zapewnili. - To byłeś ty. Podczas snu spotykałeś się z nami. Kiedy twe ciało zasypiało, umysł uwalniał się, a ty mogłeś wędrować i przebywać z nami".

"Muszę przyznać, że brzmi to zachęcająco".

"Czy nie zdajesz sobie sprawy, iż jesteś inny?" - spytali.

"Czuję się inaczej. Na pewno nie staro. Przeszły mi doskwierać dawne bóle".

"Widziałeś siebie?"

"Nie, nie przyszło mi to na myśl".

"W takim razie chodź. Pokażemy ci".

"Zobaczyć siebie?", pomyślałem. "To może być interesujące. Przejrzę się w lustrze".

"Och nie - sprostowali. - Nie w lustrze".

Zabrali mnie do uroczonego miejsca, malowniczo położonego, z cudownymi domami. Osada bardziej przypominała wieś niż miasteczko. Zaprowadzili mnie na jedno z przepięknych pól. Było to dokładnie to miejsce, o jakim śniłem lub wydawało mi się, że śniłem. Jakby wrócił sen sprzed wielu lat.

Przypomniałem sobie, jak budziłem się nad ranem i z zachwytem i rozrzwinięciem wspominałem to miejsce - a teraz znów je widzę!

Butler i Hopkins, tak długo pozbawieni przewodnika, mogli się czuć osamotnieni i nieszczęśliwi. W przypadku Alfreda Higginsa, malarza i dekoratora, mechanizm niebiańskich powitań zadziałał sprawniej.

Czternastego października 1963 roku artysta 6w przedstawił się uczestnikom sesji. Betty Greene zadała mu zwyczajowo następujące pytanie:

- Panie Higgins, czy może pan opowiedzieć, jak pan przyjął swoją śmierć? Jak to się stało?

- Spadłem z drabiny - odparł natychmiast. - Nie zabiłem się, lecz nieprzytomnego zawieziono mnie do szpitala i tam zmarłem. Oczywiście minęło już parę lat. Byłem na ziemi malarzem i dekoratorem. Pani pochodzi z okolic Brighton, prawda?

- Istotnie - potwierdziła Betty Greene.

- Mieszkałem w Brighton przez jakiś czas - rzekł Higgins.

- Gdzie dokładnie?

- O, lata lecą, a i miejsca się zmieniają, prawda? Na tyłach Old Steine.

- Na tyłach Old Steine?

- Właśnie tam.

- Panie Higgins, czy może pan opowiedzieć o swych doznaniach? W jaki sposób odnalazł się pan w nowej sytuacji?

- W jaki sposób co?

- Pytam, w jaki sposób odnalazł się pan w nowej sytuacji i jakie były pańskie reakcje podczas umierania?

- No cóż - zamyślił się Higgins. - Gdy zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, co mi się przydarzyło, leżałem na brzegu rzeki. Byłem zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Nie rozpoznawałem okolic i nie potrafiłem się domyślić, skąd się tam wziąłem. Wtem ujrzałem, że jakaś postać odziana w habit zbliża się do mnie. Później okazało się, że był to nie habit, lecz rodzaj długiej szaty. Był to przyjaźnie nastawiony, całkiem młody dżentelmen. Uznałem, iż jest za młody na mnicha. Mówiąc szczerze, wydał mi się podobny do Jezusa. A przynajmniej Jezusa z obrazów. Potem pojąłem, że nim nie jest. Podszedł do mnie, stanął obok i odezwał się:

"Ach, więc przybyłeś".

"Przybyłem? - powtórzyłem. - Nie rozumiem..."

"A zatem nie wiesz, gdzie się znajdujesz?"

"Nie - odparłem. - Wiem tylko, że nie rozpoznaję tego miejsca, ale jest bardzo piękne".

"Wiesz, że umarłeś?" "Co takiego?"

"Tak, tak. Umarłeś".

"Ależ skąd. Nie mogłem umrzeć. Przecież wtedy nic bym nie widział - zapewniłem z mocą. - Słuchaj - rzekłem - nie umarłem, bo jestem materialny".

"Aaa, wielu ludziom tak się wydaje. Myślą, że jak umarli, to nie mogą nic odczuwać albo powinni pójść do nieba lub w miejsce zwane piekłem. Nie ma żadnego nieba ani piekła. Znajdujesz się w miejscu, które, jak sam widzisz, jest tak samo realne jak wszystko, co dotąd znałeś. Życie po tym, co nazywa się śmiercią, jest pewnym stanem umysłu. Ty w tej chwili jesteś prawdopodobnie trochę wytrącony z równowagi. Nie jesteś jednak nieszczęśliwy i na pewno, z tego, co zauważyłem, czujesz się całkiem swobodnie. Wyglądasz na zadowolonego. Nic konkretnego cię nie niepokoi, prawda?"

"Tak, to prawda - przytaknąłem. - Zaczynam sobie teraz zdawać sprawę, że tak jest w istocie. Muszę też przyznać, że martwię się trochę, jak daje sobie radę moja rodzina. Wiem, że musieli przeżyć straszliwy szok. Nie pamiętam umierania. Przypominam sobie, że spadłem ze szczebla drabiny. W każdym razie miałem wrażenie spadania, a potem już mam lukę".

"Ależ oczywiście. Umarłeś w szpitalu".

"O, naprawdę?"

"Chciałbyś zobaczyć swoją rodzinę? - zapytał. - Czy uważasz, że to by ci pomogło?"

"No cóż, to byłoby interesujące, prawda? Tak, chciałbym ich zobaczyć".

"Wiesz, że nie będą zwracać na ciebie uwagi?" - uprzedził mnie lojalnie.

"A to dlaczego?"

"Nie będą zdawać sobie sprawy z twojej obecności, bo nie mogą cię zobaczyć ani usłyszeć twoich słów".

"Cóż, to chyba nie ma aż tak wielkiego znaczenia, prawda?"

"To zależy tylko od ciebie".

"Chodźmy - zdecydowałem. - Możliwe, że Ada... to moja żona, możliwe... W każdym razie chciałbym ją ujrzeć".

"W porządku. Ruszajmy".

Czasami, zaraz po śmierci, gdy człowiek jest jeszcze przywiązany do tego świata, lub wkrótce po przybyciu do przyszłego świata, ma nieodpartą ochotę złożenia wizyty tym, których kocha. Zawsze zostaje ostrzeżony, że może to być dla niego lub rodziny trochę krępujące. Prawie każdy jednak decyduje się pójść.

Tak też było i z Alfredem Higginsem.

Wizyta u rodziny

Alfred Higgins postanowił odwiedzić swoją rodzinę przed ostatecznym przeniesieniem się do drugiego świata.

"Jak się tam dostaniemy?" - zapytałem swego przewodnika.

"Choć ze mną. Zwyczajnie pójdziemy drogą".

- Wspięliśmy się na wzgórze. Kiedy weszliśmy na ścieżkę, poprosił: "Podaj mi rękę". Czułem się nieswojo. Wydawało mi się trochę głupio trzymać kogoś za rękę. On jednak obstawał przy swoim, więc w końcu podałem mu dłoń. Doznawałem osobliwych odczuć, lecz gdy tylko dotknąłem jego ręki, wszystko zaczęło stopniowo znikać. Stan ten w pewnym sensie przypominał zapadanie w sen. Miałem wrażenie braku zrozumienia i uświadomienia sobie tego, co się wokół mnie dzieje. Chyba w pewien sposób straciłem świadomość.

Ocknąłem się już w naszej kuchni. Moja żona stała przy zlewie i obierała ziemniaki. Zastanawiałem się, czy wie, że tu jestem, zawołałem ją po imieniu. Nie odpowiedziała. Wcale mnie nie słyszała.

"Zrozum, ona cię nie słyszy" - przypomniał mi mój nowy znajomy.

"Sam już nie wiem. Co mogę zrobić?"

"Nic - odrzekł spokojnie. - Może jednak odczuje twą obecność. Nigdy nic nie wiadomo. Poczekajmy jeszcze chwilę - A potem dodał: - Skoncentruj na niej swe myśli. Zrób wysiłek. Skup się na jej imieniu".

- Zrobiłem, jak radził. Nagle moja żona wzdrygnęła się i obejrzała. Upuściła nożyk. Zaczęła się rozglądać. Wyglądała na zdenerwowaną, prawie przerażoną. Zrobiło mi się przykro, że ją przestraszyłem. Zdałem sobie sprawę, że nie powinienem był się z nią kontaktować. Wybiegła z kuchni trzasnąwszy drzwiami, a potem usiadła, położyła głowę na stole i zaczęła żałośnie płakać. Byłem przybity. "O, moja droga, to okrutne", kajałem się.

"Nie przejmuj się - uspokoił mnie mój przewodnik - ona czuje. W głębi duszy wie, ale jeszcze tego nie rozumie. Wie, że jesteś obok niej".

"Martwię się, że moja wizyta sprawiła jej taką przykrość... " "Nie kłopotz się tym - rzekł. - To się często zdarza. Oni nigdy tego nie wiedzą na pewno. Nikt im nigdy nie mówił o życiu po śmierci. Nigdy nie słyszeli o możliwości porozumiewania się. Jednak ona wie... Serce jej podpowiada".

"I nic nie można zrobić?"

"Nic a nic - odparł. - Nie czas teraz na to. Chodźmy już". "Dobrze. - A potem dodałem: - Chciałbym jednak przedtem kogoś odwiedzić".

"Kogo?"

"Paru przyjaciół". "Dobrze".
"Czy zgodzisz się na wizytę w pubie?" Roześmiał się na moje słowa.

"Więc nie widzisz w tym nic zdroźnego? Anioł w pubie?"

"O, często zaglądamy do pubów i innych miejsc - zapewnił. - Poza tym nie jestem aniołem".

"Hm, byłem pewien, że skoro tutaj jesteś, to, z całym szacunkiem, musisz być aniołem. Zauważyłem jednak..." Znow się roześmiał.

"Oczywiście, że nie mam skrzydeł. To tylko wymysł ludzi zajmujących się na ziemi religią. Od dawna pokutuje przekonanie, iż dobrzy ludzie po śmierci lecą w górę do nieba. A od zarania dziejów przyzwyczajali się do myśli, że jedynym sposobem wzniesienia się ku górze jest lot na skrzydłach!"

Spodobało mi się jego poczucie humoru. "Nie traćmy więc czasu. W drogę".

Uznałem, że coś tu się nie zgadza. Przecież on nie mógł wiedzieć gdzie, jest ten pub.

"Jak się tam dostaniemy?"

"Wiem, o czym myślisz - odezwał się. - Zamknij oczy, przenieś się myślami do tego miejsca... I już..."

Wyciągnął do mnie dłoń. Bez wahania chwyciłem go za rękę. Dalej pamiętam tylko, że stałem w pubie przy barze, obok moich kumpli. Podeszedłem do jednego, stanąłem za jego plecami. Skupiłem myśli na jego imieniu. Nagle kufel piwa wypadł mu z rąk. Był śmiertelnie przerażony.

Odrzucił się i wymamrotał do dwóch pozostałych:

"Śmieszne, ale jestem pewien, że słyszałem... jestem pewien, że słyszałem..."

"Co takiego?"

"A wy nic nie słyszeliście?"

"Nie, skądże!"

Jednym słowem, mój kolega wyszedł na durnia.

"Aaa, nic takiego" - nieszczęśnik próbował zbagatelizować cały incydent.

Roześmieli się.

"Co z tobą, kolego? Masz zwidy?"

Jednakże słyszał mnie wyraźnie. Dokonałem tego dzięki swoim myślom. Zrozumiałem podstawową zasadę, że nie trzeba mówić, żeby być usłyszanym. Wystarczy koncentracja. Chodzi o to, aby cały czas myśleć o nawiązaniu kontaktu. Nie potrzeba używać słów, aby się wypowiedzieć. To była pierwsza lekcja.

Alfredowi Higginsowi trudno było odejść, mimo że natychmiast pojawił się przy nim przewodnik. Równie niełatwo przyszło pewnemu londyńczykowi, który podał się w 1957 roku za Harry'ego, przyznać się, że wprost przepadał za pubem.

- Zawsze lubiłem popić - wyznał. - Gdy mogłem pójść do starego pubu i zostać tam, dopóki mnie nie wyrzucili, miałem poczucie dobrze spędzonego czasu. Jak wykorkowałem, nie mogłem się powstrzymać od pójścia do pubu.

Śmierć zrodziła w nim poczucie rozczarowania. Na początku jednak nie przejmował się.

- Jak umarłem - wyjaśniał - nie dało rady ani wtrącać, ani tankować. Ale miałem jakąś przyjemność z pójścia do pubu, zobaczyło się starych kumpli, posłuchało ich rozmów, pogapiło, jak się bawią.

Kiedy już mu się to znudziło, postanowił nadrobić zaległości w swoim ziemskim życiu i zobaczyć kawałek świata. _ Oświeciło mnie - mówił - że skoro mogę być

pod "Różą i Koroną", mogę też być w jakimś Timbucktoo. Postanowiłem wyruszyć w podróż dookoła świata.

Jednak nawet darmowe podróże zaczynają się po jakimś czasie nudzić, gdy nie ma do kogo ust otworzyć. Przypomniał sobie niedzielną szkółkę.

- Wciskali nam kit. Niebo i takie tam inne... Nie wydawało mi się to zbyt zachęcające. Zdaje się, że gdzieś tam w głębi mnie było pragnienie czegoś więcej.

Później zacząłem sobie zdawać sprawę, że ktoś mnie śledzi. Niemał czułem jego wzrok na swoich plecach. "Co, do diabła?", pomyślałem i obejrzałem się za siebie. Nie było nikogo. Potem, któregoś dnia, postanowiłem: "Trzeba to zbadać".

Nagle doszedłem do wniosku, że być może, jeśli oderwę się od starych miejsc i pogodzę z myślą, że potrzebna mi jest pomoc, to ją otrzymam. Postanowiłem więc pojechać do Suffolk, miejsca swego dzieciństwa.

Zamilkł.

- Tak - odezwał się zachęcająco Woods.

- Niech pan mówi - dodała Betty Greene. - To naprawdę zajmująca opowieść!

Harry przywołał obraz z dzieciństwa: drzewo nad strumieniem, przy którym często przesiadywał.

- Nagle zobaczyłem przed sobą jakiegoś młodego koleśka. Pomyślałem, że ma nie więcej niż dwadzieścia trzy lata.

Na oko sympatyczny. Miał gęste kręcone włosy i ubrany był w garnitur.

Ten facet stał przede mną i patrzył na mnie. Wlepiłem w niego wzrok, żaden z nas nie wybąkał ani słowa. Pomyślałem, że to halucynacje. Coś tu nie grało. Obaj milczeliśmy, miałem wrażenie, że jego myśli przenikają do moich. Dotąd nie wiem, jak to się stało. Słyszałem jego głos w swojej głowie: "To twoja sprawa, chłopie, rozumiesz?".

Zastanawiałem się, co ma być moją sprawą. Wpadłem w trans - jak w hipnozie. Wstałem, a on stopniowo cofał się. "Cholerny dureń", myślałem. "Jak postąpi jeszcze krok, to wpadnie do wody", bo jak wam mówiłem, płynął tam strumień. Ale nie, nie wpadł. Stał na ziemi, a ja ruszyłem jego śladem. Był przy samym brzegu. "Zaraz dostaniesz za swoje", - pomyślałem. Ale stało się inaczej. Chodził po wodzie.

Nie wiem dlaczego, ale dokładnie wtedy przyszła mi na myśl szkółka niedzielna. Przypomniało mi się, że Jezus też chodził po wodzie. Tylko że ten facet nie mógł być Jezusem. Tak czy inaczej włosy stanęły mi dęba. Nie wiedziałem, czy poruszam się do przodu, czy do tyłu.

On cofał się, a ja, jak w jakimś transie, podążałem za nim.

Właściwie czułem się ciut głupio, tylko że nie mogłem się powstrzymać. Nie mogłem się wycofać. Musiałem iść za nim.

Nagle poczułem się tak, jakby ktoś wrzucił mnie do choleryjnej windy. Unosiłem się w powietrzu! On oczywiście także. "Chryste", cały zmartwiałem, "lepiej zamknę oczy". Ogarnęła mnie panika. Nagle okazało się, że szybuję parę mil nad ziemią. Wszystko zdawało się oddalać coraz bardziej i bardziej - kominy domów, czubki drzew. Miałem wrażenie, że wzbijam się ponad chmury i widzę nadlatujący samolot. Zmierzał prosto na mnie. "O rany", przeleciało mi przez głowę, "mam

nadzieję, że będę szybszy od niego". Jednocześnie pomyślałem też - śmieszne, że można tu myśleć o trzech lub czterech rzeczach naraz - że i tak mnie nie dogoni, bo chyba umarłem.

W każdym razie po pewnym czasie szybowaliśmy razem, ja i samolot. Potem w jakiś dziwny sposób, wzbijając się coraz wyżej i wyżej, zbliżyliśmy się do siebie. Nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz w jednej chwili usłyszałem potężny huk i straciłem przytomność.

Później zdawało mi się, że budzę się z głębokiego snu.

Znalazłem się w bardzo przytulnym pokoju. Naprawdę bardzo przytulnym. Żadne tam cegiele, ale czyste, wygodne miejsce. Ładne łóżko, ładna pościel, wszystko świeże, błyszczące, a przez okno wpada światło. Widziałem ptaki, a właściwie słyszałem ich śpiew. "Gdzie ja jestem? Nic tu się nie trzyma kupy". Ale nie mogłem temu zaradzić, więc uznałem, że najlepiej będzie położyć się i wypocząć. Niedobrze dać się ponieść nerwom.

Nagle otworzyły się drzwi i, ech, nie do wiary, stanęła w nich... moja matka!

Harry'emu wreszcie się udało. Wygląda na to, że w końcu wszystkim się udaje. Jego przeżyć nie można jednak uznać za typowe. Dla zwykłego człowieka wiodącego normalne życie, przykład ten jest dowodem, że podróż z tego świata do przyszłego może potrwać trochę dłużej niż przejazd z podmiejskiej okolicy do biura w centrum miasta. Tak było chociażby w przypadku pana Biggsa z Buckinghamshire, który szczegółowo zrelacjonował to Woodsowi i Greene w 1966 roku. Jego opis przypominał raport oficera policji z miejsca zdarzenia.

- Czy pan Woods? - zaczął spokojnym, rzeczowym tonem.

- Tak - odrzekł Woods.

- W porządku - odpowiedział głos. - I pani Greene. Wiele o was słyszałem. Także o waszym przedsięwzięciu. To bardzo interesujące.

Wydawało się, że głos należy do osoby starszej. Bez żadnego charakterystycznego akcentu. Mógł to być wiejski rzemieślnik lub sklepikarz, niezbyt wykształcony, lecz posiadający naturalny dar wysławiania się.

- Nagrywacie to? - upewnił się.

-Tak.

- W porządku. Słyszałem o panu i o pani Greene co nieco od różnych ludzi stąd. To urządzenie to magnetofon prawda?"

- Rzeczywiście - potwierdziła Betty Greene.

- I nagrania może wysłuchać wiele osób, prawda?

- Proszę z nami rozmawiać jak z przyjaciółmi - poprosiła Betty Greene.

- Ależ, moja droga, nie należę do osób, które wygłaszałyby przemówienia.

- Może nam pan powiedzieć, w jaki sposób pan umarł i jak odnalazł się po drugiej stronie?

- Po prostu umarłem.

- A mógłby pan nam opisać, jak pan zareagował na wieść o swojej tak zwanej śmierci?

- Ależ tak. Siedziałem na krześle i właśnie czytałem gazetę. Nagle poczułem się jakoś dziwnie. Zdjąłem okulary, odłożyłem je na stolik i pomyślałem, że jeśli posiedzę minutkę w spokoju, to szybko mi przejdzie. Następnie zdałem sobie sprawę, że wciąż tam siedzę, ale

jestem gdzie indziej. Stałem obok krzesła i patrzyłem na siebie! Na stoliku leżała gazeta, okulary, a mnie się to wszystko wydawało dziwne. Nawet bardzo.

Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś puka do drzwi. Stałem tam patrząc na siebie siedzącego na krześle, a jednak słyszałem pukanie zza drzwi i jednocześnie, choć nie ruszałem się z pokoju, wiedziałem, kto puka. To była moja siostra. Mieszkała kilka domów dalej na tej samej ulicy. "O Boże, zastanawiałem się gorączkowo. "Co ja mam teraz zrobić? Nie mogę otworzyć drzwi". Przeraziłem się.

Pukanie nie ustawało. W swej niemocy łudziłem się, że śnię lub coś w tym rodzaju i miałem nadzieję, że zaraz będę się mógł obudzić i otworzyć siostrze drzwi. Ale tak się nie stało. Potem zobaczyłem, że siostra, przejęta i przestraszona, wybiegła z domu. "Co robić?" - głowiłem się.

Po jakimś czasie - z pewnością tylko kilku minutach - siostra wróciła z policjantem. O Jezu, po co ona sprowadza policjanta? I nagle błysnęła mi pewna myśl. Oczywiście, siostra nie mogła się dostać do środka i martwiła się o mnie. Tylko że ja nic nie mogłem zrobić, więc stałem tam obok siebie. Jak to mówię, brzmi to trochę niemądrze. Doszedłem do wniosku, że jeśli siostra wejdzie do pokoju i zobaczy mnie nieprzytomnego, na pewno się przełęknie. Musiałem spróbować się obudzić. Szarpałem się jak szalony, bez skutku. "Co robić?"

W końcu policjant wszedł do domu przez okno. Gdy znalazł się w pokoju, rozpoznałem go, bo wiele razy widywałem go podczas obchodu. Nadchodziła chwila, w której miałem zrozumieć, co się dzieje. Policjant potrząsnął mną. Myślał, że śpię. Jednak nie zareagowałem. Policjant doszedł do wniosku, że nie żyję. Otworzył drzwi i wpuścił do środka moją siostrę.

Była w strasznym stanie. W owym czasie byłem już jej jedyną bliską osobą. Poszli po lekarza. Przyszedł stary doktor Foskett, ale się nie przydał. To znaczy nic już nie mógł dla mnie zrobić. Wszystko było jasne. Nawet dla mnie.

Próbowałem uspokoić siostrę. Nie zwracała jednak na mnie uwagi. Stałem przy niej, obejmowałem ją ramieniem i zapewniałem, że nic mi nie jest, że tam na krześle to nie ja. Ale to do niej nie docierało.

Odszedł doktor, a przybyli oni i zabrali moje ciało. Rzucali nim jak workiem ziemniaków. "Nie pójdę za nimi", zdecydowałem. "Zostanę u siebie w domu. Mogę usiąść na swoim krześle, bo jest już puste". Usiadłem i próbowałem pozbierać myśli. Siostra poszła i zostałem w domu sam.

Wtem odniosłem wrażenie, iż zniknął kominek. Tylko tak mogę to opisać. Potem pozostała na miejscu kominka ściana także zniknęła i ujrzałem wspaniałe, zielone pola, lasy i niewielką - chciałem powiedzieć rzekę - ale był to raczej strumyk. Widziałem też coś w oddali, na początku nie mogłem ustalić, co to jest, ale zmierzało w moją stronę. Po pewnym czasie dostrzegłem postać. To była moja matka!

O Boże, wyglądała dokładnie tak, jak na wizerunku malowanym z okazji jej pierwszego ślubu. Portret ten nadal wisiał w pokoju. Szła do mnie z miejsca, w którym kiedyś znajdował się kominek, miała roześmianą, szczęśliwą twarz.

"Chodź - odezwała się. - Nie masz tu po co zostawać. Lepiej tu nie siedź. Nikt i tak cię nie zobaczy".

"Nic nie rozumiem".

"To wszystko już się skończyło - mówiła matka. - Było, minęło. Widzisz, ty już umarłeś. Nie ma po co tu tkwić na tym starym krześle. Ani w tym pokoju... w tej starej klitce".

Opowiedziała mi o drodze, która mnie czeka. Od wielu lat mieszkałem samotnie. Mój stary psiak zdechł kilka lat wcześniej, a nie miałem sumienia kupować nowego, bo doskonale wiedziałem, iż nie pożyję długo i nie chciałem zostawiać biednego zwierzaka samego.

"Pójdź ze mną - powtórzyła. - Jest u mnie Mick". "Mick?" - Był to mój stary pies.

"Tak, Mick. Razem na ciebie czekaliśmy".

"Och, jak wspaniale będzie go znów zobaczyć" - ucieszyłem się.

Ruszyłem za matką.

Briggs wstąpił na drogę pomiędzy tym a przyszłym światem. Czas już pójść za nim i zobaczyć, co się dzieje po przejściu na drugą stronę.

Rozmowa z matką

- Zabawne tak przejść przez kominek i znaleźć się wśród cudownych krajobrazów - rozmarzył się Briggs. - Spacerowaliśmy sobie, a mama zagadywała mnie opowiadając o różnych sprawach.

"A jak tam ojciec?" - zapytałem.

"No cóż, widziałam go - odrzekła. - Wiesz, nie jestem z nim, bo byliśmy w separacji".

Oczywiście, że wiedziałem o ich separacji. Nigdy za dobrze się między nimi nie układało.

"Widuję go - przyznała się. - Ale nie żyjemy ze sobą. Mieszkam ze swoją rodziną".

Chodziło o jej matkę, czyli moją babkę. Także o Florrie, jej ulubioną siostrę zmarłą przed wielu laty, kiedy byłem jeszcze chłopcem.

"Florrie i ja - ciągnęła - jesteśmy jak papużki nierozłączki. Mamy wiele wspólnego. Wiesz, jak mnie poruszyła jej śmierć".

"Słabo pamiętam te czasy. Byłem jeszcze wyrostkiem".

"No tak, w każdym razie ja i Florrie znów jesteśmy razem. Pracujemy w szpitalu".

"Co takiego?"

"Pracujemy w szpitalu".

"Jak to w szpitalu? - zdziwiłem się. - Przecież umarli nie chorują. Nikomu nic nie doskwiera, nikt nie cierpi. Po co tu szpitale?"

"No cóż, to trochę inne szpitale. Pomaga się tam pewnym typom ludzi nie przystosowanych psychicznie i potrzebujących wsparcia oraz przewodnika. To bardzo ciekawa praca i daje mi dużo szczęścia. Jako że często spotykam się też z ludźmi młodymi, widuję twego brata Arta. Pamiętasz go?"

"Arta? - zdumiałem się. - Nie przypominam sobie, żebym miał brata o imieniu Art".

"Ach tak - zreflektowała się matka. - Nie możesz go pamiętać, bo zmarł jako niemowlę jeszcze przed twoim urodzeniem".

"Rzeczywiście - odparłem po namyśle. - Coś mi świta w głowie".

"Tak, umarł jako dziecko, ale dorósł".

"To niewiarygodne!"

"Hm, na razie wiele rzeczy może cię zadziwić - odrzekła. - Po jakimś czasie przywykniesz. Nic nie przychodzi od razu. Musisz być cierpliwy".

"A co się stanie z moim domowym dobytkiem?"

"O to nie musisz się martwić. Przecież i tak nie miałeś zbyt wiele rzeczy, prawda?"

"No cóż, sam nie wiem, dla ciebie mogą one nie mieć wielkiego znaczenia, ale dla mnie... Poza tym... ,,

"Słuchaj - przerwała mi matka. - Naprawdę nie ma się czym przejmować. Nie myśl o tym".

"Mimo wszystko powinienem się zjawić na swoim pogrzebie".

"Och, nie mówmy teraz o tym. Zobaczmy".

"OK. Chciałbym się przekonać, kto przyjdzie - rzekłem. - Nie sądzę, żeby zjawiło się zbyt wiele osób. Na pewno stary, dobry Alfie nie zawiedzie".

"Nie trap się już tym, proszę".

Matka znów mnie zaczęła zagadywać. Zabawne, że używam takiego słowa: "zagadywać". Mama niby mówiła, a jednak nie otwierała ust. Zastanowiło mnie, że słyszę jej głos. Zatrzymałem się.

"No chodź" - nagliła.

"Ale ja czegoś tu nie rozumiem. Mówisz do mnie, a przecież nie poruszasz wargami. Tak jak brzuchomówca - stwierdziłem. - Śmieszne, prawda?"

"Ach, wkrótce i ty nauczysz się mówić swoimi myślami - zapewniła. - Docierają do ciebie moje słowa, prawda? Słyszysz mnie?"

"Owszem, ale ty właściwie nie mówisz".

"Przyzwyczaisz się - powiedziała. - Z czasem wszystko pojmiesz".

"Sam nie wiem" - dumałem. Byłem naprawdę zdezorientowany.

Później doszliśmy do mostu. W nim też było coś zabawnego. W duchu pomyślałem sobie: "O, znam skądś ten most. Pamiętam go z dzieciństwa".

"Tak, zgadza się" - odezwała się matka.

"Zabawne - mruknąłem. - Skąd on się tutaj wziął? Gdzieś blisko powinna być ta stara osada".

"Wszystko zrozumiesz. Mamy tutaj swego rodzaju repliki. Przyprowadziłam cię tutaj, żeby obudzić w tobie szczęśliwe wspomnienia. Ten most ci pomoże. Przypominasz sobie tę małą wioskę i mieszkających w niej ludzi?"

"Tak".

"Ona jest tam".

"Jak to możliwe? Przed laty znajdowała się w Buckinghamshire".

"Masz rację - mówiła matka. - To w pewnym sensie ta sama wioska. Dla ciebie jednak będzie prawdziwa".

"Poddaję się. Nic nie rozumiem".

"Nie przejmuj się, chłopcze. Zrozumiesz. - A potem dodała: - Pójdziemy do May".

"Do kogo?"

"Do May".

"Do cioci May?"

"Tak".

"Umarła parę lat temu".

"Naturalnie. Ja też".

"Racja".

Czasami niepełnie wiedziałem, co mówię. "Więc odwiedzimy May" - postanowiła matka.

"Mieszka w tej wiosce?"

"Tak, tak jak dawniej".

"Trudno mi się w tym połapać" - westchnąłem.

"Tak jest zawsze na początku - odparła. - Trzeba się troszkę poduczyć. May zawsze czuła się w tej wiosce szczęśliwa. Kochała swój mały domek. Pamiętasz go? Stał na samym końcu osady".

"Oczywiście".

"No to teraz będziesz go mógł zobaczyć na własne oczy".

Miałem wrażenie powrotu do przeszłości. Stał tam ten sam mały domek. Był czwarty, ostatni w szeregu. Przed nim wznosił się niski, zbudowany z cegły murek. Wujek zawsze był niezmiernie dumny z niewielkiego ogródka. Ach, co to był za widok! Wszystkie grządki, kwiatki - dokładnie tak, jak lubił. On sam, wraz z cicią, stał w drzwiach.

Wyglądał jednak całkiem inaczej. Zawsze wysoki, lecz na starość zaczął się garbić. Teraz znów był rosły i prosty jak strzała. Emanował młodością.

Zrobili wokół mnie dużo rabanu, zabrali mnie do środka, w domu panował ład i porządek, wszystko było nowe i czyste. Jak niegdyś.

"Hm, nie wiem. Nie czuje się gorączki letniego dnia, a jednak to chyba letni dzień. Nie widzę słońca, ale jest cudownie jasno" - rzuciłem.

"Tak, tak - przyznali. - Istotnie nie mamy tutaj nadzwyczajnych upałów ani chłódów. Klimat jest łagodny, dopisuje pogoda, a słońce zawsze miło świeci... Napijesz się herbaty?"

To mnie przywołało do porządku.

"Ten kawał nie przejdzie - uśmiechnąłem się chytrze. - Herbatka dla umarłych?"

Ciotka ze śmiechem wyjaśniła:

"Mama bez wątpienia już ci próbowała wytłumaczyć, że pojdziesz to później. Na początku wszystko jest tak samo, żeby czuć się szczęśliwie, rodzinnie, po domowemu. Wkrótce nie będzie to konieczne. Masz ochotę na herbatę?"

"Nigdy bym nie wpadł na to, że po śmierci można pić herbatę..."

"Ach, nie będę się z tobą spierać. Po prostu przyniosę". Po chwili wróciła z dzbankiem gorącego, aromatycznego płynu. Zabawne, że to właśnie ten dzbanek zapamiętałem. Stary, brązowy, z utraconym dzióbkiem. Również serweta była ta sama. Ciocia zrobiła ją niegdyś na drutach.

"Nie mówcie mi, że zabraliście... Chyba po wykorkowaniu nie ciągnęliście maneli ze sobą?"

"Nie - odrzekła spokojnie. - Byłam tak samo zaskoczona jak ty, kiedy to wszystko tu zastałam. Najwidoczniej cokolwiek ma dla ciebie znaczenie, warte jest posiadania. Jeśli coś jest dla ciebie ważne, możesz to mieć - przynajmniej, gdy o tym myślisz. Jeśli twój umysł się od tego uwolni i uznasz, że dana rzecz nie jest niezbędna, wtedy przestaje ona dla ciebie istnieć. Cały rytuał picia herbaty powrócił, bo ty do niego zatęskniłeś. A pamiętasz tę tacę, cynową, w kwiaty? Oto ona".

"Chcesz powiedzieć, że macie tu cały swój dobytek?" "Tylko w chwili, gdy o nim myślimy. A ponieważ ty miałeś przybyć, pomyśleliśmy o tych drobnostkach, abys poczuł się jak u siebie w domu. Jednak, gdy tylko uznamy, że nie są one dla nas ważne, nie będziemy ich już potrzebować".

"Tak trudno mi to pojąć" - rzekłem bezradnie.

Jak wiecie, na ziemi moja siostra cały czas wyplakiwała sobie oczy. Łała krokodyle łzy. Nie miała

dla mnie zbyt wiele czasu, lecz czuła, że opieka nad mną należy do jej obowiązków. Nie była złą siostrą, ale z takich czy innych powodów musiała utrzymywać swojego męża.

W każdym razie zacząłem się zastanawiać nad swoim pogrzebem. Uznałem, że powinienem pójść. Skoro to ja jestem umarłym - wypada się pokazać.

Matka roześmiała się i spytała:

"Po co chcesz tam schodzić? Wszystko to już masz za sobą. Nie musisz wracać ani oglądać żadnych pogrzebów".

"To głupie, ale chciałbym być na własnym pogrzebie".

"No, skoro tak - zawahała się. - Skoro masz na to ochotę, pójdziemy z tobą. A tymczasem odpocznij. Chcesz się położyć do łóżka?"

"Do łóżka? A więc macie i łóżka?"

"No cóż, nam nie są potrzebne - odparła. - Tobie jednak może się przydać".

Żeby nie komplikować sprawy, położyłem się do łóżka. Dalej pamiętam, że po przebudzeniu stałem na komunalnym cmentarzu. I to mnie zdenerwowało. Zaniepokoiłem się nie na żarty, ponieważ przez całe życie płaciłem ubezpieczenie. Teraz chowano mnie z biedakami. Dałbym głowę, że starczyłoby pieniędzy na godziwy pochówek. Był to, jak sądzę, jedyny powód, dla którego chciałem przybyć na swój pogrzeb.

Wraz z moją siostrą przyszło jeszcze dwóch innych ludzi.

Jednego rozpoznałem. Był to stary dobry znajomy, z którym chodziłem jeszcze do szkoły. Padało jak z cebra. Stary pastor spieszył się z obrządkiem, jakby uciekał mu pociąg. Było jasne, że siostra nie zatroszczyła się o kupno kwatery. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia, chodziło o zasadę. Miałem polisę ubezpieczeniową i zostawiłem siostrze wcale pokazną sumkę. Jak ona mogła. "Dobra" - myślę sobie, "zgago jedna, poczekam, aż ty się tutaj zjawisz. Wtedy się policzymy".

"Posłuchaj... - Matka próbowała ukoić moje rozgoryczenie. - Kiedy ona tutaj przybędzie, będziesz już myślał inaczej. Mimo wszystko... ,,

"Co za strata pieniędzy!"

"Spójrz na to inaczej - persadowała matka. - Co za różnica, gdzie cię chowają? Ważne, gdzie teraz jesteś. A te pieniądze pomogą jej związać koniec z końcem. Słabo znam się na zasadach".

"Twierdzisz, że zasady się nie liczą?" - zapytałem. Wiedziała równie dobrze jak ja, że ubezpieczyłem się, aby mieć przyzwoity pogrzeb.

"A co za różnica, czy pogrzeb z pompą, czy nie? Jakie znaczenie ma to, że pastor wypowiada modlitwę z prędkością karabinu maszynowego?"

"Jak to jakie?"

"Przecież jesteś tutaj, prawda? Nie sprawia ci to żadnej różnicy. Jest ci dobrze".

"Tak, jestem tutaj i jest mi dobrze".

"Zatem przestań się przejmować pogrzebem. Poza tym to pastor i twoja siostra po odejściu z cmentarza będą musieli zmagać się z życiem. Spójrzec prawdzie w oczy. To ich będą gnębić wyrzuty sumienia. Nie możesz ich winić. Oboje są ignorantami. Chociaż to moja córka, muszę tak o niej powiedzieć. Ale wszystkiego się nauczy. Podobnie jak pastor. Ty już zrozumiałeś, że to nie ciało w grobie jest ważne ani

ekspresowy pochówek, ani te parę pensów. Ważne jest, kim jesteś w środku, kim jesteś ty sam, nie zaś kogo udajesz lub kim w swym mniemaniu być powinieś. Liczy się to, kim ty sam naprawdę jesteś. Tylko to ma znaczenie. Obejrzyj się teraz na swoje życie. Zobacz, nigdy nikomu nie uczyniłeś krzywdy i nigdy nie miałeś złych intencji. Nie kończyłeś szkół, nie chodziłeś zbyt często do kościoła. Ale nie byłeś złym człowiekiem i robiłeś wszystko najlepiej jak umiałeś. Dowiesz się wszystkiego, chłopcze, dowiesz się".

Więc to jest niebo?

Czy jeśli, tak jak pan Biggs, mamy zawsze dobre zamiary i nikomu nie czynimy krzywdy, dostaniemy się do nieba? Czy dla nas wszystkich będą rosły kwiaty w ogrodzie? Czy każdy z nas zostanie podjęty herbatką?

Mimo dużej liczby dowodów, nadal istnieje wiele niepokojących luk w naszej wiedzy na temat życia w przyszłym świecie. Niektóre kwestie głośno traktują dziwnie powierzchownie, a w innych wydają się zaskakująco niedoinformowane. Jednak - dzięki bezpośrednim pytaniom Betty Greene i jej stanowczości w egzekwowaniu odpowiedzi - jeden z aspektów eterycznego życia mamy opisany równie dokładnie jak królewskie zaślubiny lub przebieg mistrzostw świata. To, co się dzieje po przybyciu.

Teda Butlera, zabitego w Leeds przez ciężarówkę, zostawiliśmy w tramwaju w chwili podawania ręki przewodniczce.

- Złap mnie za rękę - poleciała. - Zamknij oczy i spróbuj nie myśleć o niczym konkretnym. Postaraj się mieć jasny umysł.

Co dalej się stało z Tedem Butlerem?

- Zrobiłem, co mi kazała. Nie przyszło mi to bez trudu.

Nie wiem, jak długo trwało to oderwanie. Musiałem stracić przytomność. Pamiętam tylko, że obudziłem się w wygodnym fotelu, naprzeciw tej damy, w bardzo przytulnym saloniku. W oknach wisiały kretonowe zasłony. Podłogę przykrywał gruby dywan. Miałem cudowne uczucie, że jest jasno i ciepło, zdawało mi się, że przez zasłony przebija się słońce. Ujęła mnie czystość i schludność. Stół był nakryty do popołudniowej herbaty.

"Gdzie ja teraz jestem?"

"W moim pokoiku" - wyjaśniła kobieta.

"O, to bardzo miło z twojej strony. Ciekawe, co by moja żona na to powiedziała?"

"Ach, nie musisz się tym przejmować - roześmiała się. - Masz to już dawno za sobą. Teraz miło sobie pogawędzimy, wypijemy po filiżance herbaty i wyjaśnię ci co nieco".

"Jesteś bardzo uprzejma".

"Nawiasem mówiąc, chciałabym, żebyś wiedział, że przebywam tu już od wielu lat. Trafiłam tu na przełomie wieków".

"Ach tak!"

"Mieszkam z matką".

"Z matką? A gdzie ona teraz jest?"

"Wyszła".

"Do pracy?"

Roześmiała się.

"Chyba można to nazwać swego rodzaju pracą, chociaż słowo to ma tutaj zupełnie inne znaczenie. Na ziemi moja matka harowała i zawsze miała ręce pełne

roboty. Teraz opiekuje się dziećmi. Zawsze chciała zajmować się maluchami. Pracuje ze zmarłymi w wieku niemowlęcym i dziecięcym, pomaga im dorastać i opiekuje się nimi. Uwielbia to zajęcie. Niedługo wróci. Napijmy się herbaty".

"Ciekawe, czy poczuje jej smak - zastanawiałem się. - Gdy byłem u swojej żony, podano herbatę, miałem ochotę spróbować, lecz oczywiście nie mogłem podnieść filiżanki, nie mówiąc już o posmakowaniu".

"Tym razem ci się to uda - zapewniła kobieta. - Bo tutaj panuje zupełnie inna atmosfera. Znajdujesz się w naturalnych dla siebie warunkach, więc wszystko wokół ciebie jest naturalne i rzeczywiste. Realne na wyciągnięcie ręki. Herbata oczaruje cię aromatem i smakiem".

Spróbowałem i nie zawiodłem się. "Wyborna, prawda?"

"Tak - odparłem. - Wyśmienita. Kto by pomyślał. - Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. - Jak by ludzie na ziemi zareagowali na wieść, że popijamy sobie herbatkę? Pomyśleliby, że zwariowaliśmy".

"Trudno byłoby im to zrozumieć - odparła. - Gdy już tu trafisz, znajdujesz potrzebne ci rzeczy. Jednak tylko kwestią czasu jest uświadomienie sobie, że wcale ci tych rzeczy nie potrzeba. Ja normalnie nie pijam herbaty. Uważam jednak, że gość musi się stopniowo przyzwyczaić do nowych warunków".

"Jesteś dla mnie bardzo łaskawa - uśmiechnąłem się z wdzięcznością. - Zadajesz sobie tyle trudu".

"To żaden kłopot. To należy do moich zajęć". "Do twoich zajęć?"

"Tak, tak. Nabrałam nawyku schodzenia na ziemię i pomagania ludziom przywiązany, tak jak ty, do ziemi".

"Jak powiedziałaś?"

"Przywiązany do ziemi".

"Przywiązany do ziemi?"

"Tak, biedaku. Całym sobą, myślami i umysłem. Samemu nie udało by ci się wyplątać. A moja praca polega częściowo na pomaganiu ludziom w uwalnianiu się od rzeczy materialnych. Wiele razy jeździłam tamtym tramwajem, ponieważ przed laty sama mieszkałam w tym mieście. Wywiązuję się ze swojego drobnego obowiązku. Jak tysiące podobnych mi ludzi".

Ted Butler powoli się aklimatyzował. Co się stało z innymi, których opuściliśmy, gdy podawali rękę przewodnikowi? Lub gdy dopiero uświadamiali sobie, że umarli?

Ruperta Brooke'a zostawiliśmy nad rzeką, gdy niepokoił się brakiem swojego odbicia w wodzie.

- Siedziałem tam nad tą rzeką - mówił - i głowiłem się nad wyjaśnieniem zagadki. Nie bałem się ani trochę, tylko usiłowałem przewidzieć rozwój wypadków. Wtem uświadomiłem sobie, że ktoś za mną stoi.

Obejrzałem się i nie dostrzegłem nikogo. Jednak czułem czyjąś obecność. Znienacka usłyszałem głos mówiący:

"Pójdź za mną".

"Jak mogę iść za kimś", pomyślałem, "skoro go nie widzę?"

Głos powtórzył trzy razy:

"Chodź ze mną. Zamknij oczy".

Potem pamiętam, że znalazłem się w pomieszczeniu, które przypominało salę koncertową. Wypełniona była po brzegi widzami. Cały zatopiłem

się w słuchaniu przepięknej muzyki. Wydawało mi się, że zawiera przesłanie, które interpretowałem jako zachętę do spokoju, odprężenia, ciszy, na przekór zmartwieniom i kłopotom. Dźwięki muzyki wlewały we mnie błogość, dawały ukojenie.

Stopniowo zacząłem w dali dostrzegać coś, co tworzyło panoramę zmieniających się światła.

Była to gra tysięcy kolorów - od żywych poprzez blade, subtelne odcienie. Po jakimś czasie tańczące światło wypełniło całą salę.

Chciałem z kimś porozmawiać, jednak obawiałem się odezwać. Z boku usłyszałem zachętę:

"Możesz to zrobić. Nie przejmuj się. Wolno ci".

"Co to za miejsce?" - wybąkałem.

"Tutaj przeistoczysz się. Pod wpływem wibracji dokona się w tobie przemiana. To sala oczyszczeń".

Nie tylko ja stawałem się nową istotą. Zmieniali się też otaczający mnie ludzie. Nie potrafiłem wyjaśnić tego procesu. Całe moje ciało wypełniło się jakąś mocą, witalnością, okrzepło. Ktoś z tłumu przemówił do mnie:

"Niedawno zesłiliśmy z tamtego świata, przyprowadzono nas tutaj i pokazano, w jaki sposób doświadczać nowego życia".

Zauważyłem, że jacyś mężczyźni i kobiety wtapiają się w tłum siedzący na widowni. Dopiero później zrozumiałem, że ludzie ci mieli za zadanie nadzorować tę swoistą inicjację i pomagać innym w przystosowaniu się do nowego życia.

Potem zaprowadzono mnie do parku, pełnego spacerowiczów, jak najbardziej realnych. Uświadomiłem sobie, że moje ciało funkcjonuje w harmonii z myślami.

Usiadłem pod drzewem i zatopiłem się w rozmowie z moim przewodnikiem. Zapytałem, czy będę mógł dalej pisać.

"Ależ oczywiście, jeśli tylko zechcesz. Możesz zostać malarzem lub muzykiem. Po tej stronie droga do postępu jest jedna - iść naprzód".

Czułem, że gdybym mógł swoje przeżycia opisać i wysłać na ziemię, taka relacja okazałaby się cenna i wielce pomocna. Zapytałem, czy będzie to możliwe. Odpowiedziano mi, że owszem, lecz nie wiadomo kiedy.

Mężczyzna, mój przewodnik, z uśmiechem wyjaśnił:

"Większość ludzi zaraz po przybyciu tutaj zachowuje się podobnie. Chcą prędko wracać do swoich krewnych i przyjaciół, pragną rozpowiadać wszem i wobec, jak wspaniale jest przejść z tamtej strony na tę. To zupełnie naturalny proces. Wszelkie ludzkie obawy przed śmiercią nie mają żadnego uzasadnienia... Nie martw się. Być może nadejdzie czas, że będzie można wrócić i wyświadczyć ludziom przysługę".

Rzeczywiście. Po dwudziestu dwóch latach oczekiwań dotarła do nas relacja mieszkańca przyszłego świata, przekazana ustami intelektualisty, wielkiego poety. Rzesze sławnych i wybitnych osobistości ustawiały się w kolejce, aby porozmawiać z nami poprzez Flinta, Woodsa i Betty Greene. Od Oscara Wilde'a do Mahatmy Gandhiego i Cosmo Gordona Langa - arcybiskupa Canterbury. Oni jednak zbyt koncentrowali się na dawaniu nam porad i wskazówek, jak powinno wyglądać życie na tym świecie i zarzucali nas zbyt wielką liczbą informacji. Opowieść o realiach życia po śmierci jest domeną ludzi pokroju George'a Hopkinsa - znacznie mniej wykształconego, ale

rzeczowego i skrupulatnego. Zostawiliśmy go w małym wiejskim domku - żywcem wziętym z jego snów.

- Był dokładnie taki sam - opowiadał. - Moje stare psisko biegało dokoła merdając ogonem. Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i zastałem chyba ponad tuzin znanych mi ludzi. Brata, siostrę, rodzinę mojej żony. Powitali mnie wylewnie. Od tych głosów, szeptów i rozmów, ujadania psa zrobił się prawdziwy harmider. Wydali na moją cześć prawdziwe przyjęcie. Bylibyście zaskoczeni.

Sam byłem zdziwiony. Pomyślałem sobie, że nie powinni pić herbaty z filiżanek ani siedzieć za stołem i jeść.

"Masz rację - przyznali. - To tylko tak na początek. Być może nie spodziewałeś się tego, ale chcieliśmy, abyś czuł się jak u siebie w domu. To pomoże ci się zaaklimatyzować. Masz Polia, psa i nas. Będziemy cię odwiedzać".

Nagle spojrzałem na siebie z innego punktu widzenia. "Tu jest tak wspaniale - westchnąłem. - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Ani jak się zachować".

"Na razie nic nie mów ani nic nie rób - zaproponowali. - Odpręż się, wypocznij sobie i wydobrzej po tym, hm, jak wy to mówicie, przejściu".

"Nie ogarniam tego rozumem. Wszystko jest takie naturalne, rzeczywiste. Wy, ludzie których kochałem, czekaliście na mnie, zgotowaliście mi takie przyjęcie. Ci tam na dole powinni o tym wiedzieć. Chociaż trochę. Zwłaszcza pastor. Wiem, że nie chodziłem do kościoła regularnie. Pastor jakby niczym się nie przejmował. On chyba nie jest w stanie nikogo pocieszyć. Jak to jest?"

"Nie wolno ci obwiniać starego pastora. Stara się robić wszystko najlepiej, po prostu okoliczności mu nie sprzyjają. Ludziom umyka istota sprawy, jej sens i wymiar".

Potem zaczęli mi tłumaczyć, że pastor trzyma się poglądu, iż z jakichś powodów tylko ci tak zwani dobrzy zostaną zabrani do nieba, a w końcu powrócą na ziemię, by zamieszkać w fizycznych ciałach.

"Oczywiście - wyjaśniali - zdarzają się także osoby o szerszych horyzontach. Pastor jest staroświecki. Niektórzy są bardziej otwarci, jednak tylko nieliczni zdają sobie sprawę z takiego jak twoje - życia po śmierci. Przyjmują do wiadomości fakt jego istnienia, lecz nie traktują poważnie możliwości porozumiewania się między tymi dwoma światami. Dwoje czy troje z nas bywało na czymś, co nazywacie sesjami, zgromadzeniami, seansami spirytystycznymi, próbowali nawiązać kontakt, przesyłali wiadomości. Istnieje niewiele mediów, z którymi naprawdę można nawiązać kontakt. A co do Kościoła, to oni całkowicie stracili poczucie rzeczywistości. Żyją przeszłością i nie zdają sobie sprawy, że terażniejszość i przyszłość to wciąż ten sam wymiar. Coś takiego jak czas nie istnieje. To tylko złudzenie".

Z tej układanki wyłania się pewien kształt. Biggsowi pomogła w przemianie matka, Hopkinsowi - żona, Pritchettowi - przyjaciel, Butlerowi i Brooke'owi - przewodnicy. W sierpniu 1966 roku zgłosiła się dziewczyna mówiąca ze szkockim akcentem. Nazywała się Mary Ivan. Opowiedziała swoją historię, że po prostu straciła przytomność i ocknęła się w przyszłym świecie.

- Obudziłam się w miejscu przypominającym szpital. "Co to takiego?", nie mogłam pojąć. W domu długo chorowałam. Choroba przykuła mnie do łóżka. Pamiętam, że przeszłam się tam po "szpitalnym oddziale" - było czysto i przyjemnie. Wszystko wydawało się świeże i zwiewne, a każdy człowiek spokojny. Ludzie okazali sobie dużą serdeczność. Przez okna wpadało słońce (w każdym razie wtedy mi się wydawało, że to słońce), na ścianach wisiały obrazy.

"Dziwnie tu" - stropiłam się.

Wtem podeszła do mnie nadzwyczaj sympatyczna kobieta.

"Teraz musisz trochę odpocząć - zarządziła. - Kiedy wydobrzejesz, przyjdzie czas na poznawanie otoczenia i przyjmowanie odwiedzin".

"Dziwnie" - myślałam. - "Jestem pewna; że leżałam w łóżku w swoim domu, a tu jest szpital, więc musiałam stracić przytomność i przewieźli mnie tutaj". Potem, przez krótką chwilę, widziałam leżące dookoła inne dusze. Na sąsiednim łóżku dostrzegłam małą blondynkę. Radośnie pokazywała mi swoje książki, lalki i inne maskotki.

"Jak tu miło! Jestem taka szczęśliwa". "Tak, bardzo tu miło. Na co jesteś chora?" "Mam dyfteryt".

"Wyglądasz jak okaz zdrowia! Jesteś wesoła, żywa i masz rumiane policzki. Od jak dawna tu leżysz?"

"Bardzo krótko, chociaż już jestem bardzo szczęśliwa". Potem zobaczyłam swoją siostrę! Umarła, gdy miałam jakieś dwanaście lat. Nasza kochana Kate. Byłam zaskoczona. Przecież Kate tu nie ma. Ona nie żyje.

Podeszła z wielkim bukietem kwiatów i powiedziała:

"Proszę, to dla ciebie. Bardzo się cieszymy z twojego przybycia. Wkrótce nadejdą mama z tatą".

"Nie, to niemożliwe. Skąd się tu wzięłaś? Ciebie nie ma, ty umarłaś".

"Och, nie bądź niemądra - odrzekła. - W porządku, umarłam, ale ty także".

"Co?"

"Umarłaś".

"To niemożliwe. Czuję się aż nadto żywa. Jestem w szpitalu, tylko nie wiem, skąd się tu wzięłam. Czy ktoś cię widział?"

"Jasne, bo tu są sami umarli".

"Nic nie rozumiem" - odparłam.

Blondynka z sąsiedniego łóżka nie spuszczała ze mnie wzroku.

"Czy to prawda - dopytywała się. - Naprawdę umarłyśmy? Tamta pani też?"

"To moja siostra. Ona nie żyje. A skoro ona umarła, to my pewnie też. Ale przecież żyjemy. To jakiś obłąd".

"Przyszliśmy po ciebie" - rzuciła Kate.

"Jak to sobie wyobrażasz? Najpierw muszą mnie wypisać. Chociaż przyznaję, że czuję się doskonale. Nigdy w życiu nie byłam w takiej formie".

"Oczywiście, jesteś zdrowa jak rydz. Idę do salowej". Po krótkiej wymianie zdań poproszono mnie, żebym wstała z łóżka.

"A co z ubraniami?"

"To nie twoje zmartwienie".

Spojrzałam na siebie i... byłam ubrana! Nie przypominałam sobie, żeby ktoś przynosił mi ubrania ani żebym je zakładała, a jednak miałam je na sobie. Stałam przy łóżku w przepięknej sukience niebieskiego koloru z

mnóstwem koronek pod szyją. Włosy miałam upięte w kok.

Siostra zaśmiała się.

"To ja pomogłam ci się ubrać. Włosy też ja czesałam - swoimi myślami".

"Czy ja będę to umiała?"

"Naturalnie. To kwestia czasu. Niedługo za pomocą myśli osiągniesz wszystko. A teraz chodźmy, mama na nas czeka".

Schodziłyśmy śliczną klatką schodową wyłożoną marmurem. Mijali nas rozmaici, interesujący ludzie, a wszyscy wyglądali dziarsko i zdrowo.

Głos umilkł.

- Mów dalej, Mary - zachęciła ją Betty Greene. - To niezwykle interesujące.

Mary Ivan kontynuowała:

- Zeszliśmy po tych schodach na werandę, a potem do idyllicznego ogrodu. W ogrodzie tryskały fontanny. Dzieci biegały i bawiły się beztrudnie. Wszyscy czuli się bardzo swojsko, zdomowieni, a ja miałam poczucie wyobcowania.

"Oni są tu chyba już od dawna" - zauważyłam.

"To tylko złudzenie. Zaledwie od kilku dni. Przyzwyczaili się błyskawicznie. Czekają teraz na krewnych i znajomych. To ośrodek przyjęć. Ludzie często, choć nie zawsze, przychodzą tu i aklimatyzują się do życia w nowych warunkach, wyglądając przybycia znajomych. W końcu odchodzą.

Zazwyczaj zamieszkują potem z żoną, mężem, z matką i ojcem. Czasami długo czekają na swoich ukochanych, by razem opuścić ogród. Oczywiście oni zawsze pomagają, tak jak ja tobie, przełamywać pierwsze lody".

- Wcale nie trzeba bać się śmierci, to najbardziej zachwycające przeżycie, jakiego człowiek może doświadczyć.

Dziewczyna zaczęła się rozwodzić nad swoim nowym życiem. Betty Greene poprosiła ją, żeby dokończyła opowieść.

- Mary, spotkałaś w końcu swą rodzinę?

- Tak, zamieszkałam z mamą, a potem z mężem.

Nagła śmierć

- Ludzie, którzy kochają - mówiła Mary Ivan - zawsze będą czekać.

Gdyby żyła na ziemi trochę później, śpiewałaby zapewne:

Everybody loves somebody, and somebody loves you.

Alf Pritchett tęsknił za siostrą, pan Biggs za matką, George Hopkins za żoną, a Mary Ivan za rodzicami, siostrą i mężem. Któż jednak zapewni niebiański dom tym młodzieńcom, którzy opuścili rodziców, nie zdążyli się ożenić i są mocno przywiązani do ziemi?

To pytanie znalazło odpowiedź szesnastego czerwca 1966 roku. Młody męski głos podał swoją tożsamość - Terry Smith. Utonął, gdy torpeda z "Bismarcka" zatopiła brytyjski krążownik "Hood" na zimnych wodach północnego Atlantyku.

- Wszystko stało się zbyt gwałtownie - wspominał. - Nikt z nas nie miał szansy na ratunek. Sytuacja była beznadziejna.

Betty Greene zwróciła się do niego ze swym zwyczajowym pytaniem:

- Terry, możesz opisać swoją reakcję, kiedy spostrzegłeś, że nadal żyjesz? Jak to przyjąłeś?

- Pamiętam, że szedłem nieznaną ulicą. Po obu stronach rosły drzewa. Wznosiły się piękne, wspaniałe domy. Pośród nich mniejsze, co sprawiało, że okolica była naprawdę malownicza. Miałem wrażenie, że skądś znam ten zakątek. Być może widziałem podobny w Kalifornii. Oglądałem przecież zdjęcia szerokich, zadrzewionych bulwarów i górskich zboczy usianych domkami.

Nikogo więcej tam nie było. Wszystko wyglądało, jakby stworzone wyłącznie dla mnie. Moje zdziwienie rosło. To przypominało sen. Ulica, chociaż nie znana, wzbudzała moje zaufanie.

Tak czy inaczej spacerowałem pomiędzy tymi wspaniałymi domami, wyglądającymi na opuszczone niczym po jakiejś zarazie. Nie było słychać żadnych dźwięków. Nic. Uszedłem jeszcze kawałek i spostrzegłem cudowną, zjawiskową kobietę, w każdym razie bardzo piękną. Miała jakieś dwadzieścia dziewięć, trzydzieści lat. Stała przy furcie. Nawiasem mówiąc, był to pierwszy dom z furką, jaki tam widziałem. Do wszystkich innych prowadziły zwykłe ścieżki. Zaskoczyło mnie to. Żaden inny dom nie miał nawet płotku.

W każdym razie, dama ta - zabawne, iż mimo jej młodego wyglądu czułem, że jest stara, opierała się o furkę, a gdy ją mijalem, zapytała z uśmiechem:

"Szukasz czegoś, chłopcze?"

"Tak, w pewnym sensie. Zupełnie nie wiem, co się stało ani gdzie jestem".

"Wszystko w porządku, chłopcze. Czekałam na ciebie. Wejdz, proszę".

"Cóż" - myślę sobie - "nie mam nic do stracenia. Idę. Przynajmniej z kimś porozmawiam".

Zabrała mnie do niewielkiego saloniku, w oknach wisiały śliczne perkalowe zasłony, atmosfera była prawdziwie domowa. Piękny czarny kot wylegiwał się na krześle. "Skąd tu kot? Przecież nie można zabrać kota do grobu".

"Wchodź, chłopcze, siadaj" - zaprosiła serdecznie gospodyni.

"Chciałbyś coś do picia?"

"To już coś", uradowałem się. Domyślałem się, że proponuje mi herbatę albo coś w tym rodzaju, więc odparłem:

"Tak, poproszę".

"Na co masz ochotę?"

Byłem spragniony, więc poprosiłem o lemoniadę.

"Lemoniadę? Dobrze". - Po chwili wróciła ze szklanką pełną orzeźwiającego płynu.

"Wiesz, chłopcze, nie masz się czym martwić-zapewniała. - Czekałam tu na ciebie".

"Czekałaś na mnie?"

"Tak".

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc umilkłem. Wtedy ona spytała:

"Czy wiesz, że umarłeś?"

"Co takiego?"

"Nie żyjesz".

"Daj spokój. Siedzę sobie w jednym pokoju z kotem i pijam lemoniadę. Ty również jesteś materialna i realna. Jak więc mogłem umrzeć? Przyznaję jednak, że coś tu nie gra".

Od początku sądziłem, że to wszystko mi się śni.

"To nie sen, chłopcze - rzekła. -Ty umarłeś".

"Skoro, jak twierdzisz, nie żyję, to skąd się tutaj wziąłem?"

"O, nie ma w tym nic nadzwyczajnego - odparła. - Myślałam o tobie, modliłam się za ciebie i zostałam ci przydzielona".

"Słucham?"

"No cóż, kiedy tonął twój statek... "

I wtedy nagle mnie oświeciło. Kiedy tonął statek. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, była drewniana belka na wodzie. Wtedy myślałem, że mogę się jej złapać, teraz jednak wiem, że sytuacja była beznadziejna.

"Utopiłeś się"- powiedziała powoli.

"O!".

"Zginęły setki twoich kolegów".

"Naprawdę?"

"Tak. I każdy z nich otrzymał kogoś do opieki. Niektórzy krewnych, inni przyjaciół. A ja zostałam przydzielona tobie. Nie zdawałeś sobie sprawy, że cały czas byłeś prowadzony. Tylko wydawało ci się, że idziesz tam, gdzie chcesz. Było inaczej. Inspirowała cię dusza, która ma za zadanie pomagać ludziom schodzącym z tamtego świata w sposób nagły".

"Nie rozumiem... ,,

"Nie kłopotz się - rzekła z uśmiechem. - Będę się tobą opiekować. Zastąpię ci mamę".

"To jest coś", pomyślałem. A ona zaczęła mówić o moich bliskich. Poruszyło mnie, zdumiało, skąd знаła moją mamę, tatę - wiedziała, że żyją w separacji - siostrę, więc zapytałem:

"Czy jesteś z nami w jakikolwiek sposób spokrewniona?". "Niezupełnie - odparła. - Jednak muszę wiedzieć co nieco o twoich bliskich, żeby móc się tobą zaopiekować".

"Zabawne - mruknąłem. - Skoro twierdzisz, że dopiero tutaj przybyłem, jak mogłaś się tak dużo o mnie dowiedzieć?"

"Ach, to nic trudnego. Kwestia dostrojenia".

"Dostrojenia?" - powtórzyłem.

"Jeśli mamy specjalne powody po temu, by dowiedzieć się czegoś o poszczególniej osobie lub osobach, gdyż otrzymaliśmy zadanie specjalne, wtedy dostrajamy się. Wkrótce będziesz mógł spotkać swoich bliskich".

"To cudownie".

"Naturalnie oni nie będą wiedzieć, że umarłeś. To znaczy, chodzi mi o to, że nie będą cię widzieć. Oni wiedzą, że umarłeś, lecz nie mają pojęcia, że nadal żyjesz. Nie powinienes czuć się urażony, gdy nikt nie będzie zwracał na ciebie uwagi".

"No cóż, miałem ciotkę spirytystkę". -

"Świetnie się składa. Może pójdziemy tym tropem. Nigdy nic nie wiadomo. Wypróbujemy ją. Na razie powinienes cierpliwie czekać. Na ziemi został mój syn i mam nadzieję, że kiedy umrze, będziemy znowu razem. Na to właśnie liczę. Tymczasem jednak będę się tobą opiekować jak własnym synem. Pragnęłabym, abyś czuł się szczęśliwy. Kiedy już nabierzesz sił i odetchniesz - ci się odpoczynek, bo z pewnością przeżyłeś wstrząs - przedstawię cię wszystkim interesującym ludziom z naszej społeczności".

Później wyszliśmy na coś, co przypominało słońce, choć wkrótce dowiedziałem się, iż jest to światłość, z której my wszyscy, wszelkie formy życia, czerpiemy energię... Zabawne, że światłość nie powodowała

powstawania cieni. Światło było miękkie, nie oślepiło a raczej nie trzeba było szukać przed nim schronienia. Nie paliło, lecz wydzielalo blogie ciepło.

Wyszliśmy na dwór, a kobieta przymknęła drzwi.

"Nie zamykasz na klucz?" - zdziwiłem się.

"O, tutaj nie ma takiej potrzeby" - zapewniła.

Mówiłem wam, że znalazłszy się na ulicy po raz pierwszy, miałem wrażenie, że dookoła jest pusto. Metropolia przypominała martwe, wyludnione miasto, jednak tak zadbane, czyste, świeże, że miało się wrażenie, iż mieszkańcy skryli się na czas popołudniowej sjesty. Kiedy tym razem je odwiedziłem, ludzie tłumnie spacerowali, gawędzili przed domami. Nie mogłem iść daleko, bo zaraz by mnie otoczyli. Mieszkańcy byli przeważnie młodzi. Jeden lub dwoje wydawali się starsi, lecz patrząc z bliska doszedłem do wniosku, że wcale nie są starzy, tylko jest w nich coś, co sugeruje ich podeszły wiek. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

W każdym razie wszyscy ściskali mnie za rękę i mówili po imieniu. Przyjąłem to z zaskoczeniem: jakby znali mnie od lat. Potem stało się jasne, iż rzadko komu w tej społeczności umyka fakt czyjegoś przybycia z ziemi. Była to bowiem społeczność mająca za zadanie pomagać nowo przybyłym i dawać im wskazówki. A ponieważ trwała wojna, przybywało tu mnóstwo młodych ludzi. Tak czy inaczej, otoczyli mnie i witali jak zażyłego przyjaciela.

"Nadzwyczajne", myślałem. "Znalazłem się w miejscu, gdzie wszyscy wyglądają na zmarłych, a nikt się tym nie przejmuje. Każdy chce się ze mną przywitać".

"Dlaczego nikt nie wyszedł mi na powitanie, kiedy tu przybyłem?" - zapytałem swojej przyjaciółki.

"Ach, tak zostało ustalone".

"Ale dlaczego?"

"W gruncie rzeczy, to bardzo ważne. Chodziło o to, abyś przyszedł prosto do mnie, bo ja zostałam wybrana do opieki nad tobą. Twoje przybycie nie było tajemnicą. I choć nikogo nie zauważyłeś, wspomagała cię miłość tych ludzi. Wiedzieli, że nadejdzie moment, kiedy się trochę oswoisz i z moją pomocą co nieco zrozumiesz. Wtedy człowiek jest lepiej przygotowany na spotkanie większej rzeszy ludzi".

"Wszyscy uznali, że dojrzałeś do nowych kontaktów, teraz stosowne będzie wynaleźć ci jakieś zajęcie. Może dobrze byłoby też skoczyć na ziemię i odwiedzić twoją rodzinę?"

Z Terryem Smithem nie było problemów. Prawdopodobnie pewnego dnia przyjdzie na niego kolej przygotowania domu dla matki, ojca i siostry. Jak jednak radzą sobie zagorzali ziemscy samotnicy, którzy także w niebie nie są skłonni do prowadzenia życia towarzyskiego?

Odpowiedź nadeszła szóstego grudnia 1965 roku, kiedy panowała gorączka przedświątecznych zakupów. Ciszę przerwał chrapliwy głos:

- Nazywam się George Wilmot. Byłem tu już parę razy - kontynuował - i przysłuchiwałem się rozmowom. Pomyślałem sobie, że kiedyś ja też mógłbym sobie pogadać. Nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi może przydarzyć.

- Panie Wilmot - odezwała się Betty Greene - czy może nam pan coś o sobie powiedzieć?

- Handlowałem szmatami i gałganami - odparł. - Tak, chodziłem po domach i zbierałem, co kto miał do oddania. Taki sobie wybrałem sposób na przetrwanie. Chyba można to nazwać życiem. Od czasu do czasu miałem lepsze dni, gdy udawało mi się zdobyć coś naprawdę dobrego i wartościowego i zgarnąć za to z pięć dolców. Ale nigdy nie miałem tyle farty, żeby wygodnie mi się z tego żyło. Może to tylko taka gadka. W każdym razie czuję się szczęśliwy, że wydostałem się z waszego świata. Bardzo przyjemnie spędzam tu czas, choć na swój sposób byłem z siebie zadowolony. Czasem świetnie się bawiłem. Miałem też dwie żony, ale żadna, do diabła, nic nie warta. Zresztą kto wie, może ja wcale nie byłem lepszy od nich?

- Panie Wilmot - przerwała Betty Greene. - Jak pan umarł? Jak to się stało?

- A zwyczajnie, pewnej zimy jeździłem jak zwykle wozem i dostałem zapalenia płuc. Trochę kaslałem, miałem bóle w piersiach. I zanim się zorientowałem, znalazłem się w szpitalu. Nawet tydzień tam nie byłem. Wiecie, choroba posunęła się za daleko. Zawsze miałem słabe płuca.

Po tygodniu George Wilmot zmarł. Na spotkanie wyszła mu, jak mówił, stara Jenny.

- Nie - zachichotał. - Żle wam się wydaje. Jenny to żadna z moich żon, dzięki Bogu. To moja klacz.

Zwierzęta

Dla miłośników zwierząt śmierć ukochanego psa, kota czy konia oznacza ból nie mniejszy niż po stracie bliskiego człowieka. Mogłoby się wydawać, że w przyszłym świecie rysuje się przed nimi perspektywa jałowego życia w samotności.

Głosy jednak wyrażają odmienne zdanie. Nic tak miło ich nie zaskoczyło i nie ujęło jak spotkanie z ukochanym zwierzęciem. Rodziców i ulubionych przedmiotów można się jeszcze spodziewać. Jednak hasający, szalejący z radości Rover to już prawdziwa niespodzianka.

George Wilmot - handlarz starzyzną nie ukrywał, że największą radość w nowym świecie sprawił mu widok starej, oddanej klaczy.

- Stara Jenny - mówił - ciągnęła mój wóz, kiedy miałem trzydzieści kilka lat. Naprawdę się załamałem, gdy biedaczka przewróciła się i zdechła. Była mi bliska jak kobieta, a właściwie jeszcze droższa. Darzyłem ją wielkim uczuciem. Zawsze rozumiała, co do niej mówię. Byłem tego pewien. I jaka była śliczna! Prawdziwa piękność. Przynajmniej dla mnie.

Pamiętam, że po przebudzeniu tutaj zobaczyłem coś, co można nazwać polem. Na wół siedziałem, na wół leżałem pod drzewem. Potem ujrzałem galopującego w moją stronę konia. Była to stara Jenny.

Oczywiście wyglądała jak młoda klacz. Czulo się bijące od niej szczęście. Nawet nie potrafię wytłumaczyć, jak to możliwe. Tego się nie da wyjaśnić. To nadzwyczajne, ale ona prawie do mnie przemówiła. Nie słyszałem żadnego głosu, trudno wymagać, żeby koń gadał, ale przekazywała mi swe myśli.

Teraz rozumiem, że mnie witała. Podeszła i lizła po twarzy. Boże drogi, póki żyję, nie zapomnę tego. Byłem taki przejęty i wzruszony, klepałem ją i głąskałem. I wtedy usłyszałem jakiś szelest za plecami. Odwróciłem się, a tam stał wyglądający na miłego gość. Miał ze sześć stóp wysokości, bujne włosy, był młody.

"Przyszedłem się tobą zaopiekować" - oświadczył.
"Co ty gadasz?" - Byłem wystarczająco zaskoczony widokiem Jenny.

"Tak, zamierzam się o ciebie zatroszczyć - rzekł - Zostałem do ciebie przydzielony".

"Też coś. Zawsze sam sobie radziłem. W każdym razie nie miałem innego wyjścia".

"Nic nie rozumiesz - wyjaśnił. -Ty umarłeś".

Ta wieść podziałała na mnie jak uderzenie obuchem.

Wszystko jasne! Jenny przecież od lat nie żyła, a ja na jej miejsce miałem nowego żrebaka. Fajny konik, ale to już nie to samo.

A więc tamten facet powtarza: "Ty umarłeś". Co tu zrobić z tym dowcipnisiem? Nagle zasygnalizował mi - właściwie nie wiem jak - że chce mi coś pokazać. Zobaczyłem siebie leżącego na łóżku, sztywnego i zimnego, ciało wyglądało na moje, a mnie tam nie było. Widziałem, jak kładą mnie na wózek i wywożą, a potem wszystko zniknęło i z powrotem znalazłem się z tym facetem.

"Nazywam się Michael" - przedstawił się.

"Ach tak".

"Czy już do ciebie dotarło, że nie żyjesz?"

"Sam nie wiem, co o tym myśleć".

"Przed chwilą miałeś wizję, prawda? - zapytał. - Sam wiesz, że umarłeś w szpitalu".

"Tak, teraz sobie przypominam, leżałem chory w szpitalu... ale jak mogłem umrzeć, skoro rozmawiam tu z tobą i mam przy sobie Jenny?"

"No, a czy Jenny nie jest dla ciebie dowodem?"

"Tak, to trochę dziwne, ale w niebie nie ma zwierząt. Przecież one nie mają dusz, prawda?"

"Ach, to tylko na ziemi pokutuje opinia, że zwierzęta nie mają innego życia niż tak zwane materialne. Koń do którego byłeś przywiązany jak do przyjaciela, otrzymał coś, co poszerzyło jego życie".

To wytłumaczenie nie było zbyt przekonujące.

"Jeśli kochałeś tego konia - wyjaśniał - to będzie on istniał. Ludzie nie zdają sobie sprawy ze swej odpowiedzialności wobec zwierząt. Odkąd tutaj jestem, a minęły już setki lat... ,,

Na te słowa oczywiście zmierzylem go od stóp do głów.

"Tego już za wiele", pomyślałem, "żeby po stuleciach wyglądać tak młodo i krzepko". Niemniej postanowiłem nie przerywać temu dżentelmenowi.

"Och, widzisz, czas się nie liczy" - mówił. Od tych rewelacji mąciło mi się w głowie.

"Jestem tu już setki lat i do moich obowiązków między innymi należy opieka nad zwierzętami. Często bywam na dole, w podziemiach".

Zaciekawiły mnie te podziemia - doszedłem do wniosku, że chodzi o piekło albo coś w tym rodzaju.

"Nie - rozwiął moje domysły - podziemia to kopalnie, w których pracują zwierzęta. Próbuję im pomóc, lecz niewiele da się zrobić. Tutaj mamy wielkie połacie ziemi, gdzie zwierzęta mogą się gromadzić i gdzie znajdują miłość oraz opiekę. To ludzie wymyślili tę głupią ideę głoszącą, iż jedynie ludzkie istoty mają prawo do przyszłego życia. Można spotkać religijnych ludzi, którzy się z tym nie zgadzają. Jednak oni mają mgliste wyobrażenie o tych sprawach".

Oczywiście, ku mojemu zadowoleniu, rozwijał ten temat.

Cały czas słuchając jego słów, zastanawiałem się nad sobą. Co ja właściwie mam robić po tej śmierci? Z całych sił starałem się pojąć słowa tego pocziwca. Moje lęki, obawy ani na chwilę mnie nie opuszczały.

"Nie traćmy czasu. Ruszajmy" - polecił.

"W porządku"- przystałem.

Przeszliśmy przez pole. Za niewielką bramą biegła ścieżka. Podążyliśmy nią. Wszystko to przypominało mi trochę ziemską wieś. Tuż za mną truchtała moja klacz.

Trochę mnie zdziwiło, że koń idzie za mną. Nie ukrywam, że mi się to podobało. To był przecież ten sam konik, który niegdyś tak wiernie dla mnie pracował.

Wilmot nie był wyjątkiem. Wiele osób zdziwiło się obecnością zwierząt w tym świecie - wiodących życie po śmierci. Kiedy Terry Smith, topielec z okrętu "Hood", wszedł do swego pierwszego niebiańskiego domu, od razu zauważył czarnego kota.

- Nagle - opowiadał - kot zrobił coś zabawnego. Zeskoczył z krzesła, podbiegł do mnie, usiadł na tylnych łapkach, nastroszył uszy i nie miaucząc ani nie wydając żadnych kocich odgłosów, jakby przemówił! O mały włos nie spadłem z krzesła. Byłem wstrząśnięty.

"Nie przejmuj się - rzekła łagodnie kobieta. - Przyzwyczaj się. Tutaj zwierzęta udoskonaliły swoje umiejętności porozumiewania się z nami. Oczywiście udaje im się to już na ziemi, lecz nie słyszemy ich mowy, gdyż nie władają językiem, który moglibyśmy zrozumieć. Tutaj natomiast ich myśli przebiegają na takich częstotliwościach, że można je odbierać jako dźwięki. Ich myśli są po prostu transmitowane do człowieka. Kot powiedział: "Jak się masz?"

Wydawało mi się to czystym szaleństwem. Koty z reguły nie mówią: "Jak się masz?". Byłem zbity z tropu.

"Nie przejmuj się. - Wzruszyła ramionami. - Przywykniesz. Zwierzęta są bardziej rozsądne, niż się ludziom wydaje. Mają swoje własne podejście do świata. Potrafią przekazywać i odbierać myśli. Wkrótce przyjmiesz do wiadomości fakt, że po tej stronie zwierzęta są w stanie wyrazić o wiele więcej niż na ziemi".

Wziąłem sobie do serca tę myśl i jak pilny uczeń zwróciłem się do kota:

"Dziękuję, doskonale". A on mi na to:

"Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwy".

Potem wrócił na swoje krzesło, zwinął się w kłębek i zasnął. Trochę później niebiańska opiekunka Terry'ego zabrała go do wioski na pierwszy spacer, aby poznał nowych sąsiadów. Nie poszli sami.

Kot podążył za nami. Szedł zupełnie jak... hm... pies, a nie kot.

"No dobrze - mruknęła kobieta. - Chodź z nami". - M66wiła do kota Nelly. Pomyślałem, że to bardzo dziwne imię dla zwierzęcia. Nigdy przedtem nie słyszałem, aby ktoś tak nazwał kota.

"Uważasz, że to niezwykle imię dla kota, prawda?"

"Istotnie. Trochę jestem zaskoczony".

"Moja matka tak go nazwała".

"Twoja matka? - zdziwiłem się. - Ile lat w takim razie ma ten kot?"

"Według czasu płynącego w świecie materialnym, jakieś sześćdziesiąt" - odrzekła z filuternym uśmiechem.

Farmer z Sussex, George Hopkins, zachwyił się widząc, jak "stare psisko biegało dokoła, merdając ogonem".

Czekała go jeszcze jedna niespodzianka.

- Czym zajmuje się pan teraz? - zapytał Woods w dalszej części seansu.

- Teraz, cóż, zajmuję się bydłem - odparł.

- Nadal hoduje pan krowy?

- O tak, mamy nawet konie. Zawsze uwielbiałem zwierzęta, a zwłaszcza konie. Czemu nie? Są tu wspaniałe pastwiska i cudowne pola. Żyje się w pobliżu natury. Nie ma zabijania. Uprawiam swój kochany ogródek. Hoduję bydło. Lubię spacerować i jazdę konną, na co kiedyś nie znajdowałem czasu. Nie sądziłem, że nauczę się tylu nowych rzeczy, chociażby jazdy wierzchem.

- Czy zauważył pan - zapytała Betty Greene - by zwierzęta osiągnęły wyższy stopień świadomości? Czy one pana rozumieją?

- Tak, nie mam wątpliwości. Niestety, na ziemi człowiek ma skłonności do podważania inteligencji bydła.

Zwierzęta te mają uczucia, emocje i nie są pozbawione rozumu. Zdaję sobie sprawę, że w waszym świecie zdania na temat konieczności zabijania zwierząt dla pozyskania żywności są podzielone. Uważam, że jest wiele innych sposobów zdobywania źródeł pokarmu, a poza tym nie sądzę, by zdrowiu służyło spożywanie przerobionego ciała zwierzęcego. Zwierzę ma chyba takie samo prawo do życia jak człowiek. A niejednokrotnie nawet większe.

Małżeństwa zawierane w niebie

Najbardziej niedorzecznym składnikiem śmierci jest wrażenie nadchodzącego wraz z nią końca. Kresu, który na wieki oddzieli nas od ukochanych istot. Pierwszym krokiem ku zaakceptowaniu śmierci jest wiara w to, że mąż i żona, rodzice i dzieci, zakochani i przyjaciele w życiu pozagrobowym spotkają się ze sobą.

Pomijając sam fakt zaprzeczania istnienia życia po śmierci, najważniejszym powodem do odrzucania tej idei jest perspektywa nie kończącego się życia w towarzystwie osób nie lubianych. Nie martwcie się, zapewniają głosy. Będą z wami ci, których kochacie. Ci nie lubiani już nigdy więcej nie będą sprawiać wam przykrości.

- Tutaj - mówi kwaciarka Rose - schodzą się ze sobą tylko ci ludzie, którzy naprawdę czują się dobrze w swoim towarzystwie, którzy rzeczywiście się kochają i szanują... Nienawidzący się nawzajem, niedobrani mąż i żona, nie będą skazani na siebie.

Na pana Biggsa oraz na bywalca pubu - Harry'ego czekały kochające matki. Matka Biggsa mieszkała z umiłowaną siostrą. Alfa Pritchetta przygarnęła dawno utraconą siostrę; George'a Hopkinsa - żona, Mary Ivan połączyła się w miłości z siostrą, rodzicami i mężem. Nikt nie zetknął się z kimś, kogo nie chciałby widzieć.

Z relacji Harry'ego wynika, iż rozwód matki przyjął jako dobrą wiadomość.

"A tak przy okazji - zwrócił się do niej - gdzie jest tata?"

"O, już z nim nie jestem" - odparła.

- Oczywiście trochę mnie to zbiło z pantałyku! Nie tworzyli idealnej pary, ale mimo wszystko byli małżeństwem.

"Dziwne - mruknąłem - że nie jesteś już z tatą".

"Nie przejmuj się, synu - odparła. - Tata i ja, chociaż byliśmy sobie bliscy i przyjaźniliśmy się, tak naprawdę nie pasowaliśmy do siebie. Nie byliśmy, jak to się mówi, idealnie dobrani. Prawdopodobnie sprawialiśmy dobre wrażenie, jednak w gruncie rzeczy nie byliśmy sobie przeznaczeni. Nie, nie jestem już z tatą".

To mną oczywiście trochę wstrząsnęło. Myślę sobie, dobrze, skoro to życie po śmierci naprawdę istnieje, dalej toczy się naprzód i te rzeczy, to sądziłem, że nadal trzeba być związanym ze swoją starą.

"Przebywasz tylko z tymi ludźmi - odrzekła - z którymi naprawdę możesz się dogadać. Z ludźmi, z którymi faktycznie jest ci dobrze".

Potwierdzenie, że niezgodność charakteru jako przyczynę rozwodu można dostrzec także w niebie, nadeszło w sierpniu 1960 roku. Od głosu należącego do kobiety, której twarz widniała niegdyś na pierwszej stronie większości brytyjskich gazet.

Odąd przebojowa, atrakcyjna sekretarka z Hull, Amy Johnson, poleciała samotnie w 1930 roku do Australii, stała się najslawniejszą kobietą brytyjskiego lotnictwa, bohaterką. Na jej cześć powstał przebój podtytułem "Amy, wonderful Amy".

W 1932 roku wstała panną młodą biorąc ślub z niebieskookim, lubiącym zajeżdżać do kieliszka szkockim lotnikiem, Jimem Mollisonem. Mieszanka okazała się zbyt wybuchowa. Małżeństwo rozpadło się w 1938 roku. Amy powróciła do panińskiego nazwiska.

Pewnego chłodnego, mglistego styczniowego dnia w 1941 roku wyleciała z Blackpool jako pilot promowy, prowadząc dwusilnikowy samolot treningowy do aerodromu znajdującego się w pobliżu Oksfordu.

Nie powróciła nigdy. O zmroku u ujścia Tamizy widziano samolot treningowy oraz spadochron spadające do lodowatego morza.

Nikt nigdy więcej nie ujrział Amy Johnson.

Gdy szóstego sierpnia 1960 roku Woods i Betty Greene czekali w ciemności, przemówił do nich damski głos, przedstawił się jako Amy Johnson. Pilotka opisała swoje uczucia, gdy zdała sobie sprawę ze swojej śmierci.

- Nawiasem mówiąc - wtrąciła nagle - Jim jest ze mną.

- Ach tak - rzekł Woods. - Jim Mollison? Czy on także może coś powiedzieć?

- Tego nie wiem - zawahała się. - Jest ze mną tu w tym świecie, lecz nie jesteśmy razem. Spotykamy się tylko. Obawiam się, że nie byliśmy wzorową parą. Chyba obydwój mieliśmy trudne charaktery. Myślę... no, ale nie chciałabym wdawać się zbyt w sprawy osobiste...

Zdanie powstało niedokończone. Wyrażnie jednak widać jego przesłanie.

Nie skrepowani więzami małżonkowie, którzy odzyskali wolność, po śmierci potwierdzają niezgodność charakterów. Cóż jednak z tymi, którzy na ziemi pozwolili, aby szczęście wymknęło im się z rąk? Głosy zapewniają, iż niedoszli lub nieśmiali

kochankowie w przyszłym świecie zyskują kolejną szansę i mogą w niebie zawrzeć małżeństwo. George'a Wilmota, handlarza starzyzną, dwukrotnie niefortunnie żonatego, zostawiliśmy maszerującego za swoim przewodnikiem. Ukochana klacz Wilmota postępowała za nimi.

- Szliśmy tak i szliśmy - mówił - potem skrzyliśmy w prawo, minęliśmy przypominające mi coś topole. Nie miałem pojęcia, z czym mi się kojarzyły. Aż nagle mnie olśniło! No pewnie, że pamiętam. To były te same topole, które rosły przy drodze we Francji, gdzie byłem podczas pierwszej wojny światowej. Szpaler wspaniałych, wielkich drzew. I wiedziałem, zanim jeszcze tam doszliśmy, że na końcu drogi znajdę stareńki dom pełen znajomych. Ludzi, którzy okazali mi tyle serdeczności, gdy trafiłem do Francji.

Nie myliłem się. Spotkałem gospodarzy domu: matkę, ojca i córkę. Wyszli i stojąc przy bramie machali do mnie radośnie.

Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Sądziłem, że ludzie ci zginęli, bo słyszałem kiedyś, że miejsce to zostało doszczętnie zbombardowane, wiecie, jak to na wojnie. Nigdy nie pozbyłem się myśli o tamtym epizodzie. Przyszło mi do głowy, że skoro umarłem i jestem w świecie ludzi zmarłych, to ta rodzina także nie żyje.

Takie myśli kołatały mi się po głowie. Kiedy przyjrzałem się im dokładniej, ujrzałem, że mąż i żona wyglądają młodo. Ludzie ci sami, a na oko młodszy. Przypominam sobie portret, a właściwie dwa portrety, które wisiały u nich w salonie. Wizerunki te sporządzono, gdy ludzie ci mieli po dwadzieścia kilka lat. Teraz wyglądali zupełnie tak samo jak na obrazach. Córka, bardzo podobna do matki, była prawie w tym samym wieku co ona.

Pomiędzy mną a tą dziewczyną zrodziło się uczucie i właściwie wszystko zmierzało ku dobremu. Cóż, gdybym miał okazję, oświadczyłbym się. Wtedy jeszcze nie byłem żonaty. I wiecie, zawsze uważałem - wiem to dopiero teraz - zawsze sądziłem będąc jeszcze na ziemi, że prawdopodobnie jednym z powodów, dla których nie układało mi się w dwóch kolejnych małżeństwach, było to, że zawsze nosiłem w sercu wspomnienie o tej dziewczynie. Nie mogłem się uwolnić od przekonania, że ta miła, słodka, grzeczna istota jest mi przeznaczona, choć trudno nam się było dogadać, bo mówiliśmy innymi językami.

Wysłała mu naprzeciw dziewczyna i przyjaźnie wyciągnęła doń rękę.

- Spojrzałem na jej twarz - opowiadał - i już wiedziałem.

To ona była cały czas w moim sercu. Twarz dziewczyny, którą w młodości kochałem. Nie odrywaliśmy od siebie wzroku. Zrozumiałem, że gdyby moje życie potoczyło się inaczej i ożeniłbym się z nią, z pewnością byłbym innym człowiekiem. Nie wpadłbym w złe towarzystwo, nie wałęsałbym się po ulicach, nie szwendał po knajpach. Wiem, że gdyby nie umarła za młodu, z pewnością pobralibyśmy się i byłbym kimś innym. Prawdopodobnie pracowałbym na farmie. W każdym razie uczciwie zarabiałbym na utrzymanie. Ona jednak umarła i dlatego odwróciłem się od wszystkiego i wszystkich. Wzięła mnie za rękę i wyznała:

"Teraz możesz zacząć życie od nowa. Ze mną. Jestem tu, aby ci pomóc, pokazać drogę".

Wyszedłem z nią z tego wielkiego zamku i doszliśmy do rogatki miasta. Stał tam mały domek kryty strzechą, otoczony niskim murkiem. Doznałem wspaniałego uczucia, jakbym był we własnym domu, choć na ziemi nigdy w życiu tego miejsca nie widziałem.

Weszliśmy do środka. Wygląd dziewczyny zaczął się zmieniać. Zamiast wspaniałej, wyjściowej kreacji miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę. Dla mnie jednak wyglądała tak jak zawsze. Cały ten czas cierpliwie na mnie czekała, obserwowała mnie bezustannie, myślała, przez wszystkie te lata próbowała sprowadzić mnie na ucziwą drogę. A teraz byliśmy razem.

Równie miła niespodzianka czekała hulakę Harry'ego Tuckera, który w 1968 roku uwolnił się z ziemskich więzów w tłumie wypełniającym pub.

Najbardziej romantyczna ze wszystkich niebiańskich historii miłosnych przypomina dalekie od prawdy opowiadania rodem z kobiecych czasopism, a jednak zdarzyła się naprawdę.

Dwudziestego stycznia 1969 roku ciszę w mieszkaniu Flinta przerwał damski głos ze szkockim akcentem:

"Nazywam się Mary Ann Ross".

- Co ci się przytrafiło, Mary - zapytała Betty Greene kiedy zesłaś z tego świata?

- Minęło już wiele czasu - odparła. - Siedziałam w kuchni i czyściłam lampę...

- Mów dalej.

- I nie przypominam sobie, żebym z tego krzesła wstała.

- Co było potem?

- To bardzo dziwne. Miałam wrażenie, że cały pokój wypełnia światło; widziałam dokoła różnych ludzi. Matkę, ojca i zmarłego przed wielu laty brata. Widziałam też Nelly - przyjaciółkę, całkiem nową, zmarłą zaledwie kilka tygodni wcześniej.

Sądziłam, że po to prostu sen. Wtedy Nelly podeszła, objęła mnie ramieniem i pocałowała w policzki. Pocałunek był ciepły i prawdziwy. Mama też mnie pocałowała. Chwycili mnie za ręce. Pamiętam, że uleciałam przez okno. Zapadła ciemność.

Kiedy się obudziłam, leżałam w łóżku, w bardzo przytulnym pokoju z krokwiami i belkami, niczym w starym domu. Było miło i przyjemnie, a przez okno, jak mi się zdawało, wpadały promienie słońca. Ujrzałam matkę, lecz wyglądała inaczej niż na początku mojego "snu". Atrakcyjnie, młodo, zupełnie jakby zeszała ze zdjęcia robionego przed wielu laty, pamiętki ze ślubu.

"Śnię, śnię", powtarzałam w duchu.

"Ależ skądże - odezwała się matka. - To rzeczywistość.

Jesteś żywa. Nie musisz się niczym przejmować. Niedługo, gdy wydobrzejesz, spotkamy wielu znajomych z twoich lat dzieciennych".

Nagle na moje łóżko wskoczył pies. I wtedy przestraszyłam się nie na żarty. Zawsze uwielbiałam psy, ale ten ukochany zwierzak mego ojca - wiele lat temu zginął pod kołami ciężarówki. Wabił się Nipper.

"Zwierzęta naturalnie też tutaj są" - usłyszałam.

Nie mieściło mi się to w głowie. To nie do uwierzenia.

Wychowano mnie w duchu religijności i nie mogłam tak po prostu przyjąć do wiadomości, że w

niebie są zwierzęta. Poza tym coś zbyt łatwo znalazłam się w tym niebie. Nie sądziłam, że pójdzie tak gładko - tak można wnioskować na podstawie religijnych obrazów i ksiązek. Wiecie, anioły, skrzydła i tak dalej.

Później musiałam się chyba zdrzemnąć. Przynajmniej tak mi się wydawało. Szłam aleją wysadzaną drzewami i mijałam pola. Bydło skubało trawę. Zupełnie nie czułam zmęczenia. Doszedłszy do końca, ujrzałam piękny, biały, choć nie pomalowany na biało, dom. Pokryty był jakby masą perłową.

Podeszłam bliżej. W progu stanął mężczyzna. Serce zabiło mi mocniej - jeśli w ogóle miałam serce. Poczulałam... Och, to nie do wiary! Był to młody mężczyzna, którego kiedyś odtrąciłam.

Nie dlatego, że go nie kochałam. Doszłam jednak do wniosku, iż nie mogę za niego wyjść, bo musiałabym opuścić starzejących się rodziców, którzy potrzebowali troski i opieki. Uznałam, że nie byłoby uczciwie obciążać takim brzemieniem człowieka mającego własnych rodziców, choćby nie wiem jak bardzo mnie kochał. Odtrąciłam go i nigdy już nie wyszłam za mąż. On wyprowadził się i wkrótce potem stracił z nim kontakt. Wyszedł z tego domu, przystojny i młody. Wtedy jednak nosił wąsy, a teraz nie. Głupio, że zwróciłam uwagę na taką drobnostkę. Szybkim krokiem wyszedł mi na spotkanie ogrodową ścieżką. Wziął mnie w ramiona i poczułam się tak, jakbym po raz pierwszy w życiu miała to, czego pragnę.

Być może nie powinienam tak mówić, ponieważ rodzice byli mi bardzo bliscy. Kochałam ich. Jednak to było zupełnie inne uczucie.

"W końcu do mnie wróciłaś - westchnął. - Tym razem mi nie odmówisz".

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

Nagle ujrzałam, że wszystkie kwiaty w ogrodzie zaczynają rosnąć i kwitnąć. W jednej chwili ogród ożył. A były tam przeróżne gatunki kwiatów, takie, które znałam na ziemi, i takie, których nigdy nie widziałam. Zachwyciły mnie ogromne pomarańczowe kwiaty przypominające maki. Były coraz wyższe i większe! Pomyślałam, że jeśli się nie zatrzymają, to przerosną dom. Z jednej strony napawałam się swym szczęściem, uczucie lekkości mnie rozpierało, a z drugiej, nie spuszczałam z oka maków zamieniających się w drzewa. Wtem płatki zaczęły się rozchyłać i opadać. Po rozchyleniu wyginały się w dół tworząc coś na kształt parasola. Stanęliśmy z ukochanym pod nimi. Mieliśmy wrażenie, że przez te nadzwyczaj wielkie płatki przebija się cudowne światło niosące z sobą ciepło i blask. On uśmiechnął się, bo powiedziałałam, że nigdy nie widziałam tak wielkich kwiatów.

"Zanim tu przybyłaś - mówił - choć w myślach hodowałam wiele roślin, dopiero teraz zrozumiałam, że mam ogród, z którego mogę być dumny. Te maki, jak je nazywasz, są mą miłością rozwijającą się przez wszystkie te lata, gdy cię obserwowałam. A teraz jesteśmy wolni. Chodź do domu".

Trudno powiedzieć, czy szłam, czy się unosiłam, lecz wydawało mi się, że stopami nie dotykam ziemi. Wszystko było realne i prawdziwe.

"Nareszcie jesteśmy razem. I możemy nadrobić zaległości" - szepnęła.

Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa. Nagle przypomniałam sobie o mamie i tacie.

"Wszystko w porządku - zapewnił. - Twoja misja skończona. Teraz możesz żyć własnym życiem i dzielić je ze mną. Niemniej możemy utrzymywać z rodzicami kontakty, chodzić do nich i zapraszać ich, kiedy tylko zechcesz. Musisz się jeszcze wiele nauczyć".

Ostatnie słowa Mary brzmiały tak:

- Cokolwiek sprawa, że mogę do was mówić, jakaś moc czy potęga, nie jest zbyt silne. Cieszę się jednak, że tu przybyłam, i z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że mam nadzieję, iż zjawię się tu ponownie.

Nie przyszła ponownie. Czy dlatego, że zbyt wiele czasu zajmuje jej radowanie się szczęściem?

Życie codzienne

Umarłeś. Wiesz, że nie żyjesz. Masz już za sobą wstrząs z powodu odkrycia, iż nadal jesteś żywy. Oderwałeś się od ziemi, przybyłeś do przyszłego świata, osiedliłeś się w nowym domu.

Co dalej? Dzięki wnikliwym pytaniom Woodsa oraz Betty Greene wydaje się, iż zjawisko przejścia z jednego świata do drugiego poznaliśmy od A do Z. Głosy zapamiętały je, jakby zdarzyło się wczoraj. Ma się wrażenie, iż nie zapomniały niczego. Jednakże gdy przychodzi do opisu czynności wykonywanych potem, zdają się tracić pamięć i umiejętności opisywania. Lub może nie wszystko, co tam zastali, da się przekazać w słowach zrozumiałych dla ziemskiego śmiertelnika.

W 1953 roku, kiedy Wielka Brytania nadal dochodziła do siebie po koronacji, dwa lata przed tym, jak głos podający się za Ellen Terry wyznaczył im życiową misję, Woods w towarzystwie trójki znajomych zabrał Betty Greene na pierwszy seans z Leslie Flintem. Wtedy odezwał się głos utrzymujący, że należy do londyńskiej kwiaciarki Rose. Zarzucili ją pytaniami na temat świata, w którym żyje i sposobu spędzania wolnego czasu. Pytali o wszystko, co im przyszło do głowy. Żaden z głosów, które odezwały się później, choćby nie wiem jak sławny i elokwentny, nie odpowiedział im tak wyczerpująco.

- Jak tam jest? - zapytał Woods, gdy dopełniono prezentacji.

- Och, chcecie, abym językiem świata materialnego opisała nasz świat! Nie wiem, od czego zacząć. Gdybyście mogli myśleć tylko o przyjemnych rzeczach waszego świata, a inne pozostawili w cieniu, wtedy zyskalibyście nikłe pojęcie na temat tego, jak tu jest. Cudowne, naturalne okolice, kwiaty, ptaki, drzewa, jeziora...

- Zawsze świeci słońce?

- Tak, zawsze. I nie jest to w żadnym razie monotonne.

- Łatwiej jest tam uprawiać kwiaty niż tutaj?

- No cóż, sadi się je, a one po prostu rosną. Nie ma tu pór roku.

- Ale czy technicznie wygląda to inaczej? Czy na przykład trzeba podlewać kwiaty?

- Nie. Rosną w sposób naturalny.

- Czy tamten świat podobny jest do naszego, tylko o wiele piękniejszy? - pytał Woods.

- Hm, mogę mówić tylko o miejscu, w którym mieszkam.

To nasze Niebo jest bardzo duże. Wiecie, chodzi mi o to, że jest tu wiele różnych sfer i poziomów życia. Okolica, w której się osiedliłam, do złudzenia

przypomina prześliczną angielską wieś. Zdaję sobie jednak sprawę, że istnieją inne formy przyrody, inne krajobrazy, scenerie i tak dalej.

- Macie miasteczka i wioski? - upewnił się.

- Cóż, nie są to miasteczka w waszym rozumieniu tego słowa. Istnieją miejsca - chyba w pewnym sensie można nazwać je miasteczkami - gdzie żyją tysiące ludzi. Lecz nie ma tam tramwajów, autobusów i innych bzdur.

- Jak zatem się przemieszczacie?

- Spacerujemy. A jeśli chcemy udać się dalej, po prostu myślimy o punkcie, w którym pragniemy się znaleźć, zamykamy oczy i już.

- Rose, czy ty mieszkasz w domu?

- Owszem, choć to wcale nie jest konieczne. Nigdy jednak nie spotkałam kogoś, kto nie mieszkałby w domu.

- A jakie są te wasze domy?

- Uuu, wszelkiego rodzaju. Jedne małe, jak w wioskach, a inne wielkie, zamieszkałe przez całe rodziny. Wszystko zależy od wyboru stylu archi... architektonicznego i tego typu spraw. Rzecz oczywista, domy są jak najprawdziwsze. To znaczy, budowali je tutejsi ludzie. Nie wystarczy tylko pomyśleć o willi, aby ją mieć.

- Tak, tak - mruknął Woods.

- Chodziło mi o to, że są tu architekci i dekoratorzy wnętrz, oni projektują i oni budują. Wznoszenie domu nie jest tak ciężką pracą jak po waszej stronie.

- Używacie pieniędzy?

- Ach, pieniądze! Tu, moi drodzy, za pieniądze nic się nie dostanie. Jedynym sposobem osiągnięcia celu jest charakter życia, sposób myślenia i wyrażania myśli.

- Ciekawi mnie jednak - pytał Woods - w jaki sposób ci, no wiesz, architekci tam pracują?

- Nie płaci im się. Pracują, bo kochają swoją pracę. Uwielbiają urządzać domy. Jeśli ktoś kocha swój zawód, to go wykonuje. To samo z muzykami uwielbiającymi grę na skrzypcach. Są szczęśliwi, gdy mogą zagrać swoim znajomym i wielbicielom muzyki.

- Wszystko robi się tam z miłości?

- Tak. I każdy, kto w waszym świecie nie miał szansy zrealizowania artystycznych marzeń, może je teraz urzeczywistnić.

- Ludzie robią to, co sprawia im przyjemność?

- Zgadza się. Chodzi o to, że miliony ludzi przechodzą przez życie wykonując codziennie ciężką, niewolniczą pracę, bez możliwości robienia tego, co naprawdę by chcieli - brakuje im czasu, nie mają warunków, pieniędzy bądź wykształcenia - tutaj mogą wziąć się za coś, co jest bliskie ich zainteresowaniom. Sprawia im to radość. Jest to praca, a jednocześnie zabawa.

- Czy coś jecie? - Woods zmienił temat.

- Mamy owoce, orzechy - odparła. - Zrywamy je z drzew.

Jemy też inne produkty uważane na ziemi za pożywienie, nigdy jednak nie zabijamy zwierząt. Nie jadamy mięsa.

- A co robisz z kwiatami, Rose? Upiększasz nimi otoczenie?

- Cóż, jest to oczywiście możliwe. Można ścinać kwiaty, zabierać je do domu, lecz czyni tak niewielu ludzi. Raczej tylko ci, co przebywają tu niezbyt długo. Jak zobaczą kwiaty, to zaraz myślą, że dobrze byłoby mieć je w domu. Rzecz jednak w tym, iż zaraz zaczynają

zdawać sobie sprawę, że nie ma takiej konieczności. Kwiaty to przyroda. Też mają swe życie. Ścinanie kwiatów to nie najlepsze wyjście, gdyż całe piękno natury jest w każdej chwili dostępne. Wcale nie musisz wychodzić na dwór, aby nacieszyć oczy widokiem kwiatów. Wystarczy o nich pomyśleć i już. Nie jestem pewna, czy to dla was jasne.

- Hm... można też otworzyć drzwi i okna.

- Tutaj nawet to nie jest konieczne. Chodzi o to, że można sobie siedzieć w fotelu, potem pomyśleć, że chce się być w kręgu Flinta, zamknąć oczy, pomyśleć i gotowe. Brzmi to być może trochę śmiesznie, ale taka jest prawda. Czas i przestrzeń nic tu nie znaczą.

- Rose, a zawieranie małżeństw... ?

- Ach tak. Co dokładnie chcielibyście wiedzieć?

- Co się dzieje, gdy ludzie darzą się uczuciem?

- Co masz na myśli?

- Sądzę, że nie ma tam ślubów.

- A czymże jest małżeństwo? Ślub to tylko wymyślona przez człowieka formalność. W gruncie rzeczy nic nie znacząca.

- Tylko na ziemi można więc darzyć się tym świętym uczuciem, prawda?

- Ech, nie, źle mnie zrozumiałeś. Nie nadążasz za moimi słowami.

- Zdawało mi się, że wszystko rozumiem. Widocznie gdzieś się zgubiłem.

- Cóż, starałam się wyjaśnić, że gdy dwoje ludzi prawdziwie się kocha, gdy dobrali się i są ze sobą szczęśliwi, to nie potrzeba żadnych formalności ani ceremonii, by stali się mężem i żoną... Nie mamy tutaj prawnie zawieranych małżeństw.

- Ale dzieci oczywiście się nie rodzą.

- Owszem, są tutaj dzieci, lecz nie zrodzone z małżeństw.

Nie odbywa się to w sposób fizyczny, w waszym rozumieniu. - Czy zwierzęta są tam oswojone? - zapytał Woods, znów zmieniając temat.

- Dobry Boże, ależ oczywiście. Na początku wydawało mi się, że nie będę zachwycona, gdy lew przyjdzie pod moje drzwi, ale teraz nie mam nic przeciwko temu. Dzikie zwierzęta są tak samo oswojone jak domowe koty.

- Czy zwierzęta zabijają siebie nawzajem?

- Nie, to się zdarza tylko w materialnym świecie, gdzie panuje głód i konieczność jego zaspokajania. To świat materialny wymusza na zwierzętach zabijanie.

- To wspaniale - odezwała się Betty Greene. - Nie potrzeba gotować.

- Tak, moja droga. I znów, gdy ludzie tu przybywają, mają ochotę na różne potrawy. Wkrótce jednak stopniowo pozbywają się nawyku jedzenia, a po jakimś czasie mija im to całkowicie.

- Czy potrzebujecie snu?

- O tak, jeśli tylko ktoś sobie tego życzy.

- Lecz nie jest to konieczne?

- Nie, skądże.

- Nie czujecie zmęczenia?

- Nie, nigdy.

- A co ze zmęczeniem psychicznym? Czy możecie wyłączyć się i o wszystkim zapomnieć?

- Cóż, jeśli o to chodzi, to wystarczy odprężyć się, zamknąć oczy, a po pewnym czasie ciało i umysł się regenerują.

- Mówiłaś, że nie mierzycie czasu ani przestrzeni. Jak więc toczą się rzeczy?

- Sama nie wiem. Według mnie nie istnieje żadna miara czasu, nie jesteśmy świadomi jego upływu. Wiem, że trudno wam to sobie wyobrazić. Wy zawsze wiecie, czy jest rano, wieczór, czy południe. Nas to nie dotyczy. My nie musimy mierzyć czasu. Poza tym czas to wymysł człowieka, prawda?

- A są tam dni i noce?

- Nie. Jeśli jednak ktoś zapragnie nocy, by wypocząć - zamyka oczy i ona przychodzi.

- Rose, czy byłaś na innych planetach?

- W niższych sferach, lecz nie na planetach, o które wam chodzi. Przypuszczam, że mieliście na myśli planety takie jak Ziemia?

- Tak, na przykład Mars czy Wenus.

- Nie, moi drodzy, na żadnej z nich nie byłam. Nic nie wiem na temat Marsa ani Wenus... Być może naukowcy są lepiej zorientowani.

Kolejna zmiana tematu:

- Czy macie prawo, ustrój? - dążył Woods.

- Istnieje naturalne prawo - odparła Rose. - Wszyscy to pojmujemy, zaraz po przybyciu. Nie ma praw, ustanawiania władzy w formie rządu. Funkcjonuje jednak prawo dostrzegalne dla każdego, prawo powszechne.

- Rozumiem. Czy świeci tam słońce? A chmury?

- Tak, słońce świeci. Od czasu do czasu niebo pokrywa się chmurami - tworzą się cudowne kształty, zadziwiające efekty. A niebo nie zawsze jest niebieskie. Czasami przybiera kolor zielony, czerwony lub inne bajeczne barwy.

- Pewnie kolory też macie niezwykle?

- O, jeszcze jak! Niektórych barw nigdy nie widziałam na ziemi.

- Rose, czy nosicie ubrania?

- A jakże!

- Czy podobne do naszych?

- Nie. Ubieram się zupełnie inaczej niż dawniej. Nie sądzę, żebyś po przybyciu tutaj chciał nosić garnitur.

- Czy mogłabyś opisać, co masz w tej chwili na sobie?

- Tutaj strój sprawia, że czujesz się radośnie. Oczywiście na początku eleganci niechętnie zmieniają przyzwyczajenia. Potem jednak zdają sobie sprawę, że krój jest nieistotny, i przestają być niewolnicami ziemskich sukien. Stopniowo zmieniają swój wygląd zewnętrzny, a tym samym również strój.

- Tak, ale co w tej chwili masz na sobie, Rose?

- Jestem ubrana w piękną, białą, sięgającą kostek suknię z długimi szerokimi rękawami. Przepasana jestem czymś w rodzaju złotego sznura. Brzeg sukienki jest ozdobiony delikatnym haftem.

- Jaki materiał?

- Coś w rodzaju jedwabiu. A włosy noszę teraz już nie krótkie, jak dawniej, lecz bardzo długie. - Nie macie problemów z myciem?

- Nie, jak ktoś chce, może wchodzić do wody, pływać, ale nie brudzimy się. Nie ma tu kurzu, brudu, błota. - A czy są takie morza jak u nas?

- Morza nigdy nie widziałam, ale nie brak pięknych rzek i jezior. A co do morza, to naprawdę nie wiem. -A łódki?

- O Boże, oczywiście. Nie jakieś promy, czy barki, lecz łódzie podobne do weneckich. - Gondole?

- Tak, bardzo piękne, umajone kwiatami. Czasami też miewamy coś na kształt, hm, chyba można to nazwać festynem... Niekiedy uroczystości odbywają się na wodzie. Cały teren jest rzęsiście oświetlony, lecz nie prądem czy gazem, lecz ludzkimi umysłami. Tylko tak potrafią to opisać.

- Cudownie! - zachwycił się Woods. - A czy macie przypadkiem duże miasta - mołochy?

- Tak, są tu wspaniałe miasta, ale nie takie jak u was - brudne, zakurzone. Są siedzibą teatrów, dbają o zapewnienie rozrywki. Można obejrzeć musical, właściwie wystawiają tu takie same teatry jak na ziemi, lecz panuje większy porządek, wszystko ma swój cel. Nie ma dowolności.

Owszem, śmiejemy się, ходzimy na komedie. Wiecie, przybycie tutaj nie oznacza utraty poczucia humoru! W niedzielnych szkółkach, jak pamiętam, uczono nas zupełnie czegoś innego. Pletli bzdury, prawda?

- Na nieszczęście dzieje się tak nadal - odezwała się Betty Greene.

- Wyobraźcie mnie sobie - rzekła filuternie Rose - jak podskakuję, gram na harfie i przysiadam na obłoczku. Zabawne tam mają pomysły.

- Domyślam się, że są tam również szkoły - zagadnął Woods.

- Och, wspaniałe szkoły, muzea, gdzie można prześledzić historię państw i narodów. Tu nic się nie traci.

- Rozmawiacie ze sobą?

- Słucham?

- Czy rozmawiacie ze sobą?

- Cóż, nie jest to konieczne, ale ludzie prowadzą rozmowy. Ale i tu, jak ze wszystkim, nastąpił postęp. Po kilkuletnim, według ziemskiego czasu, pobycie tutaj, ludzie niezmiennie zaczynają dochodzić do wniosku, że nie potrzebują wymiany zdań. Wystarczy przesłać myśli. Jest to rodzaj telepatii.

- Bardzo zaawansowanej telepatii.

- Tak, można to tak określić. Niemniej ja jeszcze nie jestem w tym dobra. Mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie.

- Rozumiem - rzekł Woods - że wszystko, co ludzie robią na ziemi, przechodzi z nimi także na drugą stronę. Zgadza się?

Rose nigdy nie odpowiedziała na to pytanie. - Co mówisz? - odezwał się inny głos.

Zgromadzeni na seansie zastanawiali się w milczeniu, czy Rose odeszła, czy też została odepchnięta.

- Dobranoc - rzuciła. - Lepiej przyjdę innym razem. Znow nastąpiła chwila przerwy, a potem: - Och, zapomniałabym, życząc wam wszystkim wesołych świąt.

- Dziękujemy, Rose. Wzajemnie.

Dotrzymała obietnicy po prawie dziesięciu latach. Przyszła zdać relację z życia w swym nowym świecie. Po dziesięciu latach stała się jednak starsza, dojrzała, bardziej świadoma. Życie w Niebie zyskało nowy wymiar.

Rose raz jeszcze

Dziewiąty sierpnia 1963 roku. Ciszę przerwał znajomy damski głos mówiący cockneyem.

- Witam, panie Woods. Dzień dobry, pani Greene.

- Jak się masz, Rose - odpowiedziała z ożywieniem Betty Greene.

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Poznałam cię, Rose.

- Ach, mam chyba niezwykle charakterystyczny głos. Nie sądziłam, że mnie zapamiętacie. Minęło tyle czasu.

- Rose, nigdy cię nie zapomnimy - zapewnił Woods.

- Co tydzień przychodzą do was na rozmowy tłumy ludzi - mówiła. - Musicie tam mieć niezłe urwanie głowy.

- Zawsze możemy... Puszczamy twoje...

- Co takiego?

- Tak, Rose. Puszczamy taśmy z twoim głosem.

- Zawsze są do was kolejki. Kawał czasu nie mogłam się do was dostać. Ale nie zapomniałam o was. - Co teraz porabiasz? - zapytał Woods.

- Trochę czasu poświęcam zajęciom z młodymi.

Uwielbiam dzieci. Lubię też robić całkiem zwyczajne rzeczy. Wiem, że niektórym może się to wydać prozaiczne, ale miło czasem posiedzieć sobie w ciszy, wydziergać coś na drutach i trochę poczytać.

- Nadal mieszkasz w tym samym domu?

- Tak, jestem tam szczęśliwa i nie mam ochoty się przeprowadzać. Oczywiście są tu i tacy, krórczy cały czas prą naprzód. Mnie to nie pociąga. Może kiedyś zapragnę zmian. Ale teraz wiedzie mi się świetnie. Mam własny kącik, przyjaciół i robię to, co mnie interesuje.

- Jak wygląda twój dom, Rose?

- Ach, całkiem zwyczajny, mały, wiejski domek. Całe życie o takim marzyłam. Zawsze myślałam, że przyjemnie będzie odpocząć i osiąść na wsi. Teraz mam dokładnie to, co chciałam. Nie potrzeba mi nic więcej. Z drugiej strony powinnam być ambitniejsza, ale ja czuję się taka szczęśliwa!

- Rose, czy masz ogród?

- Tak. uprawiam kwiaty, ale nigdy ich nie zrywam.

- A to dlaczego?

- Pozwalam im się naturalnie rozwijać, a radość sprawia mi sama pielęgnacja i obserwowanie. One, zdaje się, nigdy nie więdną.

- One żyją, prawda?

- Oczywiście, że tak. Mają własne życie i własną witalność.

- Czy składasz dużo wizyt, Rose?

- Nie, nie należę do osób towarzyskich. Nie mam nic przeciwko pogawędkom z przyjaciółmi. Nie czuję jednak potrzeby biegania po kominach.

- Czy jesteś zadowolona ze swego życia?

- Tak! Niektórzy twierdzą, że taki stan błogości osłabia dążenie do postępu. Wmawiają, że jeśli nie jesteś niezadowolony, to nigdzie nie zmierzasz i donikąd nie dojdiesz. Możliwe, że kiedyś zechcę się przeprowadzić, na razie jednak nie czuję takiej potrzeby. Czasem ktoś opowiada o różnych miejscach, nazywają je sferami. Są bardzo atrakcyjne, ale ja czuję się jeszcze zbyt mało wykształcona. Jestem szczęśliwa u siebie.

- Jak wygląda twoja chatka? - zapytał Woods wracając do spraw przyziemnych. - Czy możesz ją opisać?

- Proszę?

- Czy możesz opisać swoją chatkę, mówiłaś...

- Tak, tak, to mały domek - odrzekła. - Stoi we wsi, ma cztery izby. Jak dla mnie, wystarczy.

Zabawne, że tu nie ma brudu. Nie trzeba ścierać kurzu.

Cały czas jest porządek. Ale wiecie, co ludzie gadają? To mi się jeszcze nie przytrafiło. Podobno brud i kurz pojawiają się wtedy, gdy człowiek ma złe myśli!

Ja się cieszę, że wszystko mi się układa i nikomu ani niczemu nie przeszkadzam. Do ogrodu przyfruwają ptaki. Są oswojone i nie ma obawy, że narobią szkód. To naprawdę cudowne.

- Tak, prawdziwa idylla.

- Słyszałam też o przenosinach. Zostawiam je jednak ambitniejszym. Ja jestem szczęśliwa u siebie. Po co miałabym się przenosić? Zawsze przypominają mi, że czas podjąć nowe wyzwania, ale ja nie biorę sobie tego do serca.

Znów skupiła się na tym, co ją gryzie. Woods jeszcze raz skierował rozmowę na inne tory.

- Rose, z twego ostatniego nagrania wynika, że nigdy nie widziałas morza. Czy teraz, po upływie tego czasu...

- Nie widziałam żadnego morza i nie chcę go oglądać.

- Nadal chodzisz nad jeziora? Opowiadałaś o jeziorach...

- ...i pływających po nich łódkach - uzupełniła Betty Greene.

- Tak, tak, zapuszczam się w te urokliwe miejsca. Lubię to, ponieważ tam jest miło i spokojnie. Nie ma nic brutalnego. Morza nigdy nie dopuszczam do swych myśli.

- A czy jeździsz czasem do miasta? Mówiłaś, że jest ich wiele.

- Są ogromne, jak wy to nazywacie, miasta, bardzo jednak różne od waszych. Nie uświadczysz tam sklepów. To raj dla mieszczuchów, którzy kochają rozcierać tłumy. Jeśli ktoś lubi przebywać wśród dużej ilości ludzi, to chyba odruchowo decyduje się na osiedlenie w mieście.

- Czy masz sąsiadów?

- Tak, mieszka koło mnie parę całkiem podobnych do

mnie osób. Prawdopodobnie właśnie dlatego tam się znaleźli. Raz na jakiś czas spotykamy się. Jesteśmy na swój sposób szczęśliwi. Ja raduję się spokojem i odprężeniem. Nauczyłam się czytać - niezbyt mi to wychodziło po waszej stronie. Opanowałam alfabet i teraz mogę czytać książki. Wymieniamy lektury. Siadamy, rozmawiamy i czytamy. Wiem, że to was zaskoczy, ale nawet chodzę do kina. Tyle że nie są to bzdurne chały.

- Czy możesz nam opowiedzieć o tych filmach?

- Oczywiście. Są to filmy, które w waszym świecie były człowiekowi bliskie, z ważnym moralnym przesłaniem; pasjonujące i pouczające.

- Czy macie piękne okolice?

- O tak, przepiękne. Cudowne lasy i, co was chyba zaskoczy, mamy rozległe pola kukurydzy. - Naprawdę?

- I wiecie, zabawne, tu nie ma pór roku. W każdym razie nie w potocznym znaczeniu. Nigdy na przykład nie widziałam czegoś, co przypominałoby deszcz.

- Tam nie pada?

- Nigdy nie zauważyłam też, aby komukolwiek to doskwierało. Nie bywa też za gorąco. Zawsze jest przyjemnie. Panuje miły, ciepły klimat. A jednak nigdy nie widziałam słońca. Nie sądzę więc, aby to ono było źródłem światła.

- Rose, czy trawa jest taka sama jak u nas?

- Cóż, jest jak wiosenny trawnik, miękka, połyskująca zielenią, bujna. Kwiaty osiągają czasem siedem albo i osiem stóp wysokości. Chodzi się między nimi jak po lesie.

- Naprawdę? A powiedz, Rose, co robicie z kukurydzą? Ścina się ją?

- Nie wiem. Po prostu sobie rośnie.

- I nie piecze się z niej chleba?

- Nie, nie, ale jest jeszcze coś. Oczywiście, nie czuję potrzeby jedzenia. Miałam ochotę coś przegryźć zaraz po przybyciu, ale żywiłam się tylko owocami. Tak było ze wszystkim. Człowiek zaczyna tu zdawać sobie sprawę, że jedzenie nie jest ważne, i stopniowo traci apetyt. Ale nie odmawiam sobie herbaty, nadal mi smakuje i pijam ją. Domyślałam się, że zaraz padnie pytanie, skąd ją biorę. Czyżby z waszego świata? Nie sądzę.

- A w jaki sposób ją zdobywasz? - zapytał Woods. - Czy wystarczy sama myśl o filiżance herbaty?

- Wszystko to jest takie frapujące. Nie znam mechanizmu tego zjawiska... Nie idę do kuchni, nie nastawiam imbryka i nie robię sobie tak zwyczajnie herbaty. Ale gdy czuję, że napiłabym się herbaty, to ona jest.

- To bardzo przyjemne.

- Oczywiście. I jest najprawdziwsza. Sądzę, że herbata może się pojawić dlatego, że chcę jej się napić. Ale kiedy tracę na nią ochotę, przestaje istnieć. Wyjawię wam sekret. Ta herbata jest jednym z powodów, dla których nie chcę iść dalej.

Rose po raz kolejny wdała się w monolog na temat strachu przed przenosinami. Woods czekał cierpliwie wypatrując przerwy, aby móc zmienić temat. W końcu mu się udało.

- Czy drzewa tam kwitną?

- Tak, obsypują się dorodnym pachnącym kwieciem.

- Macie tam też muzykę, prawda?

- Owszem, często bywam na koncertach muzyki, no wiecie, takiej łatwo wpadającej w ucho, a nie dla snobów. Żadne tam jazzy, tylko melodyjna, słodka muzyczka. Nie słuchamy za dużo religijnych pieśni. One zawsze mnie przygnębiały.

- Rose, wspominałaś, że robisz na drutach - odezwała się Betty Greene. - Co sobie wydzierałaś?

- Wiercie mi, parę ładnych rzeczy. Włóczki dostają od różnych ludzi. Spotkałam tu bardzo miłego dżentelmena. On zamieszkuje wyżej, lecz wpada z wizytą do mnie i do moich znajomych. Nigdy nie przychodzi z pustymi rękami. Imponuje wspaniałomyślnością. Zawsze czuję się trochę zażenowana jego hojnością. Całkiem niedawno podarował mi wspaniałą włóczkę, w moim ulubionym odcieniu błękitu.

"Proszę, to dla ciebie - powiedział - zrobisz sobie coś ładnego".

- Czy we wsi są zwierzęta?

- Tak, oczywiście. One są takie łagodne... i ma się wrażenie, że chciałyby porozmawiać. Jasne, przy jakiejś oślizgłej żabie na pewno nie ustalabym spokojnie, ale na żadną nie wpadłam, a słyszałam, że one działają na

bardzo niskich częstotliwościach. Nie wiem, co to znaczy, ale ich tu nie ma. Podobnie z muchami i komarami. Widziałam jednakże motyle.

- Założę się, że były olśniewająco piękne.

- Ach tak, wprost zjawiskowe. Podobno nie zdychają, śmieszna sprawa tak wiedzieć, że będzie się żyć bez końca. Kiedy tu przybyłam, zastanawiałam się, jak długo to wszystko potrwa. Ciekawiło mnie, czy po upływie lat człowiek znowu się zestarzeje i kopnie w kalendarz. Jednakże tu się nie umiera. I to jest najdziwniejsze. Wydaje ci się, że trwasz i trwasz, a potem, kiedy zjadłeś już wszystkie rozumy, zapadasz w głęboki sen lub coś w tym rodzaju i wszystko zaczyna się od początku, tylko gdzie indziej... Oczywiście na taką myśl truchlałam ze strachu. Wiecie, ja nie chcę nigdzie odchodzić. Wielu moich znajomych twierdzi, iż powinnam, ale mnie to zupełnie nie pociąga.

- Poprzednim razem wspominałaś, że masz długie włosy - Woods zrezygnownie zmienił temat.

- Ach tak, potem je podcięłam.

- Spotkałaś wielebnego Draytona Thomasa? - zapytał Woods. - On też przeszedł na tamtą stronę.

- A, on, tak, pamiętam. Kiedyś często go widywałam.

Chyba się przeniósł, no wiecie. Na ziemi zwykle się mówi: "o, biedny staruszek, odszedł". Tu jest bardzo podobnie, ludzie też odchodzą. W jakimś sensie.

- Do innej sfery?

- Tak. Straciłam tak kilku znajomych. Po prostu odeszli.

Ja postanowiłam zostać tutaj.

- Czy macie tam konie? - szybko zapytał Woods.

- Tak, urodziwe, pełne gracji i lekkości.

- Potrafisz jeździć wierzchem?

- Ależ skąd. Ja i koń! Za nic w świecie nie wsadziłbyś mnie na koński grzbiet. Uwielbiam konie, ale z daleka. Trochę się ich boję. Od dzieciństwa. Cha, cha, ja galopująca na koniu!

- A jakie są te miasta?

- Muszę przyznać, że fascynujące. Malowniczo położone, z ogrodami, parkami i miejscami do zabawy dla dzieci.

- Pełno jest sal wykładowych, bibliotek. Zabawić się można w eleganckich, ze smakiem urządzonych lokalach. Chodzę na przedstawienia do teatrów. Widziałam wielu sławnych ludzi, o których dawniej tylko czytałam, bo nigdy nie chodziłam do teatru. Czasem wchodzę na galerię i obserwuję dawne gwiazdy. Wielu aktorów wciąż uprawia to samo zajęcie.

- Czy miasta są kolorowe?

- Są piękne... Eee... Kolorowe? Zależy, co uważacie za kolorowe. Na pewno nie pomalowano domów na czerwono, biało czy niebiesko.

- A co z architekturą?

- Zróżnicowana. Wszystkie style. Harmonia.

- Jak wygląda kamień?

- Hm, kamień wygląda, no... jak perła.

- Ach, to bajecznie - zachwyciła się Betty Greene.

- Czasami można nawet pomyśleć, że wszystko powstało z masy perłowej. Co za odcienie!

- A chodniki? Czy są z tego samego kamienia?

- Cóż, ten materiał wygląda jak kamień, ale właściwie nie wiem, co to jest. Po ulicach nie jeżdżą samochody ani motocykle. Spacer jest dla człowieka

prawdziwą rozkoszą. Tu się bez żadnego wysiłku chodzi pieszko.

- A jak się przemieszczacie? Za pomocą myśli, tak, Rose?

- Nie wiem dokładnie. Raczej nie. Zdaje się, że budzi się w człowieku pragnienie dotarcia do jakiegoś miejsca i to wystarczy.

- Czy macie tam lasy? Puszcze?

- Rozumiem, chciałbyś wiedzieć, czy przebywa tu wielu twoich krewnych? [*woods po angielsku oznacza las*]

- Chodziło mi o prawdziwe lasy i drzewa.

- Wiem, wiem. Chciałam cię tylko zbić z tropu. Naturalnie, nie brak u nas lasów. To wyśnione miejsce. Nikt tu nie obawia się o swoje życie. Każdy powinien z utęsknieniem wypatrywać przybycia tu, jeśli nic strasznego nie ma na sumieniu... Naturalnie nikt nie jest święty, ale przeciętny człowiek nie ma się czego obawiać. Nawet nikczemnicy, z tego, co słyszałam, nie są straceni. Dostają pomoc i przewodnika, a po jakimś czasie w końcu wychodzą z ciemności.

Zwykły człowiek może być spokojny. Ja nie byłam ani zbyt dobra, ani zła. Muszę jednak przyznać, że urządziłam się tu całkiem mile i właśnie dlatego nie chcę nic zmieniać. Ludzi ogarnęła obsesja ciągłych zmian. Niektórzy nie wiedzą, kiedy im dobrze, prawda?

- A ty żyjesz tak, jak marzyłaś? - zapytał Woods.

- Właśnie, dlatego nie wyglądam zmian.

- Jesteś szczęśliwa?

- I to bardzo. No, ale muszę już iść. Uważajcie na siebie. Należy wam się uznanie za ten kawał dobrej roboty.

- Zjrzyysz tu jeszcze? - spytała Berty Greene.

- Oczywiście, że przyjdę, moja droga Betty. Wszystkiego najlepszego, George. Pa, pa.

Ponownie dotrzymała obietnicy. Podczas następnej wizyty u nich sprawiała wrażenie jeszcze szczęśliwszej. Kamień spadł jej z serca. Zmiany - mimo wszystko - nie okazały się takie straszne.

Rozmowa z Oscarem Wilde'em

Rose była szczęśliwa. Jednak egzystencja, która przyniosła zadowolenie niepiśmiennej kwiciarce, może się okazać nudna dla aktora, pisarza czy polityka. Ona zachwalała Niebo z własnego punktu widzenia. Czyż jest zatem szansa na coś więcej niż tylko popołudniowa herbatka i pogawędki z sąsiadami, przeplatane wyjściami do kina?

Głosy zapewniają, iż możliwości są nieograniczone. Jednak duchy wykształconych ludzi nie wdają się w szczegóły. Swoistą i nieco rozczarowującą cechą wypowiedzi intelektualistów - między którymi znalazło się wiele sławnych i utalentowanych osobistości, odnoszących sukcesy na ziemi - było to, że wydawali się zbyt zajęci kwestiami moralnymi i problemami tego świata, aby umieć szczegółowo opisać, w jaki sposób mija im czas w świecie przyszłym.

Niemniej dwaj z nich opowiedzieli wystarczająco dużo, aby nieco stonować powyższą opinię. Z ich relacji wynikało, że życie w niebie może być czymś więcej niż siedzeniem i rozmawianiem w nie wymagającym doglądania domu pozbawionym kurzu czy w ogrodzie naszonych marzeń.

Dziewiątego lutego 1957 roku ciszę przerwał energiczny męski głos. Akcent był niewątpliwie amerykański.

- Nie sędzę, abym miał kiedykolwiek przyjemność rozmawiać z państwem - zaczął.

- Ach - ożywiła się Betty Greene. - Pan nazywa się Lionel Barrymore, nieprawdaż?

- Owszem, skąd pani wie?

Niewiele ponad dwa lata wcześniej, w listopadzie 1954 roku, Lionel Barrymore, przekorny filozof świata filmu oglądając w swym domu w Hollywood telewizję, dostał zawału serca.

Zabrano go do szpitala, tam zapadł w śpiączkę i umarł. Gwiazdor niezliczonej liczby filmów popularnych w latach trzydziestych i niezwykle odtwórca Gillespiego w Doktorze Kinderze zamilkł na wieki. Przed samym zawałem słyszano u niego ostatnią, rozpaczliwą apologię życia którą Szekspir włożył w usta Makbeta:

"Życie to nic, tylko wchodzący cień, marny gracz,

Co puszy się i wdzięczy swą godzinkę,

A potem nie słycać go już nigdy".

Berty Greene nie miała wątpliwości, że słyszy Barrymore'a.

Woods włączył się do rozmowy swym zwyczajowym pytaniem:

- W jaki sposób odbierał pan świat zaraz po śmierci? Czy wydał się panu podobny do naszego?

- No cóż, nie zaryzykowałbym tego określenia - odparł Barrymore. - Podobny, może pod względem przyrody. Oczywiście nie dostrzegłem żadnych samochodów, ciężarówek. Jednakże potem zrozumiałem, że w niższych sferach, bliższych ziemi, istnieją takie przedmioty. Wszystko zależy od stanu umysłu ludzi zamieszkujących dane miejsce.

Kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, pamiętam dość dobrze, że spacerowałem po czymś... hm... mogę to nazwać jedynie ogrodem. I to takim, jakie uwielbiałem w młodości. Zostałem tam rodziców. Otworzyłem oczy i ujrzałem matkę taką, jaką zapamiętałem z czasów, gdy była młodą kobietą. Było to dojmujące przeżycie.

Później nadciągnęła grupa moich przyjaciół, wśród których znajdowali się ludzie, z którymi utrzymywałem bliskie kontakty bardzo dawno temu. Zdaje się, iż me pierwsze doświadczenie polegało na spotykaniu ludzi znanych mi z czasów chłopięctwa. Jak wiecie, kiedy się zestarzałem, kulałem, trapiło mnie wiele zmartwień. Często marzyłem o powrocie do młodości. Przypuszczam, że w chwili zejścia uciekłem myślą do młodzieńczych, beztrudnych lat.

Miałem wtedy ukochanego psa. Gdyby ktokolwiek parę lat wcześniej na ziemi powiedział mi, że po śmierci istnieją też zwierzęta, nie dałbym wiary.

Właściwie nigdy nie wierzyłem, że psy, koty czy konie mają dusze. Teraz jestem świadom odpowiedzialności człowieka za królestwo zwierząt. One są od nas o wiele bardziej uzależnione, niż to sobie uświadamiamy. Słyszycie mnie?

- Tak - potwierdził Woods. - Bardzo wyraźnie. Wszystko nagrywamy.

- O, macie magnetofon. Czy wiecie, że jest tu ze mną mój brat John? Na ziemi nie zawsze panowały między nami najlepsze stosunki, ale tutaj wszystko się układa.

- Jak spędzacie czas? - zapytał Woods. - Co robicie?
- No cóż, ja nadal interesuję się teatrem. Mamy tutaj kulturę i sztukę, choć nie jest to dokładnie to samo, co na ziemi. Każde nasze działanie jest umotywowane, ma jakiś cel. Także przedstawienia powstają dla określonych powodów. Nie chodzi tu tylko o sprawienie ludziom przyjemności i dostarczenie rozrywki.

Wystawiamy na przykład pewne sztuki, które w niższych sferach można nazwać umoralniającymi, prezentujemy biografie niektórych osób z widowni. To pomaga Im dostrzec, jacy są naprawdę. W rezultacie zaczynają myśleć głębiej i budzą się w nich pragnienia lepszego życia.

Spotkałem Flo Ziegfielda i cały tłum innych twórców sztuki elitarniej, ekstrawaganckiej. Takiego słowa przynajmniej używaliśmy kiedyś w Stanach. Nie mógłbym jednak tego odnieść do Folies Bergere, niezupełnie o to mi chodzi.

Naturę dopiero tutaj traktujemy należycie. Nareszcie uświadamiamy sobie niezwykłość i doniosłość tego daru, którego sens na wszelkie możliwe sposoby wypaczaliśmy.

Wszyscy ludzie znajdują sobie tutaj interesujące zajęcie. Niektórzy szyją wspaniałe kreacje, inni malują natchnione obrazy, jeszcze inni tworzą scenografie do naszych sztuk. Są też tacy, co komponują wielką muzykę.

Tutejsza muzyka zdecydowanie różni się od ziemskiej. Nie ma orkiestr złożonych z kilkuset ludzi, z których każdy jest artystą. Tu wielcy kompozytorzy tworzą nowe dzieła i to wprost genialne, porywające. Koncerty wzbogacone są grą świateł i kolorów. To zachwycający widok. O, mógłbym opowiadać o tym w nieskończoność.

- To frapujące - rzekł zachęcająco Woods. - Jak wyglądają teatry? Czy przypominają nasze, ziemskie?

- Różnie. Mamy tu teatry podobne do ziemskich: z zachwycającymi sklepieniami, dywanami, przepychem, przestronną widownią. Są także ogromne, znajdujące się na wolnym powietrzu, dostojne amfiteatry. Wystawia się tu wszelkiego rodzaju sztuki. Te wielkie, z dawnych czasów, a także te, napisane przez przybyszy doskonalących się w pisaniu i reżyserowaniu.

Wystawiamy wszystkie sztuki Szekspira, co ciekawsze także sztuki nowsze, jeszcze wspanialsze niż te, znane na ziemi. On bowiem nadal pisze, reżyseruje przedstawienia i oczywiście sam występuje. Podobnie zresztą jak Spencer i wszyscy inni wielcy twórcy.

- Czy sztuki te utrzymane są w takim samym stylu? - zapytał Woods.

- Nie. Gdy człowiek zyskuje nowe doświadczenia w nowym życiu, jego styl w naturalny sposób przekształca się. Gdyby Szekspir żył dzisiaj, pisałby wielkie sztuki, takie jak po tej stronie, jednak używałby współczesnego języka. Stworzyłby arcydzieła, na jakie nie mogą się zdobyć współcześni pisarze. Wracam czasem na ziemię i odwiedzam wasze teatry, obserwuję aktorów i przedstawienia. Z nielicznymi wyjątkami, wszystko to szmira.

- Czy spotkał pan Szekspira? - zagadnął Woods.

- Tak, spotkałem go i mogę bez cienia wątpliwości wyjaśnić ten spór. Ręczę, że sam napisał wszystkie swoje utwory. Nie znaczy to oczywiście, że nie zapożyczył lub nie przerobił jakiejś starszej sztuki, lecz ja wam to mówię: autorem sztuk Szekspira jest Szekspir.

- Spotkał pan po tamtej stronie jakichś sławnych śpiewaków?

- Naturalnie, i to wielu.

- A na przykład Kathleen Farron?

- Chodzi panu o Kathleen Ferrier, tę młodą angielską damę zmarłą kilka lat temu? Tak, oczywiście. Wspaniała kobieta o wybitnym głosie. Co najmniej połowę swego uroku zawdzięcza nie głosowi, lecz wspaniałej osobowości i charakterowi. Jej głos rozwinął się. Wielu świetnych artystów słuchałem na ziemi, lecz tamte głosy to kocia muzyka. Ona to zupełnie coś innego. Ona...

Chodziło mu o to, że "miała" cudowny głos, czy "ma"?

Skoro w niebie można komunikować się bez słów, za pomocą samych myśli, to czy istnieje tam śpiew? Trzeba poczekać. Barrymore zrobił pauzę. A potem kontynuował:

- Przepraszam, ale muszę przerwać. Rozmowa na taką odległość wymaga pewnego wysiłku. Przyjdę innym razem. Szczerze mówiąc, mam już po dziurki w nosie tych nudziarzy, którzy chcą rozmawiać z Fanny i Charliem. Rozumiem, że na początku trzeba mieć dowód, lecz niektórzy z nich nigdy nie będą usatysfakcjonowani.

- My to nazywamy posiedzeniami z cicią Fanny - odezwała się Greene.

- Ach tak, też macie ich po dziurki nosa.

- Nie, nam przydaje się każde nagranie.

- Odtwarzajcie te zapisy znajomym i wszystkim zainteresowanym. Z całą stanowczością stwierdzam, że jeśli szukają, to na pewno znajdą. Jestem z wami. Do widzenia.

Nowy świat Barrymore'a wyglądał bardziej zachęcająco i mógł dostarczyć więcej ciekawych przeżyć niż świat Rose. Trudno jednak nie dostrzec podobieństw. Dwoje różnych ludzi, dwa odmienne charaktery i całkiem inne zainteresowania. Różnice pozostają takie same jak na ziemi. Jednak ich osobowości - pod wpływem nauk zdobytych po śmierci zmieniają się.

Ludzie w nowym świecie rozwijają się. Przemiany pochłaniają dużo czasu. Nagle i niespodziewane potwierdzenie tej tezy nadeszło ponad pięć lat później, dwudziestego sierpnia 1962 roku.

Odezwał się dojrzały męski głos. - Cieszę się, że tu jestem - zaczął.

- Bardzo mi przyjemnie - rzekł kurtuazyjnie Woods.

- Nie jestem zupełnie pewien, czy zechcecie mnie wysłuchać - ciągnął głos.

- Ależ, drogi przyjacielu, zrobił pan bardzo dobrze przychodząc do nas - zachęciła go Betty Greene.

- Przecież na dobrą sprawę nie zrobiłem nic - w głosie pobrzmiwała kpina. - Jak więc możecie mówić, że zrobiłem to bardzo dobrze?

- Zdawało nam się, że powiedział pan coś, czego nie dosłyszeliśmy.

- Nigdy nie rzuciłem słów na wiatr.

- Czy mógłby pan się nam przedstawić?

- Gdybym nie miał nic do powiedzenia - kontynuował głos - wtedy nic bym nie mówił.

- Przepraszam, z kim mamy przyjemność? Betty Greene znów została zignorowana.

- To nadzwyczajne! Umieranie to niezwykła sprawa. Zwłaszcza, gdy opowiada się o tym ludziom z ziemi, którzy żyją, i w rezultacie tego są znudzeni i smutni. Nadzwyczajne!

- Tak - wybąkał zmieszany Woods.

- W ostatnim czasie moje dzieła budzą zainteresowanie...

Znów krótka przerwa.

- Przyjacielu, czy moglibyśmy poznać twoje nazwisko? - nie zrażona Betty Greene podjęła jeszcze jedną próbę.

- Po waszej stronie nazwisko przysparzało mi zazwyczaj wielu kłopotów.

- Kiedy odtwarzamy taśmy ludziom, pytają nas o tożsamość właściciela głosu - wyjaśnił Woods.

- To powiedzcie im, że jestem pułkownikiem Bogeyem!

- Raczej nie dadzą się nabrać - odparł Woods. - W każdym razie, drogi przyjacielu, mamy...

- No pewnie, że bardziej się cieszyicie, że mnie macie, niż z tego, że przyszedłem. To ja się cieszę, że tu przybyłem, szkoda tylko, że nie będziemy mogli porozmawiać w bardziej konwencjonalny sposób, bez pomocy urządzenia wychytującego moje myśli. To zupełnie tak samo, jakby mówił za mnie aktor.

- O - wtrąciła Betty Greene. - Pan pisze sztuki.

- Tak, może nawet je znacie. Nazywam się Wilde.

- O, czytałem pana książki - stwierdził Woods.

- Szczęściarz z pana! Powinno się mnie bardziej doceniać. Nie, żeby chodziło mi o honorarium. Bez wątplenia należy pan do bardzo dobrej biblioteki.

Betty Greene nie zamierzała tracić czasu. Od razu przeszła do właściwego pytania:

- Panie Wilde - zaczęła stanowczo - czy może pan nam opowiedzieć o życiu po tamtej stronie? Czym się pan teraz zajmuje?

- Muszę przyznać - odparł - że czuję ulgę, iż wolicie rozmawiać o moim teraźniejszym byciu, a nie o ziemskiej egzystencji. Moje losy na ziemi, mimo plotek i pomówień, są wszystkim znane. Gdybym wyznał, że styl mego życia pozostał ten sam, bylibyście przerażeni. Tak się jednak składa że to szczerą prawdą. I niczego nie żałuję! Jestem całkowicie zadowolony i szczęśliwy, iż wiodę żywot wybornie grzeszny. Grzeszny jednak tylko z punktu widzenia świata ziemskiego. Tutaj być człowiekiem i żyć w zgodzie z naturą to nie grzech. Na ziemi żyć w zgodzie z naturą oznacza występki, a tutaj jest się grzesznym, bo to zgodne z naturą. Świat prezentuje osobliwe podejście do grzechu.

- Czym się pan zajmuje? - nalegał Woods.

- A dlaczego miałbym się zwierzać?

- Jesteśmy ciekawi - rzekła Betty Greene z uśmiechem.

- Mówiąc poważnie, nadal zajmuję się pisaniem, wystawiam sztuki, często jestem wzywany do niższych sfer, aby nieść pomoc. Zapewne jesteście zdziwieni tym oświadczeniem.

- Nic a nic - zapewnił Woods.

- Możecie to zinterpretować w ten sposób, że jestem najwłaściwszą osobą do pomocy niższym sferom, gdyż sam nie poczyniłem zbytnich postępów! A mnie w gruncie rzeczy jest teraz o wiele łatwiej porozumiewać się z ludźmi. Wierzę, że to za sprawą mego umysłu, choć wbrew reputacji. Nie przejmuję się zszarganą opinią, ale zdaje się, że ludzi po waszej stronie bardzo ona

interesuje! Na mojej złej sławie zbito po mej śmierci więcej pieniędzy niż kiedykolwiek byłem w stanie zarobić na swoich sztukach. Czyżby grzech przyczyniał się do sukcesu?

- Zawsze cechował pana otwarty umysł i szerokie horyzonty, prawda? - zapytała Betty Greene.

- Byłem gotów przyjąć wszelką iluminację. Właściwie powstanie moich najlepszych dzieł zawdzięczam otwartemu umysłowi, dzięki czemu chłonałem inspiracje, prowadzące do sukcesów. Jednakże żywię przekonanie, że gdyby nie moje własne górnolotne myśli, nie posiadalibyście wielu sławnych dzieł, które byłem w stanie stworzyć. Może to być jednak przedmiotem dyskusji. Każdy kij ma dwa końce.

- Chyba każdy pisarz potrzebuje jakiegoś objawienia, natchnienia - odezwała się Beny Greene.

- Ależ, moja droga, nie zapominaj, proszę o własnej osobowości i odmienności, niepowtarzalności. Gotów jestem jednak przyznać, że zarówno byłem inspirowany jak i inspirowałem. Teraz może jeszcze bardziej. Wiadomo, umarłem.

- Panie Wilde... - wtrąciła Betty Greene.

- Chcielibyście zarzucić mnie pochlebstwami i rozmawiać poważnie? Powaga to zwykle nuda.

- Nie, nie - szybko sprostował Woods. - To wykluczone.

- Wielu ludzi na ziemi bierze wszystko na poważnie i mimo woli stają się nudni. Nie mam zamiaru dołączyć do tej czeredy. Robię to celowo, bo zawsze znajdą się dociekliwi i wyskoczą z pytaniem: "Skąd mamy wiedzieć, że to Oscar Wilde?". Spodziewają się, że będę taki sam - taki, jakiego sobie wyobrażają i oczekują. Robię to dla waszego dobra, ponieważ wiem, jak bardzo zabiegacie o wiarygodność. A jeśli wam pomagam, w tak zbożnym celu, to może zmyję z siebie trochę grzechów?

- Panie Wilde - zapytała Betty Greene - czy nauczył się pan czegoś podczas pobytu po tamtej stronie?

- Okazałbym się nieuleczalnym przypadkiem, gdybym przebywając tu tak długo niczego się nie nauczył. Uczymy się wszyscy, chcemy tego, czy nie. Nieważne, czy jesteśmy uczniami pilnymi, czy mamy dobrych nauczycieli. I tak zdobywamy wiedzę.

- Był pan zaskoczony, gdy pojął pan, że znalazł się na tamtym świecie?

- Mnie nic nie może zaskoczyć. A już na pewno nic, co ma związek z Bogiem, bo On należał do ludzi, którzy zawsze czynią rzeczy niespodziewane, jeśli wierzyć temu, co zapisano w Biblii.

- Tak, ale jak właściwie przyjął pan do wiadomości fakt swojej śmierci? Może pan opisać samo umieranie?

- Och, zszedłem z tego świata jak wszyscy inni.

- Owszem, ale musiał pan gdzieś się znaleźć. W ogrodzie, może w pokoju, może...

- Dlaczego miałbym trafić do ogrodu? Albo dlaczego ocknąć się w pokoju? Bardzo niezręcznie wypadłoby przebudzenie w - powiedzmy - buduarze Lady Cynthii, jeśli moment byłby co najmniej niestosowny.

- To prawda - nie dawała za wygraną Betty Greene - ale spotkał pan przecież jakichś ludzi? Ktoś musiał wyjść panu na spotkanie i udzielić pomocy.

- Mówiąc poważnie, spotkałem matkę.

- A jak się panu spodobało tamtejsze otoczenie? - zapytał Woods.

- Cóż, idzie się po dziwnych terenach, które wcale nie są takie odmienne od ziemskich. Nadzwyczajne jest jednak to, że ludzie są tacy sami. Mogą się zmieniać sytuacje, otoczenie, warunki, podejście do życia. Jednak ludzie, dzięki Bogu, pozostają tacy sami.

Wciąż tak samo wyglądają. Są takimi, jakimi byli. W rezultacie, człowiek czuje się jak w domu. Spotkałem wielu, których lubiłem, a także wielu, za którymi nie przepadałem, lecz nauczyłem się cenić z innych powodów. Sporo też podróżowałem. Do różnych miejsc, sfer, krajów, jeśli można je tak nazwać. Nie ma tu żadnych barier, chyba że te znajdujące się wewnątrz człowieka, zniewalające jego umysł. Bariery między ludźmi to wymysł ludzki. Tutaj każdy uczy się ich wyzbywać.

Wystarczy krótki pobyt, aby uświadomić sobie dobitnie, iż każdy z nas jest częścią drugiego. Wszystkie dzieci Boże zaczynają się w końcu łączyć, choć pozostają odrębnymi osobowościami i indywidualnościami. Jednocząc się w harmonii, żyjemy w stanie pokoju, błogości, gdzie każdy może mieć swoje zdanie.

Niektórzy czują potrzebę wykonywania różnych prac, inni nie. Ja nadal piszę, ponieważ pisanie to, w wielkim uproszczeniu, moje życie.

- Pański proces - odezwała się Betty Greene - był wielokrotnie wznawiany.

- Tak, tak, wiem. Ten okres należał do najobfitszych w sukcesy w całej mojej karierze.

- Panie Wilde, czy mógłby pan...

Przerwał jej, zanim Betty zdążyła dokończyć pytanie.

- Rozmowa z wami staje się trochę męcząca. Irytuje mnie ten sposób porozumiewania się. Nie mogę jasno myśleć. Czuję, jak piętrzą się blokady i przeszkody. Bez wątplenia jednak dojdę do wprawy. Zobaczycie. O co jeszcze chcielibyście zapytać?

- Przypuszczam, że w chwili śmierci każdy czegoś żałuje - mówiła Betty Greene. - Czego było panu żal?

- Przede wszystkim bolałem, iż nie zostałem dłużej po waszej stronie!

- O, czyżby?

- Naturalnie. Chciałem nadal pisać. Może to dziwne, ale pragnąłem powrócić do społeczeństwa. Nie, żebym czuł się całkowicie wyobcowany. Wydawało mi się, że będę mógł znaleźć sobie własne miejsce na ziemi. Ale to już stare dzieje. Zmieniłem się od tamtego czasu.

- Czy spotkał pan po tamtej stronie George'a Bernarda Shawa?

- Tak. Oczywiście. Co to za człowiek! Niezwykły charakter. Błyskotliwy, jeśli nie... cóż, chyba nie powinienem mówić takich rzeczy. Wyjdę na niedojdę.

- Jak jest po tamtej stronie, na pańskiej płaszczyźnie?

Mógłby pan coś na ten temat powiedzieć? - Chodzi o opisy?

- Tak. Jak jest w teatrach i tak dalej. Bo macie teatry, czyż nie? Nadal pisze pan sztuki, nieprawdaż?

- Naturalnie. Nasz świat pod wieloma względami, jak już bez wątpienia słyszeliście, jest bardzo podobny do waszego, ziemskiego. Tutejsze tereny są takie same jak na waszym świecie, a nawet piękniejsze. Przyroda istnieje, choć obce są nam jej dokuczliwe aspekty. Nie

mamy na przykład owadów, takich jak muchy, komary, ani innych niedogodności, które mogą człowieka rozdrażnić. Zdaje się, że tu jest wyłącznie piękno i wspaniałość natury. Żadnych tam tnących komarów!

- A budynki, domy? - zapytał Woods.

- Cała różnorodność, lecz w sferze, w której ja zamieszkuję, wznoszą się tylko eleganckie, wyszukane konstrukcje.

- A miasta, miasteczka...

- Owszem, można tu znaleźć miasta zamieszkałe przez tysiące ludzi. Jednak z wielu powodów bardzo różnią się od starych miast.

- Ale samochodów ani podobnych wynalazków tam nie uświadczysz?

- Nie. Bogu dzięki, obywamy się bez maszyn. Konie, owszem. Zwierzęta domowe. One tak wiele znaczą dla człowieka i dla nich człowiek też tak wiele znaczy. Psy, konie, koty. Zwierzęta są bardzo podobne do ludzi. Na nieszczęście bardzo często także ludzie są jak zwierzęta! Czasami wydaje mi się, iż one osiągnęły wyższy stopień rozwoju. Potrafią się przynajmniej kierować naturalnymi Instynktami, w związku z czym nie można twierdzić, że postępują źle. Istoty ludzkie ciągle borykają się z problemami, gdyż często zaciekle szukają swego prawdziwego ja. Człowiek powinien być sobą, ponieważ tylko w ten sposób może mieć nadzieję na rozwój.

Zadając kolejne pytanie Woods skierował rozmowę na bardziej konkretny temat.

- Czy ma pan dom, gdzie może pan pisać?

- Tak, bardzo piękny. Właściwie jest to dom moich marzeń. Sądzę jednak, iż jest nim dlatego, że sam go stworzyłem. Nie zdając sobie sprawy, jedynie za pomocą swych myśli - tych lepszych - wzniosłem go, zanim jeszcze tu przybyłem.

- Ma pan ogród?

- Mam. Niezbyt duży, ale wystarczy. Zawsze wolałem siedzieć w domu. Doceniam naturę, ale sądzę, iż zręczniejsze obserwować ją z dystansu, niż dać się oślepić jej blaskowi. Z boku często widzi się wyraźniej.

Nagle wszystko się skończyło.

- Muszę już iść - rzekł głos. - Jeśli będę mógł, przyjdę jeszcze raz i znów porozmawiamy.

- Miło z pana strony, że nas pan odwiedził - powiedział Woods.

- Dziękujemy, panie Wilde - dodała Betty Greene.

- Przyjemnie się z wami gawędziło - rzekł głos. - A jeśli czasem wydałem wam się trochę szorstki, to tylko dla waszego dobra, aby, ze względu na to, iż bardzo się zmieniłem, ludzie nie pomyśleli, że to nie ja. Potrafię jednak rozmawiać, i na pewno naświetlę sprawy, o których chcielibyście usłyszeć, ale... w stosownym czasie.

- Niech was Bóg błogosławi. Zdaje się, że tak się mówi na spirytystycznych seansach zamiast do widzenia. Niech Bóg was błogosławi, przyjaciele. Do widzenia.

Głos podający się za Oscara Wilde'a zamikł.

Dom i ogród

W końcu, po rozpatrzeniu kwestii dotyczących przyszłego świata, dochodzi się do pytania: "Czy mógłbyś w prostych słowach opisać, jak wygląda w Niebie powszedni dzień domowej gospodyni?". Po

przesłuchaniu setek relacji dochodzi się do wniosku, że najuczciwsza odpowiedź brzmi:

"Nie wiem".

Nie ma tam nocy ani dni, nie ma typowych gospodyń domowych, zwyczajnego życia. Dowiedzieliśmy się, że każdy dochodzi do stanu świadomości, kiedy może stworzyć siebie na podstawie życia wiedzonego na ziemi. George Harris nie potrafił się obejść bez układania cegieł. W Niebie zajmował się tym nadal.

Lionel Barrymore nie zdołałby zrezygnować z aktorstwa. Występował więc nadal. Rose nie wyobrażała sobie życia bez filiżanki herbaty, więc popijała ten aromatyczny płyn. Głosy twierdziły, iż nikt nie pozostaje bierny. Każdy się rozwija i czyni postępy. Życie w Niebie zmienia się w podobny sposób jak życie na ziemi.

Na które pytania uzyskano wyczerpujące odpowiedzi?

Jak dokładnie wygląda dom w Niebie? W jaki sposób rosną niebiańskie ogrody? Czy ludzie tam jedzą, śpią i mają rozrywki? W jaki sposób odpoczywają? Co dokładnie się z nimi dzieje?

Kluczowe słowo brzmi "dokładnie".

Woods i Berty Greene zadali wszystkie konieczne pytania. Otrzymali wiele odpowiedzi. Rzadko jednak można było z nich wywnioskować, czy głosy celowo mówią niezbyt dokładnie, czy uznają za niemożliwe opisanie pozbawionej upływu czasu egzystencji w świecie o innych wymiarach za pomocą języka zrozumiącego na ziemi.

Możemy tylko zestawzić wszystkie wypowiedzi i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Jeśli wasze oczekiwania wobec nieba dyktowane są naukami religijnymi, czeka was zaskoczenie.

- Myślałam, że będzie zupełnie inaczej - twierdzi Mary Ann Ross. - Tak jak to widać na obrazach i można wyczytać w religijnych książkach. Aniołki ze skrzydełkami...

Było zupełnie inaczej. Żadnych aniołów, skrzydeł, harf. Na pierwszy rzut oka przybyszy uderzały podobieństwa między niebem a ziemią.

- Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju repliką - mówił pan Biggs. - Jest matka i wszystko inne.

- Warunki życia - opowiadał Alfred Higgins, malarz i dekorator wnętrz - pod wieloma względami przypominają warunki ziemskie. Świat, w którym żyjemy, jest bardzo, bardzo podobny do poprzedniego.

Mary Ivan twierdziła, że nawet oddychają powietrzem.

- Nie wiem, czy to tlen, ale nazwałam to powietrzem, ponieważ ma się wrażenie oddychania.

George Ohlson, osobisty przyjaciel Woodsa, tak to ujął:

- Ta realność wszystkiego zaskoczyła mnie. Żadnych tam spraw związanych z czyszczeniem. Wszystko to niewiele tu znaczy. Tu się toczy prawdziwe życie.

Przeważnie pierwszą rzeczywistością, w której znajduje się nowo przybyły, jest nowy dom. Wielu opisywało go używając ziemskich terminów.

Jak pamiętacie, Alf Pritchett został zaprowadzony przez siostrę do małego domku w typowym angielskim stylu.

Pan Biggs poszedł z wizytą do domu ciotki May.

"Stał tam ten sam mały domek. Był czwarty, ostatni w szeregu... Z niewielkiego ogródka wujek zawsze był

niezmiernie dumny... zabrali mnie do środka, w domu panował ład i porządek".

Ted Butler obudził się "siedząc w wygodnym fotelu naprzeciw tej damy, w bardzo miłym saloniku... W oknach wisiały kretonowe zasłony... Podłogę przykrywał gruby dywan".

Terry Smith dotarł do całkiem podobnego pomieszczenia: "można je chyba nazwać salonikiem - gdzie w oknach wisiały śliczne, perkalowe zasłony i stały ładne krzesła".

Oscar Wilde był jeszcze mniej dokładny: "Tak, mam bardzo piękny dom. Można powiedzieć, że to dom moich marzeń".

Bez żadnych szczegółów.

W 1962 roku głos należący do Elizabeth Fry, filantropki i reformatorki więziennictwa, dorzucił co nieco do naszej wiedzy na temat niebiańskich domów.

- Dom wyobrażam sobie jako niski, drewniany, kryty strzechą budynek... Dom jest dla mnie tak samo ważny jak dla was. Istoty ludzkie uwielbiają miejsca, które można zamienić w dom, które można urządzić tak, by odzwierciedlały ich własny sposób myślenia. Właśnie dlatego istnieje tak wiele rodzajów domów. Ja zamieszkałam w takim, ponieważ daje mi on poczucie stabilizacji, bezpieczeństwa, a także, według mnie, jest piękny sam w sobie. Nie za mały, nie za wielki, w sam raz dla mnie. Wyposażyłam go w proste meble.

Nam też wydaje się wspaniały. Jednakże dla agenta nieruchomości, próbującego doszukać się szczegółów potrzebnych przy sprzedaży domu, opis ten nie ma prawie żadnej wartości.

Praktyczna Rose jako pierwsza opisała nam swój dom bardziej szczegółowo: "W środku znajdują się cztery izby. Jak dla mnie, to wystarczy".

Jakie to pomieszczenia? Tego nie powiedziała. Zazwyczaj opisywany jest tylko pokój wypoczynkowy. Czy mają tam sypialnie, jadalnie, kuchnie, łazienki i toalety? Albo gabinety, pokoje z bilardem i biblioteki?

Tego nie mówił nikt.

Prawie każdy dom przedstawiany przez głosy miał ogród i był usytuowany pod miastem, lecz w krajobrazie piękniejszym niż na ziemi.

- Kwiaty to przyroda - mówiła Rose. - Też mają życie.

Można ścinać kwiaty, zabierać je do domu, lecz czyni tak niewielu. Ścinanie kwiatów nie jest najlepszym wyjściem, gdyż jeśli tylko chcesz, możesz mleć dokoła siebie całe piękno natury. Wcale nie musisz wychodzić na dwór, aby pooglądać kwiaty. Wystarczy o nich pomyśleć i już się je widzi.

Opowiadała też o trawie:

- Cóż, jest jak wiosenny trawnik, bardzo, bardzo przyjemna, bujna i zielona. Bywałam też w miejscach, gdzie kwiaty miały dobre siedem albo i osiem stóp wysokości. Chodziło się między nimi jak po lesie.

Na polach rośnie kukurydza.

- Nigdy nie widziałam - mówiła Rose - żeby ją ścinano. W każdym razie zawsze tam rośnie... Drzewa mają wspaniałe kwiaty i cudnie pachną! Ach, co za woń!

George Hopkins, farmer z Sussex, zachwycił się:

- Mamy piękne tereny. Jeziora, rzeki... Kwiaty, różne gatunki ptaków i wszystko, co się może kojarzyć z naturą może z wyjątkiem tak zwanych mniejszych żyjątek. Nie widziałem tu na przykład mrówek. Po

waszej stronie cieszą się sławą stworzeń inteligentnych, tutaj jednak Ich nie uświadczysz. Nie zauważyłem też owadów... Pewne przejawy przyrody nie istnieją na tym świecie.

Podobnym stwierdzeniem raczy nas Oscar Wilde:

- Dokuczliwe aspekty przyrody zostały nam oszczędzone.

Nie mamy na przykład owadów, takich jak muchy, komary ani Innych rzeczy, które mogą człowieka rozdrażniać. Zdaje się, że tu jest wyłącznie piękno i wspaniałość natury. Żadnych tam tnących komarów!

Następne zjawisko odkrywają słowa Teda Budera:

- Miałem cudowne uczucie, że jest jasno i ciepło, zdawało mi się, że przez zasłony przebija się słońce.

Mary Ivan dodaje:

- Przez okna wpadało słońce - w każdym razie wtedy mi się wydawało, że to słońce.

Ale mylili się.

Wyjaśnia to Terry Smith.

- Po jakimś czasie wyszliśmy na coś, co przypominało słońce, choć wkrótce dowiedziałem się, iż jest to światłość, z której my wszyscy, wszelkie formy życia, czerpiemy energię... Zabawna rzecz z tą światłością, może to zabrzmie dziwnie, ale nie powodowała powstawania cieni.

A Ted Butler dodał:

- Potem powiedziano mi, że nie ma absolutnie nic wspólnego ze słońcem. To światłość istniejąca w sposób naturalny. Jakie jest jej źródło, tego nie odkryłem nigdy.

Być może kiedyś wyjaśnią to naukowcy.

Jeśli nie ma słońca, to czy zapada ciemność? Czy chodzi się tam spać?

Głosy nie są co do tego zgodne.

- Tak - potwierdza George Harris - wszystko przebiega tak samo jak u was. Po dniu przychodzi noc. Kładziemy się do łóżka, zasypiamy i budzimy się tak samo jak na ziemi.

Podobne zdanie prezentuje pan Biggs.

"A tymczasem powinieneś trochę odpocząć - powiedziała do niego matka. - Chcesz się położyć do łóżka?"

"Do łóżka? A więc macie i łóżka?"

"No cóż, nie są nam konieczne - odparła. - Tobie jednak może się przydać".

- Żeby nie komplikować sprawy, położyłem się do łóżka. Będąca w Niebie trochę dłużej Rose, tak to ujęła:

- O tak, jeśli ktoś chce, może spać.

- Lecz nie jest to konieczne?

- Nie, skądże!

- Nie czujecie zmęczenia?

- Nie, nigdy.

- A co ze zmęczeniem psychicznym? Czy możecie wyłączyć się i o wszystkim zapomnieć?

- Cóż, jeśli o to chodzi, to wystarczy odprężyć się, zamknąć oczy, a gdy po jakimś czasie podnosi się powieki, jest się wypoczętym. Przestaje się odczuwać zmęczenie.

Ellen Terry, mieszkanka Nieba z dłuższym stażem, wyjaśnia to tak:

- Nigdy nie robi się ciemno. Zapada coś, co można by nazwać zmierzchem, ale nie jest on podobny do waszego. Wtedy nadchodzi czas ciszy i wypoczynku. A mimo to nie ma potrzeby odpoczywania i spania. Poczucie spokoju ogarnia człowieka na zawołanie.

Prawdopodobnie nie padają też deszcze.

- Nigdy na przykład nie widziałam nic, co przypominałoby deszcz - mówiła Rose. - Zabawne, ale nie ma pór roku. W każdym razie nie w potocznym znaczeniu.

Jednak i w tym przypadku wszystko zależy widocznie od stopnia zaawansowania i wtopienia w nowy świat. Działający jeszcze częściowo na ziemskich częstotliwościach George Harris przedstawił swoją wersję:

- Różne pory roku, deszcz, słońce i tak dalej... Wszystko normalnie.

- A więc macie deszcz? - zapytała zaskoczona Betty Greene.

- Tak - odparł. - Deszcz i wszystko inne. Wszystko takie samo. Wydaje się, jakbyście tam na ziemi mieli kopię tego, co jest tutaj.

Przeważały jednak opinie, że pory roku nie istnieją i, co trudniejsze do pojęcia, nie ma czegoś takiego jak czas.

- W moim odczuciu nie istnieje żadna miara czasu, nie jesteśmy świadomi jego wpływu - mówiła Rose. - Wiem, że trudno wam to sobie wyobrazić. Wy zawsze wiecie, czy jest rano, wieczór, czy południe. Nas te rzeczy nie dotyczą. My w ogóle nie musimy mierzyć czasu. Poza tym przecież czas to wymysł człowieka, prawda?

Najpełniej tę jaskrawą różnicę pomiędzy dwoma światami wyjaśnił George Ohlson.

- Panie Ohlson - zapytała Betty Greene - powiedział pan, że nic tam nie robi. Jak wpływa panu czas?

- O mój Boże, czas! Musicie pojąć, że coś takiego dla nas nie istnieje. Rozumiem, że to może być dla ludzi trochę zagmatwane. Łatwo powiedzieć: "co oni tam robią z czasem?". Czas, czas, czas! Cóż, my nie mamy świadomości wpływu czasu. On dla nas nic nie znaczy. Możemy robić różne interesujące rzeczy oraz rozwijać wszelkie pasje, lecz nie czujemy przemijania. Nie zdajemy sobie sprawy, czy upłynęła godzina, dzień, tydzień, miesiąc czy rok, a jedyne pojęcie o tym mamy ze względu na was. Musimy sobie uświadamiać czas, jeśli chcemy tu do was przychodzić.

Ludzie mawiają: "Och, jestem pewien, że on dzisiaj przyjdzie porozmawiać, bo to jego urodziny". O tym, żeby przykładać wagę do takich rocznic, nie ma nawet mowy. Przypuszczam, że nikt nie pamiętałby o swoich urodzinach, gdyby nie fakt, że przypominają mu o tym bliscy, drodzy nam ludzie z ziemi. Ktoś powie: "o, w lutym Fred ma urodziny" czy coś w tym rodzaju, wtedy sobie o tym przypominamy. To samo z samym urodzeniem. Dla mnie to oczywiste, że człowiek istnieje już przed urodzeniem. To znaczy, że zaczyna sobie pewne rzeczy uświadamiać i stopniowo w sobie rozwijać. A gdy jest już trochę starszy - na ziemi - wtedy zaczyna uzmysławiać sobie, co się dzieje wokół niego - kształty, formy, kolory i dźwięki. Potem znów, w dzieciństwie, wszystko nabiera znaczenia. Nie zmienia to jednak faktu, że życie istnieje przed narodzeniem.

Nie sądzę na przykład, aby moje urodziny były czymś więcej niż moja śmierć. Nie mówię oczywiście, że przed urodzeniem musiałem istnieć koniecznie w takim samym kształcie. Rozwijałem i wzbogacałem swoją osobowość, a ludzie nazwali mnie Ohlson. Prawda jest jednak taka, że czas ten jest nieskończenie

krótki. Po prostu nikt z nas nie jest tym, kim się sobie wydaje. Zgadza się, że całość jest skomplikowana, ale jednocześnie fascynująca.

Nie ma czasu. Nie ma posiłków. Żadnych posiłków? Na pierwszy rzut oka dowody wydają się sprzeczne.

Nikt nie spodziewa się jedzenia ani picia. Gdy witano ich filiżanką herbaty, nie chcieli wierzyć, że jest prawdziwa.

Przypomnijcie sobie Alfa Pritchetta, gdy przybył do ośrodka przyjęć. Co zobaczył?

- Zwróciłem uwagę na to, że jedni rozmawiają, a inni jedzą i piją. "I tu go mam", pomyślałem. "Mówił, że jesteśmy w pewnej postaci Nieba, a tam chyba nikt nie powinien jeść". Zauważyłem: "Patrz Bill. Przecież oni tu jedzą".

A gdy Biggs złożył wizytę cioci May? - Napijesz się herbaty? - zapytała. Ted Butler: - i przyniosła herbatę.

A oto, w jaki sposób Francuzka wraz ze swoją rodziną przyjmując George'a Wilmota starała się stworzyć domową atmosferę:

- Postawili przede mną wielką michę zupy i, szczerze mówię, poczułem się jak na ziemi. Zabrali się do jedzenia, a ja wraz z nimi. A potem paliłem fajkę z gospodarzem.

Niebiańscy gospodarze szybko przyznawali, iż takie okazje należą do rzadkości.

- Nie rozumiesz jeszcze - twierdził przewodnik Pritchetta - że gdy tu przybywasz, czujesz konieczność wykonywania pewnych rzeczy. Jeśli uważasz, że konieczne jest jedzenie i picie, to jesz i pijesz.

- Na początku wszystko jest tak samo - tłumaczyła siostrzeńcowi ciocia May - żeby można czuć się szczęśliwie i rodzinnie, i mieć wszystko, czego się zapagnie. Wkrótce jednak zdasz sobie sprawę, że te rzeczy nie są konieczne.

- Gdy się już tutaj dostaniesz - wyjaśniała przewodniczka Teda Butlera - odnajdujesz potrzebne ci rzeczy. Jeśli zaraz po przybyciu uznasz, że coś jest ci niezbędne, będziesz to miał. Jednak tylko kwestią czasu jest uświadomienie sobie, że wcale ci tych rzeczy nie potrzeba. Ja normalnie nie pijam herbaty. Lecz mając w domu gościa, chcę, aby przyzwyczajał się do nowego otoczenia stopniowo, a pewne rzeczy mogą mu pomóc.

George Wilmot otrzymał niemal takie samo wyjaśnienie od swego przewodnika:

- To jest potrzebne tylko dlatego, że tobie i podobnym ci ludziom tak się wydaje. Wkrótce jednak stwierdzisz, że nie ma takiej potrzeby. Kiedy zniknie pragnienie, razem z nim miną myśli i wszystkie te rzeczy przestaną dla ciebie istnieć.

U niektórych pragnienia pozostają dość długo.

- Przyzwyczaiłam się do herbaty - twierdziła Rose - nadal mi smakuje i pijam ją.

- A w jaki sposób ją zdobywasz? - zapytał Woods. - Czy myślisz tylko, że napiłabyś się herbaty i dostajesz ją?

- Wszystko to jest takie dziwne. Niezbyt dokładnie zdaję sobie z tego sprawę... nie idę do kuchni, nie nastawiam imbryka i nie robisz sobie tak normalnie herbaty. Ale jak czuję, że napiłabym się herbaty, to ona jest.

W sprawie jedzenia była bardziej precyzyjna.

- Mamy owoce, orzechy - mówiła. - Zrywamy je z drzew.

Jemy też inne produkty uważane na ziemi za pożywienie nigdy jednak nie zabijamy zwierząt. No wiecie, nie zjadam; tu koniny ani innego mięsa.

A potem:

- Nie, tak się dzieje tylko w materialnym świecie, gdzie istnieje głód i potrzeba jedzenia. Świat materialny wymusza zabijanie zwierząt, tu natomiast nic takiego nie jest potrzebne, gdyż szybko mija potrzeba odżywiania się... I znów, gdy ludzie tu przybywają, mają ochotę na różne potrawy. Cóż, mogą je mieć. Wkrótce jednak stopniowo pozbywają się nawyku jedzenia, a po jakimś czasie mija im to całkowicie.

Głos podający się za niejakiego Martina, który w latach dwudziestych wyemigrował do Australii i w Sydney został zabity, opisywał podobne przeżycia.

- Do jedzenia i picia było wszystko, czego dusza zapagnęła. Przypuszczam, że jadłem odruchowo. Stopniowo jednak zacząłem pojmować, że jedzenie i picie to tylko nawyki. Byłem do paru rzeczy przyzwyczajony i wykonywałem je, bo zdawały mi się, konieczne. Po jakimś czasie doszedłem jednak do przekonania, że wszystko to nie ma większego znaczenia i stopniowo przestawałem się odżywiać, aż w końcu zupełnie tego zaniechałem.

Wygląda na to, iż czasami szczęk filiżanek do herbaty bywa w Niebie głośniejszy niż na hucznych preferujących ziemskich. Co natomiast czeka tych, którzy preferują kufel piwa lub butelkę wina?

Głosy niewiele o tym wspominają. Uwaga wygłoszona przez Johna Browna, zaufanego sługę królowej Wiktorii, lubiącego zajrzeć do kieliszka, nie brzmi zachęcająco.

- Musiałem nauczyć się żyć bez picia - wspominał. - Bez whisky. Tu oczywiście nie można jej otrzymać.

Niemniej ojciec Woodsa, na ziemi regularnie pijący wino i whisky, twierdził, że ma w Niebie i jedno, i drugie.

Wszystko jednak w Niebie się wyrównuje. Zanika przyjemność czerpana z jedzenia i picia, ale mijają też wszelkie dolegliwości.

- Tu nic nikogo nie boli - zapewniał George Harris. - Nikt na nic nie choruje. Nie ma żadnych szpitali ani nic z tych rzeczy, chociaż istnieją miejsca, tak słyszałem, wzorowane na szpitalach, lecz przeznaczone dla chorych umysłowo.

Nie muszę nawet - dodał potem - chodzić do ubikacji.

Zjadłem, powiedzmy, smakowity posiłek i trzeba by, no wiecie, pójść do ustępu, ale nic z tych rzeczy... Tu jest inaczej. To już nie może być to samo stare, fizyczne ciało, bo ma zupełnie inną konstrukcję.

Pierwszy apetyt szybko mija. Jednakże przynajmniej w tych sferach, skąd pochodziły głosy, nikt nie zatracił zainteresowania ubiorem.

Alf Pritchett po przybyciu do Nieba spacerował długą aleją wysadzaną drzewami i zauważył ludzi "chodzących w niezwykłych strojach". Natomiast kiedy dotarł do ośrodka przyjęć:

"Najbardziej uderzyło mnie to, że wszyscy poubierani byli w taki sam sposób, jak ludzie, których znałem, jak ci, których widuje się na ulicy. W garnitury i tego typu rzeczy".

Mary Ivan obudziła się w szpitalu, a siostra powiedziała jej, że może wstać.

- A co z ubraniami? - zapytała Mary.

- O to się nie musisz martwić. Będiesz je miała - odparła siostra.

- Niby skąd? Spojrzała na siebie.

- Stałam przy łóżku w przepięknej błękitnej sukni z mnóstwem koronek pod szyją.

- Wszystko w porządku - powiedziała siostra. - To ja pomogłam ci się ubrać, chociaż o tym nie wiesz. Swoimi myślami.

A co Rose odpowiedziała na pytanie o ubranie? - Rose, a ubrania? Nosicie ubrania?

- Och, bardzo trafne pytanie. Oczywiście, moi drodzy, że nosimy ubrania.

- Czy są podobne do naszych?

- Nie. Ubieramy się zupełnie inaczej niż dawniej. Nie sądzę, żebyś po przybyciu tutaj chciał nosić garnitur.

- Czy możesz opisać ubranie, jakie w tej chwili masz na sobie?

- Tutaj ludzie zakładają takie stroje, aby czuć się w nich radośnie. Oczywiście w początkowym okresie kobiety po przybyciu tutaj uważają, że mogą nosić tylko dany rodzaj sukni i przez jakiś czas ubierają się wyłącznie w nią. Potem jednak zdają sobie sprawę, że krój nie jest istotny i być może suknia ta wcale do nich nie pasuje, nie czują się w niej radośnie. Stopniowo zmieniają swój wygląd zewnętrzny, a tym samym również strój.

- Tak, ale co w tej chwili masz na sobie, Rose?

W odpowiedzi dość szczegółowo opisała niebiańską kreację:

- Cóż, nie wiem, jak to u was zabrzmiało, ale jestem ubrana w piękną, białą, sięgającą kostek suknię z długimi, szerokimi rękawami. Przepasana jestem czymś w rodzaju złotego sznura. Brzegi sukienki zdobi haft.

- Z jakiego jest materiału?

- Zdaje się, że najlepiej wam wyjaśnię, mówiąc, iż jest to pewien rodzaj jedwabiu.

Wszystko wydaje się jasne, tylko skąd go wzięła? Przyjaciel Woodsa, George Ohlson, próbował to wyjaśnić, ale był jeszcze mniej precyzyjny.

- Działają u nas projektanci mody. Jeśli pragnie się mieć jakiś określony strój w konkretnym kolorze, wtedy można wytworzyć materiał. Można go oczywiście dostać w setkach różnych miejsc.

Nie chodzi mi o sklepy w waszym rozumieniu tego słowa.

Są jednak miejsca prowadzone przez pewnych ludzi, którzy interesują się materiałami i mogą dostarczyć upragnione tkaniny. A jeśli nie chce się, aby kto inny wykonywał za ciebie tę czynność, to można samemu uszyć sukienkę czy garnitur.

Pośród spirytualistów panuje przekonanie, że wystarczy pomyśleć o stroju i już się jest w nim ubranym. Cóż, w pewnym sensie to prawda. Dotyczy ona jednak tych, którzy wracają na ziemię i chcą wywierać takie samo wrażenie jak niegdyś. Lub ludzi przywiązanych do swoich strojów. Ma się możliwość odtworzenia za pomocą myśli na przykład konkretnej sukienki, ale tylko na krótki czas.

Więcej światła na ten, jak się wydaje, złożony problem rzuca Rupert Brooke.

- Jakie nosicie ubrania? - zapytał Woods.

- Ja noszę takie, jakie najbardziej mi się podobają - odparł.

- Przypominają trochę szaty starożytnych Greków. Są bardzo, bardzo wygodne, atrakcyjnie wyglądają i zostały uszyte z cudownych tkanin.

- Są kolorowe?

- I to bardzo. Oczywiście znów zależy to od danej osoby. Jedni lubią... Powiedziałem, że można nosić, co się chce, i w swej istocie jest to prawda. Jednak rzecz w tym, że są na przykład barwy, w które nie można się ubrać, dopóki sam człowiek nie uczyni tego możliwym, ponieważ często z koloru stroju można wyczytać ludzki temperament i charakter.

Poznajemy się właściwie po pewnej otaczającej nas światłości. Na przykład jeśli w czyjeś aurze znajdują się pewne kolory, jakieś inne barwy nie mogłyby tworzyć twego stroju. Pewnych rzeczy po prostu nie można. Jeśli na przykład nie zrobiło się zbyt wielkich postępów, nie można nosić jasnobłękitnych odcieni, gdyż byłoby to wbrew wizerunkowi i naturze. Nie ma wtedy takiego koloru w aurze i w konsekwencji nie można się w ten ubierać. Po pierwsze człowiek wcale wtedy nie ma ochoty na ten kolor, gdyż nie jest na niego gotów, a po drugie po prostu nie istnieje taka możliwość.

Nie wiem, w jaki sposób wyjaśnić, że to wykluczone.

Wszystko to dzieje się jakoś tak odruchowo. Jest się tym, kim się jest, ni mniej, ni więcej. Wszyscy podążamy naprzód. Wszyscy staramy się wyglądać stosownie do swoich osiągnięć i w rezultacie tego automatycznie stajemy się tym, kim jesteśmy. Wyglądałoby to wielce nienaturalnie, gdyby ktoś przywdziewał maskę, bo wtedy oszukiwałby samego siebie.

Mówiąc inaczej, po waszej stronie człowiek może przybierać maski robiąc mylne wrażenie, lecz po naszej stronie coś takiego nie uchodzi. Tu nie ma oszustw. Tutaj uważany jesteś za tego, kim jesteś.

A kim się jest?

Wygląd, dom, ogród, otoczenie i strój można stworzyć, choć trudności może nastęczyć opisanie tego wszystkiego.

Nadal jednak poważnym problemem do rozwiązania pozostaje to, kim się jest i co się dokładnie robi.

Praca

O ile bardzo trudno opisać życie wiedzione przez mieszkańców Nieba, o tyle kwestia staje się jeszcze trudniejsza przy próbach opisanego, co właściwie ludzie tam robią. Tu, na ziemi, większość ludzi pracuje, aby zarobić pieniądze na jedzenie, komorne i ubrania, lub troszczy się o żywiciela rodziny czy dzieci. Codziennie wstawiamy, ubieramy się, robimy zakupy, oglądamy telewizję. A czasami nudzimy się.

W przyszłym świecie nie istnieje konieczność snu ani pożywiania się. Nie płaci się za dom. Problem ubrania i przemieszczania w jednej chwili rozwiązuje się za pomocą myśli. Nikt nie musi pracować, aby zarobić na utrzymanie.

Zatem czym oni się tam zajmują?

Głosem łatwiej jest opowiadać o tym, czego nie robią.

- Nie widziałem żadnych fabryk, nie dostrzegłem żadnych samochodów - opowiadał Lionel Barrymore.

- Nie uświadczysz tu fabryk - mówił George Ohlson. Nie ma kolei ani dworców.

- Oczywiście, że nie latam - odparła Amy Johnson. - Tu nie ma samolotów.

- Nie widziałem tu żadnych cholernych samochodów - twierdził George Harris. - Rany, komu potrzebne samochody? My tu się poruszamy na własnych nogach.

- Chodzi o to - opowiadała Rose - że można sobie siedzieć w fotelu, potem pomyśleć, że chce się być w kręgu Flinta, wtedy wystarczy zamknąć oczy, pomyśleć i w następnej chwili jestem już z wami.

- Ach, pieniądze! - obruszyła się. - Tu, moi drodzy, za pieniądze nic się nie dostanie.

- Ciekawi mnie jednak - pytał Woods - w jaki sposób ci, no wiesz, architekci tam pracują?

- Nie płaci im się. Pracują, bo kochają swój zawód. Uwielbiają urządzić domy. Jeśli ktoś kocha swoją profesję, to ją wykonuje. To samo z muzykami uwielbiającymi grę na skrzypcach. Są szczęśliwi, gdy mogą zagrać swoim znajomym i innym miłośnikom muzyki.

- Wszystko robi się tam z miłości?

- Tak, z miłości. I każdy, kto w waszym świecie nie miał szansy na wstanie muzykiem lub innym artystą, może uczyć się tutaj.

- Ludzie robią wszystko, co chcą?

- Zgadza się. Chodzi o to, że miliony ludzi przechodzą przez życie wykonując codziennie ciężką, niewolniczą pracę i nie mają możliwości robienia tego, co naprawdę by chcieli - brakuje im czasu, nie mają warunków, pieniędzy czy wykształcenia - tutaj mogą wziąć się za coś, co faktycznie im odpowiada. Sprawia radość. Jest to praca, a jednocześnie zabawa.

George Harris, choć jeszcze był nowicjuszem, już wiedział, że "do pracy chodzić nie trzeba. Nic z tych rzeczy. Nie muszę oszczędzać, aby mieć te parę groszy. Tu pieniądze się nie liczą. W rezultacie wcale ich nie ma".

Żadnych pożyczek, talonów na jedzenie, żadnych podatków. Im dalej, tym lepiej. Trudności zaczynają się, gdy zapytać, jakie talenty można rozwijać, by wypełnić długie, trwające w nieskończoność, pozbawione czasu dni. Aspiracje mieszkańców Nieba wyglądają na ograniczone.

Przewodniczka Teda Budera wyjaśniała nieobecność swojej matki w taki sposób:

- Twoja matka pracuje? - zapytał Ted Buder.

- Chyba można to tak nazwać - roześmiała się - lecz nie jest to praca w starym tego słowa znaczeniu. Na ziemi moja matka harowała w pralni i zawsze miała ręce pełne roboty. Teraz chodzi w miejsce, gdzie opiekuje się dziećmi. Zawsze chciała zajmować się maluchami. Pracuje ze zmarłymi w wieku niemowlęcym i dziecięcym, pomaga im dorastać i opiekuje się nimi. Uwielbia to zajęcie. Niedługo wróci.

Matka pana Biggsa przygotowywała go do osiedlenia się w nowym domu, mówiąc, że mieszka z siostrą Florrie. - Ja i Florrie pracujemy w szpitalu.

- Co takiego?

- Pracujemy w szpitalu.

- Jak to w szpitalu? - zapytał. - Przecież umarłym nie są potrzebne szpitale. Nikomu nic nie doskwiera, nikt nie cierpi. Po co tu szpitale?

- No cóż, nie chodzi tu dokładnie o takie same szpitale, jakie znasz. Przeznaczone są do pomocy pewnym ludziom nie przystosowanym psychicznie i potrzebującym pomocy oraz przewodnika. To bardzo ciekawa praca i jej wykonywanie daje mi szczęście.

Na spotkanie Mary Ivan wyszła jej siostra. Jej mąż miał wrócić później.

- Nie było go - wyjaśniała później. - Dowiedziałam się, że wykonywał jakieś specjalne zadanie, mające coś wspólnego z wojną prowadzoną gdzieś w Afryce... Pomagał rannym i umierającym.

Alfred Higgins wykonywał bardzo praktyczną pracę, podobną do tej na ziemi.

- Wielką przyjemność sprawia mi patrzenie na domy różnych ludzi - opowiadał. - Pomagam im się osiedlać zaraz po przybyciu, wyświadczam różne przysługi... To tu, to tam, po prostu pomagam w urządzaniu.

George Harris, dawny murarz, również kontynuował wykonywanie niegdysiejszego fachu.

- Pracowałem w budownictwie, bardzo interesowałem się budowaniem, lubiłem swą pracę, ale tu wszystko jest inne. Też się buduje z prawdziwych, materialnych rzeczy, ale oczywiście nikt za to nie bierze pieniędzy. Tu się pracuje po to, by czerpać z tego satysfakcję i radość.

- Słyszałem coś od innych, że tylko na moim... hm... no wiecie, na moim poziomie, jak to się tutaj mówi, trzeba budować. Podobno w wyższych sferach wszystko można stworzyć za pomocą myśli. Tak słyszałem.

Tutaj, gdzie ja mieszkam, wszystko jest rzeczywiste. Są materiały i z nich trzeba wybudować dom. Widziałem tu praktycznie idealne kopie wszystkiego, co jest znane po waszej stronie. Ludzie nie tworzą tu jedynie za pomocą myśli. Przecież w tym nie byłoby żadnej radości. Uważam, że to raczej paskudny sposób zdobywania rzeczy. Gdy człowiek sam sobie coś zbuduje lub sam na coś zapracuje, dopiero wtedy może czuć się szczęśliwy.

- George - odezwała się Betty Greene. - A w jaki sposób zdobywasz cegły do budowy?

- O, tu je produkują. Można je zamówić, magazynować, wykorzystywać.

- Budujesz domy dla wybranych ludzi - zapytał Woods - czy dla wszystkich? Kto według ciebie powinien mieć dom?

- To zależy od sytuacji. Nie ma tu żadnych firm budowlanych. Dom dostaje każdy, kto przybywa. Tam, gdzie ja mieszkam, jeśli ktoś miał swój fach, który sprawiał mu przyjemność i satysfakcję, to może oczywiście uprawiać go nadal. Można tu zajmować się ciesiolką, dekoracją wnętrz i wszystkim, co sprawia radość. Mówią nam, że możemy robić, cokolwiek zapagniemy, aż do czasu, gdy zaczniemy myśleć w inny sposób.

Ja jestem zadowolony z murarstwa. Współpracuję z ludźmi, którzy na ziemi też zajmowali się budownictwem i razem wznosimy domy równie realne jak wasze. Niektóre są naprawdę przepiękne. Oczywiście ludzie, dla których budujemy, są tacy jak my, bardzo ich lubimy. Mają swoje pragnienia, własny sposób myślenia, i wszystko się jakoś układa.

Można tu też spotkać twórców. Architektów. Oni planują, szkicują, a my kierujemy się ich wskazówkami.

Potwierdzenie, że praca twórcza nie przestaje być w Niebie ważna, nadeszło niespodziewanie z wyższego poziomu rozwoju od głosu podającego się za Elizabeth Fry.

- Nie należy sądzić, że tutaj wystarczy coś sobie pomyśleć, żeby się spełniło - wyjaśniła. - Kontynuujemy wszelkie rodzaje zajęć. Ludzie tworzą różne przedmioty, ozdabiają je. Wielcy artyści nadal malują obrazy, bo to dla nich radość, lecz używają szerszej palety kolorów i szerszej skali odcieni. Wielcy muzycy wciąż komponują wspaniałe dzieła...

Elizabeth Fry, wedle swej relacji, wykonuje pracę społeczną zbliżoną do reformowania więziennictwa w świecie bez więzień.

- Zajmuję się - mówiła - tym, co można prawdopodobnie określić niesieniem ratunku duszom, które z powodu okoliczności, nad którymi nie panowały na ziemi, i z powodu środowiska nie potrafią się przystosować i znaleźć swej drogi życiowej. Trzeba im pomóc stanąć na nogi.

Wielcy artyści rozmawiający z Woodsem i Betty Greene lub opisywani przez głosy najwyraźniej tworzą niebiańską sztukę.

Oscar Wilde nadal pisze.

- Niektórzy czują potrzebę wykonywania różnych prac, inni nie. Ja nadal piszę, ponieważ pisanie to, w wielkim uproszczeniu, moje życie...

Lionel Barrymore, jak pamiętacie, nadal pasjonuje się teatrem. I to mocniej niż w Hollywood.

- Nadal interesuję się teatrem... Wystawiamy tu wszystkie sztuki Szekspira, a co ciekawsze także sztuki nowsze, jeszcze wspanialsze niż te, znane na ziemi. On sam natomiast nadal pisze, reżyseruje przedstawienia i oczywiście sam występuje. Podobnie zresztą jak Spencer i inni wielcy twórcy.

- Spotkałam Szekspira - utrzymywał głos podający się za Lilian Baylis z towarzystwa teatralnego Old Vic.

- Czy on nadal pisze? - zaciekawiał się Woods.

- Tak, tak, oczywiście.

Fryderyk Szopen utrzymuje, że ciągle gra na fortepianie: - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tutaj fortepian i zagrałem, pomyślałem, że jestem w domu. Przypuszczam, że bez fortepianu byłbym człowiekiem zgubionym. Ale skoro znalazłem tu instrument i mogę na nim grać, czuję się szczęśliwy.

Rubert Brooke także nadal pisze.

- Zapytałem, czy będę mógł nadal pisać - wspominał. "Ależ oczywiście, jeśli tylko zechcesz. Możesz też robić inne rzeczy. Dokładnie to, na co masz ochotę" - odparł jego przewodnik.

"Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś został malarzem lub muzykiem. Po tej stronie postęp może następować tylko w jednym kierunku - naprzód".

Czy możliwe jest zrobienie w Niebie kariery? Zdaje się, że szanse są bardziej znikome niż na ziemi. Jednak do wszelkich profesji i zajęć każdy ma otwartą drogę.

Jeśli ktoś służył w wojsku, będzie się musiał przestawić na życie w pokoju. Piechurzy, marynarze i lotnicy przebywają tam na permanentnej przepustce. Nie ma także biznesu. Nie ma kupców ani księgowych, bankierów, urzędników czy sklepikarzy.

Nikt nic nie słyszał o przemyśle. Zatem nie ma szefów, robotników obsługujących taśmy montażowe, dokerów, górników ani... związkowców.

Sądzę, że nie ma też kierowców, motorniczych i pilotów.

Ani zbyt wielu mechaników.

Gdy ktoś chce pracować własnymi rękami, to może wybierać pomiędzy takimi zawodami, jak: murarz, dekorator, malarz, a możliwe też, że ogrodnik.

Przypuszczalnie wiele pola do popisu mają architekci, psychiatry, pielęgniarki, projektanci, bibliotekarze i nauczyciele. Pracownicy socjalni także będą mieli szansę się wykazać.

Każdy może spróbować sił w sztukach pięknych. Potencjalni i nie spełnieni pisarze, muzycy oraz malarze mogą pójść za swym instynktem twórczym, który na ziemi musieli tłumić.

A jeśli dla kogoś wszelka forma pracy stanowiła poważne obciążenie, może dalszą część swej egzystencji spędzić na leniuchowaniu. A przynajmniej nie robić nic tak długo, jak tylko się da.

Wszystko wskazuje na to, że nie można się tam nudzić.

Nikt wyraźnie nie stwierdził, że w przyszłym świecie istnieje telewizja. Jednak niemal każda ziemska rozrywka jest dostępna, i to za darmo. Książki, przedstawienia i koncerty. Prawdopodobnie także filmy. Najwyraźniej nawet pływanie i wyścigi konne nadal odgrywają swoją rolę. Jednakże bez pieniędzy i bukmacherów stały się prawdopodobnie mniej ekscytujące.

- Jak ktoś chce, może wchodzić do wody, pływać, ale nie brudzimy się - opowiadała Rose. - Wiem, że to was zaskoczy, ale chodzę nawet do kina.

Czy miała na myśli takie same kina jak u nas? Alfred Higgins twierdzi, że tak.

- Mamy centra edukacyjne - opowiadał. - Także wielkie biblioteki, gdzie można czytać wspaniałe książki, oraz miejsca, gdzie można oglądać piękne... trzeba to nazwać filmy. Nie są to filmy w waszym rozumieniu tego słowa, lecz nie umiem znaleźć lepszego określenia. Te "filmy" opowiadają o wszystkich sprawach dotyczących człowieka, o jego rozwoju, życiu i o kolejnych etapach, przez które przechodzi.

Również dobre wieści przekazuje nam bywalczyńni wyścigów - Elizabeth Fry.

- Czy odbywają się tam takie imprezy jak tu, na ziemi? - zapytał Woods. - Mam na myśli wyścigi konne, dzwonki na gonitwy?

- W niektórych sferach jeszcze istnieją - odparła - gdyż umysł człowieka uznaje je za ważne dla uzyskania szczęścia i dobrobytu. Innymi słowy, człowiek tworzy tu za pomocą myśli to samo, co w waszym świecie. W sferach bliższych ziemi zdecydowanie dominują myśli poświęcone tym formom relaksu.

Przedstawienia zaś uważane są za odpowiednią rozrywkę na wszystkich poziomach.

- Mamy tutaj kulturę i sztukę - twierdził Lionel Barrymore - choć nie jest to dokładnie to samo co na ziemi. Wszystko, co tutaj robimy, jest umotywowane, ma jakiś cel. Każda produkowana sztuka i wszystkie tutejsze osiągnięcia mają określone powody. Nie chodzi tylko o sprawienie ludziom przyjemności i dostarczenie rozrywki.

Wystawiamy na przykład pewne sztuki, które w niższych sferach można nazwać umoralniającymi, prezentujemy także biografie osób z widowni.

Koncerty są chyba równie popularne jak sztuki.

Marry Ann Ross dokładnie opisywała swe pierwsze pójście na koncert z chłopakiem, którego względy na ziemi odrzuciła.

- Zabrał mnie - mówiła - do pewnego szczególnego miejsca, które, przypuszczam, można nazwać miastem, bo stały tam różne domy oraz wielkie budowle zamieszkałe przez ludzi. Widziałam też naprawdę ogromne schody, a gdy po raz pierwszy je ujrzałam, pomyślałam sobie: "O rany, ile stopni. Można się porządnie zmęczyć wchodząc po nich". Ale, bardzo to dziwne, nie utrudziłam się ani trochę.

Weszliśmy do środka do przestronnej sali mieszczącej chyba tysiące osób. Na scenie stał piękny fortepian, najcudowniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Nie wyglądał zwyczajnie, był większy od instrumentów, jakie miałam okazję widzieć i słyszeć. Klawiatura składała się z trzech rzędów klawiszy. Cały instrument zrobiony był z masy perłowej i mienił się przepięknymi kolorami.

W pewnej chwili pojawiła się cudowna postać. Był to młody przystojny mężczyzna z długimi włosami, o pięknych rysach twarzy. Usiadł i zaczął grać. Nigdy nie słyszałam takiej muzyki. Dziwne, ale zdawało mi się, iż wszystkie trzy klawiatury wykorzystywane są równocześnie, a jednak muzyk miał tylko jedną parę rąk! Nie widziałam górnych klawiatur, ale dostrzegałam, jak same przyciskają się klawisze z dolnej klawiatury, więc doszłam do wniosku, że w jakiś sposób są one ze sobą połączone.

Dźwięk był wprost bajeczny. Miało się uczucie, jakby muzyka ogarniała człowieka, porywała i pozbawiała wszelkiego poczucia miejsca i czasu. Jakby człowiek za pomocą muzyki sam stawał się jej częścią. Po jakimś czasie traciło się z zasięgu wzroku ludzi z widowni, a potem nawet pianistę. Muzyka, której było się częścią, przemawiała do człowieka i pomagała zrozumieć.

Nawet John Brown, gdy pozbył się pociągu do whisky, wyrobił sobie muzyczny smak.

- Siedzi się z tysiącami innych ludzi - opowiadał - na wielkiej widowni, pod gołym niebem, i słucha się porywającej muzyki największych kompozytorów. Zresztą nie tylko słucha, ale i widzi! Wizualizacja muzyki, jak to można nazwać, odbywa się w powietrzu. Dźwięki muzyki przetwarzane są na widzialne obrazy.

Na przykład, jeśli jakiś wybitny artysta skomponował utwór prezentujący ewolucję człowieka, to wizualizacja przedstawia właściwe myśli kompozytora i treści zawarte w dziele. Naturalnie jednak wszystko to jest nadzwyczaj trudne do wyjaśnienia.

Ze wszystkich relacji opisujących nowe życie wyraźnie wynika jedna prawda: Ludzie w przyszłym świecie zasadniczo mają takie same charaktery, z jakimi umierali na ziemi. - Mogą się zmieniać sytuacje - twierdzi Oscar Wilde - otoczenie, warunki, podejście do życia i wiele innych czynników. Jednak ludzie, dzięki Bogu, pozostają tacy sami.

Nawet uprzedzenia rasowe trwają po śmierci. Naturalny porządek rzeczy w Niebie pozwala na to.

George Wilmot, handlarz starzyzną, opisywał ludzi, którzy stali w drzwiach bądź wyglądali przez okno.

- Niektórzy coś krzyczeli, inni tylko kiwali dłońmi, ale wszyscy byli biali. Nie widziałem kolorowych. Pomyślałem sobie, że tak być powinno, bo skoro jesteście w tym, jak to się mówi, Niebie, to musieli się tu dostać tylko biali ludzie.

Rozglądałem się w poszukiwaniu ludzi o innym kolorze skóry. Zastanawiałem się, gdzie trafili, skoro tu są tylko biali. Naturalnie ani słowa o tym nie pisałem przewodnikowi, ale on chyba musiał czytać w moich myślach.

"Och, ludzie o innych kolorach skóry także tutaj przebywają - powiedział. - Wszystkie rasy i narodowości. Naturalne jest jednak, iż pragną mieszkać w takich społecznościach oraz w takich warunkach, jakie im odpowiadają. Jednemu może się podobać mały wiejski domek i tam znajduje szczęście. Wszystko zależy od doświadczeń nabytych w życiu. Ludzie różnych ras mają odmienne preferencje, na przykład klimatyczne. Tu, u nas, można spotkać ludzi każdej narodowości, lecz mieszkają oni w otoczeniu i warunkach najbardziej im sprzyjających, dających najwięcej szczęścia. Stopniowo jednak zmieniają się ludzkie myśli, ludzkie poglądy i przestaje być ważny kolor skóry, społeczności się inte... w każdym razie wszyscy są razem.

John Brown rozwija tę ideę.

- Śmierć, myślę, że można to tak nazwać, przyczynia się do rozwoju w ludziach poglądów liberalnych. Każdy zaczyna sobie uświadamiać, że nie liczy się, kim był na ziemi i na jakim poziomie wiódł życie. Te kwestie tylko dla was mają sens. Istotne jest to, czy było się prawdziwym człowiekiem, a tym samym, posiadało prawdziwą wartość. Odkąd tu przybyłem, spotkałem dużo wybitnych osobistości, które zajmowały w życiu na ziemi wysokie pozycje, często wywalczone przemocą, ludzi, którzy nigdy nie zaznali cierpienia i nie potrafili okazać zrozumienia ani współczucia biednym. Dopiero tutaj musieli się nauczyć, co tak naprawdę jest potrzebne i ważne. Ze względu na poziom i warunki swego życia nigdy przedtem nie byli w stanie tego zrozumieć.

Często biedakowi o wiele łatwiej pojąć prawdę niż bogaczowi.

Można tu zacytować, że: "Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostąpić królestwa Bożego".

- Wielu ludzi po waszej stronie uważa - twierdzi Alfred Higgins - że gdy przestaje się być istotą ludzką, przestaje się także być człowiekiem. Naturalnie my tutaj także jesteśmy ludźmi, choć trochę mądrzejszymi, nieco bardziej spostrzegawczymi, odrobinę więcej rozumiemy i mamy trochę więcej tolerancji. Co do ostatniego, to można nawet zaryzykować stwierdzenie, iż staliśmy się daleko bardziej tolerancyjni. Pozbywamy się starych głupich wymysłów i uprzedzeń, dzień w dzień wpajanych nam na ziemi. Odrzucamy zacofane poglądy, ograniczenia, które nie pomagają dzieciom Bożym, lecz dzielą je. Tutaj wszystkie dzieci Boże mają jednakowe możliwości rozwoju umysłowego i duchowego.

- Nie bójcie się przejścia ze swojego świata do naszego - dodała Ellen Terry - ponieważ jakiegokolwiek warunki życia zastalibyście, choćby najskromniejsze, będą odbiciem waszego świata. Zależać będą od stopnia rozwoju i stanu, w jakim znajdowaliście się w

chwili przejścia na naszą stronę. Z pewnością będziecie się w nich czuć swobodnie i swojsko. I nawet jeśli okaże się, iż są posępne i mroczne, to wolno wam rozwijać się i tworzyć postęp.

Naturalnie wiemy o istnieniu niższych sfer – nierozwiniętych sfer dla nierozwiniętych dusz. Mimo to jednak nie można nazwać ich piekłem. Nie istnieje inne piekło prócz tego, które człowiek stworzył własnymi myślami... i własnym życiem. Tutaj człowiekowi wolno zmieniać się zgodnie ze swymi pragnieniami i wyrwać z ciemności.

Często ludzie zamieszkują wytworzone przez siebie ciemne sfery. Jednak gdy tylko zaczną pragnąć życia wiecznego, gdy tylko wykażą się chęcią przejścia do wyższych sfer, otrzymają pomoc, przewodników i wszelkie wskazówki potrzebne do odnalezienia właściwej drogi. Każdemu, kto przybędzie, zostanie wskazana droga.

Dokąd ona prowadzi?

Sfery wyższe

Każdemu, kto przybędzie, zostanie wskazana droga. Jednak dokąd ona prowadzi?

Jak dotąd obraz opisywanego przez głosy życia wygląda dość spójnie. Inne niż na ziemi, lecz posiadające wewnętrzną logikę, rozpoznawalne ograniczenia, naturalne prawa i swobody.

Czasem głosy rzucają słówko, jakieś słówko o innych światach lub sferach, gdzie mogą panować inne warunki.

Kiedy w 1953 roku podczas seansu Rose po raz pierwszy opisywała swe życie, rozmawiając z Betty Greene, wychwalała nową egzystencją, która dawała jej całkowite zadowolenie. Była niczym najemna robotnica z szarej Północy podczas pierwszego dnia urlopu - wylegująca się na leżaku i kąpiąca w Morzu Śródziemnym.

W 1963 roku nadal była zadowolona. Zdradzała jednak oznaki, że ulga po wyzwoleniu z obowiązków kwiaciarki ze stacji Charing Cross zaczyna ją coraz mniej cieszyć. Że siedzenie na słońcu i pogawędki nie są celem jej życia, nie mogą dostarczać jej wiecznie satysfakcji. I zanim urlop się skończy, powinna podjąć wysiłek, rzec się poranków na plaży, lunchu w hotelu i wsiąść do autobusu, aby obejrzeć tereny poza wybrzeżem.

- Słyszałam też o przenosinach - mówiła. - Uważam jednak, że to dobre dla ambitnych ludzi chcących wieść inne życie. Ja jestem szczęśliwa u siebie. Po co miałabym się przenosić? Zawsze przypominają mi, no wiecie, że powinniśmy jakoś zacząć myśleć o zmianach, ale ja nie biorę sobie tego do serca.

A trochę później:

- Kiedy przybyłam tu, zastanawiałam się, jak długo to wszystko potrwa. Ciekawiło mnie, czy po upływie lat człowiek znowu się zestarzeje i kopnie w kalendarz. Interesowało mnie, co będzie dalej, lecz tu się nie umiera.

I to jest najdziwniejsze. Wydaje ci się, że trwasz i trwasz, a potem zaczyna ci się nudzić, wydaje ci się, że zjadłeś już wszystkie rozumy, wreszcie zapadasz w jakiś sen lub coś w tym rodzaju, a później wszystko zaczyna się od początku, tylko gdzie indziej... Oczywiście na taką myśl truchlałam ze strachu. Wiecie, że nie chcę nigdzie odchodzić. Wielu moich znajomych twierdzi, iż powinnam, ale ja nie widzę w tym żadnego sensu. Nie

widzę powodu, aby rezygnować z tego, co mam, na rzecz czegoś, czego nie znam. Czasem ktoś opowiada mi o różnych miejscach, nazywa je sferami. Wydają się atrakcyjne, ale ja czuję się na nie jeszcze zbyt mało wykształcona. Jestem szczęśliwa u siebie.

Wkrótce potem prawdopodobnie uznała, że jednak nie do końca jest to prawda.

Trzy lata później, w 1966 roku, pojawiła się po raz kolejny. Woods zauważył u niej jakąś zmianę. Nie mówiła charakterystycznym cockneyem. Inna była też wymowa jej słów. - Rose - zapytał - czy nadal się nie przeprowadziłaś?

- Ach, mój drogi - odparła - cóż za zabawne pytanie.

- Ostatnim razem zapewniałaś, że nie chcesz się ruszać ze swego miejsca.

- Owszem, nie chciałam, ale się przenieśliśmy.

- Naprawdę? - rzekła z zachwytem Betty Greene.

- Tak, ale zaiste dziwnie to brzmi, kiedy pytaacie, czy się przeprowadziłam. Przypuszczam, że mówiąc o przeprowadzce macie na myśli wynajęcie ciężarówky, załadowanie dobytku, a potem przeniesienie do nowego domu, rozłożenie wykładziny i podobne zabiegi. Oczywiście, dzięki Bogu, tutaj przeprowadzka wcale tego nie oznacza. Przenosiny są o wiele łatwiejsze, a jednocześnie o wiele bardziej uciążliwe, ponieważ tutaj nie możesz się przeprowadzić, dopóki, no wiecie, sam nie uznasz, że jest to w twoim przypadku możliwe. A to oznacza, że trzeba zacisnąć zęby i coś ze sobą zrobić.

Po waszej stronie, jeśli ma się pieniądze, można się przeprowadzać, kiedy tylko przyjdzie na to ochota. Tu pieniądze nic nie znaczą. Musicie zrozumieć, że tu przeprowadzić można się tylko wtedy, gdy własna natura, charakter, jestestwo pozwalają to uczynić. Nie można przenieść się, gdy tylko się o tym pomyśli.

- A jak u ciebie wyglądała ta przeprowadzka? - zapytała Betty Greene. - Opisz mi, przez co przeszłaś? Czy doświadczyłaś czegoś szczególnego?

- Hm, przypuszczam, że nauczyłam się słuchać i zwracać uwagę na to, co mają do powiedzenia bardziej doświadczeni. No i starałam się iść za ich słowami.

Człowiek dochodzi do takiego punktu, że otaczająca go rzeczywistość zapewnia mu dobre samopoczucie, ale to przestaje mu wystarczać.

- Jak jest na tym twoim nowym poziomie życia? - to pytanie zadał Woods.

- Cóż, oczywiście bardzo pięknie. Już na poprzednim uważałam, że nie potrzeba więcej piękna. Jednak... jak by to wytłumaczyć?... zrozumiałam, że jestem szczęśliwsza, ponieważ pracuję. Poprzednio właściwie zupełnie nie miałam co robić. Owszem, interesowałam się dziećmi, lecz na pewno nie można było tego nazwać aktywnością. W każdym razie nie w tym znaczeniu co teraz.

- Rose, jakie zajęcie wykonujesz? - to pytanie padło z ust Betty Greene.

- Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale cóż, chodzę do, chyba można to tak nazwać, koledżu, czy jak wolicie, do szkoły, w której uczę się niesłychanych rzeczy o sobie, o swoich możliwościach oraz o drzemającej w każdym człowieku mocy twórczej.

Naturalnie będąc po waszej stronie, nie miałam nic wspólnego z kreatywnością. Nie miałam też żadnego wykształcenia. Tutaj uczę się o ogromnym potencjale człowieka, pozwalającym mu nie tylko na tworzenie,

lecz także na dzielenie się swym doświadczeniem z innymi. Mogę teraz wracać do innych sfer i przemawiać do ludzi, rozwiewać ich wątpliwości. Nigdy nie potrafiłam przemawiać, a teraz odkryłam, że to wspaniały dar.

Teraz schodzę do innych sfer i w rozmowach z ludźmi staram się pomóc im w uświadomieniu sobie, że sytuacja, w jakiej się znajdują, w ogromnej mierze zależy wyłącznie od nich.

- Chciałabym, abyś mi opowiedziała, Rose - wtrąciła Betty Greene - czy przenosząc się z jednej płaszczyzny na drugą zasnąłaś i obudziłaś się w nowym miejscu, czy następowało to stopniowo?

Rose znów odpowiedziała wymijająco:

- Nie zapakowałam swoich rzeczy na ciężarówkę i nie odjechałam. Nie jest to tutaj konieczne.

Wszystkie dobra, przedmioty, które się kocha, choć są równie realne jak wszystko, co wy posiadacie, jednocześnie są realne tylko do chwili, kiedy myśl się z nich wyzwoli.

- To znaczy, dochodzi się do wniosku, że można się bez nich obejść?

- Tak, człowiek to właśnie sobie uzmysławia. I sądzę, że tak właśnie rozpoczyna się cały proces. Bo widzicie, kiedy ktoś staje się zaborczy, obojętny, czy w stosunku do ludzi, czy rzeczy, to choć jest to zachowanie ludzkie, trudno jednakże nazwać je cenną wartością. Trzeba bowiem nauczyć się kochać kogoś lub coś bez żadnej zaborczości. Należy koniecznie zrozumieć, że ukochane rzeczy i ludzie są takimi samymi indywidualnościami jak my sami i mają prawo do odmienności.

Szczególnie dotyczy to ludzi. Kiedy kocha się kogoś coraz bardziej i bardziej, miłość staje się w coraz mniejszym stopniu zachłanna. Człowiek powinien koncentrować się na dobru innych. Oczywiście pod warunkiem, że jest to miłość prawdziwa, że porozumienie panuje naprawdę, że działa się jako jednostka, a nie jako indywidualność. Tracąc własną indywidualność, traci się egoistyczne nastawienie przy pragnieniu cudzego dobra. Coraz bardziej zbliża się do harmonii oraz kontaktu z drugim człowiekiem. Myśląc o innych i pomagając im, człowiek, choć nie bezpośrednio, działa na własną korzyść.

Obecnie na ziemi zdecydowana większość ludzi myśląc o kimś i chcąc mu pomóc, bardzo często łapie się na tym, iż w gruncie rzeczy myśli o sobie. Żona, na przykład, kalkuluje w ten sposób: "Jeśli zrobię wszystko, aby pomóc Jackowi, to jego biznes będzie się rozwijał, a wtedy kupimy ładniejszy dom, a może także nowy samochód".

Widzicie, tutaj myśląc o innych ludziach nie operujecie kategoriami egoistycznymi. Cały czas zastanawiacie się, jak innym pomóc, jak ich wesprzeć, jak nauczyć ich dostrzegać istotę rzeczy. I pomagacie im rozumować za pomocą innych kategorii, aby potem oni z kolei nie zadowolili się świętym spokojem, którego kiedyś im brakowało, lecz również nieśli pomoc innym.

- Rose, czy twój dom różni się od poprzedniego? - zapytała Betty Greene, aby zmienić temat.

- A to już całkiem inna sprawa - odparła Rose. - Ludziom zawsze się wydaje, że jeśli ktoś poczynił postępy, to musiało mu się poprawić, wszystko musi mieć lepsze niż przedtem. Jednak wraz z poznawaniem siebie naprawdę przychodzi wniosek, że nieistotny jest

dom, jego wyposażenie ani inne zewnętrzne objawy statusu.

Bo widzicie, postęp to nie znaczy mieć więcej. Z punktu widzenia, powiedzmy, materialistycznego, można posiadać o wiele mniej. Lecz zyskało się więcej miłości, spokoju umysłu, więcej, jak to mówicie, ukojenia i szczęścia, bo cały czas odczuwa się, że coś się robi, daje, kogoś kocha, że jest się częścią całej ludzkości. Innymi słowy, jedynie gdy tracisz siebie, odnajdujesz siebie.

Nikt zbyt długo nie może trwać w zadowoleniu. Można dać człowiekowi wszystko, czego zapagnie, można podsunąć mu wszystkie rzeczy, które uzna za potrzebne. A po jakimś czasie przestaną one mieć znaczenie i zapagnie czegoś innego albo czegoś więcej. Dojdzie do wniosku, że to nie jest to, o co mu chodziło. Mnie się wydawało, że jestem szczęśliwa, lecz po pewnym czasie zaczęłam uświadamiać sobie, że robię co nieco dla innych, ale na pewno za mało.

Zrozumiałam, że muszę zapagnąć czegoś innego. Musiałam odkryć, co to za wartość.

Tak samo dzieje się w waszym świecie. Idzie się przez życie, posiada przedmioty, stwarza odpowiednie warunki egzystencji. Kupuje się przytulny domek, dodaje wyposażenie i czuje się szczęście. Rzecz jednak w tym, iż jeśli żyje się całe stulecie, wkrótce ten model egzystencji przestaje wystarczać.

Liczą się naprawdę tylko te rzeczy, które są związane z umysłem i duchem.

Rose uczyniła krok w stronę życia, którego nie opisywał żaden głos i które prawdopodobnie jest tak odległe od naszego, że ich porównywanie byłoby niemożliwe.

Terry Smith miał inklinacje do porównywania niemal natychmiast po przybyciu na tamtą stronę. Przewodniczka powiedziała mu, że znajdujący się w jego nowym domu kot ma około sześćdziesięciu lat.

"Sześćdziesiąt lat! - wykrzyknął. - Nie do wiary. Słyszałem, że koty mają dziewięć żyć... "

"Właściwie - odparła - każdy ma wiele żyć. Właśnie rozpoczęła się kontynuacja twego poprzedniego bytu. Wkrótce też zrozumiesz, że po niej rozpocznie się następny i tak dalej, i tak dalej".

"Potem to pojmiesz - ciągnęła. - Nie wolno myśleć, że tylko z powodu tak zwanej śmierci nie będziesz mógł prowadzić życia w jakichś innych okolicznościach. Nie pozwól, synu, aby te kwestie cię trapiły. Zrozumiesz kiedyś, że każde życie jest właściwie kontynuacją poprzedniego. Inaczej mówiąc trwasz i trwasz w nieskończoność".

"Zmęczysz się tym miejscem, tą sferą albo tutejszymi warunkami życia. Zdasz sobie w końcu sprawę, że tutaj nie nauczysz się już niczego, nic nie jest już konieczne. Czujesz też silne pragnienie poszerzenia swych doświadczeń. Przejdziesz wtedy na inny poziom egzystencji, do wyższej sfery, miejsca, gdzie będziesz w stanie uczyć się, rozumieć i doświadczać rzeczy, co nie byłoby możliwe tutaj. Może to jednak potrwać dosyć długo".

"Jak długo?"

John Brown, zmarły o wiele wcześniej niż Terry Smith, napomykając o wyższych sferach ma na myśli bardzo odległą przyszłość.

- Przechodzi się przez różne poziomy ewolucji - objaśnił. - I na każdym człowiek wyzbywa się myśli i

idei, które przestają mieć dla niego wartość, a tak naprawdę nigdy jej nawet nie miały.

Zmarły w 1953 roku wielbny Drayton Thomas, który wprowadził Woodsa w krąg parapsychologów, doniósł jedynie o tym, co słyszał od innych.

- Czy odwiedzałeś kiedyś wyższe sfery? - zagadnęła go Woods.

- No cóż - odparł - istnieją prawa, których nikt nie obejdzie. Rzecz w tym, że wolno pójść tak daleko, jak zasłużyło się własnym życiem i osiągniętym stopniem rozwoju. Nie można jednak dostać się do wyższych sfer, jeśli nie jest się gotowym wejść w ten stan.

Oczywiście można zejść do wielu niższych sfer. Jednakże do wyższej można się dostać dopiero wtedy, gdy się na to zasłuży...

Nawet mi się nie śniło, aby zmierzać ku warunkom lub sferom życia, do których bym nie pasował, na które nie byłbym gotów. Schodzę do niższych sfer, gdyż mogę tam wyświadczać przysługi... pomagać duszom znajdującym się na niższym stopniu rozwoju. Nie widzę dla siebie możliwości osiągnięcia wyższego stopnia myślenia. Po pierwsze nie byłbym tam szczęśliwy. Myślicie pewnie, że takie doświadczenie mogłoby przynieść szczęście. Tak jednak nie jest.

Sądzę, iż w pewnym stopniu podobnie dzieje się też w waszym świecie. Człowiek może być szczęśliwy tylko w środowisku, które najbardziej mu odpowiada. A przejście do innego, choć z pozoru może się wydawać wzbogacającym przeżyciem, wymaga osiągnięcia wyższego stopnia rozwoju, bo takie są reguły. Nie można jednak spoczywać na laurach i pozostawać w jednym miejscu tylko dlatego, że gdzieś się nie pasuje. Trzeba dążyć do punktu oznaczającego osiągnięcie dostatecznego rozwoju do przejścia dalej.

Zaawansowane duchy w sferach naprawdę wysokich dalekie są od bezpośredniego opisywania nam miejsc swego zamieszkania. Większość doniesień na ten temat dociera do nas w formie pogłosek lub strzępków informacji dostępnych mieszkańcom sfer kontaktujących się z ziemią.

Farmer z Sussex, George Hopkins, na przykład, wciąż hoduje konie i bydło.

- Doszedłem do wniosku - wyznał - że są tu też inne sfery lub stany istnienia. I gdy ktoś przechodzi z jednego do drugiego, rzeczy będące kiedyś dla niego ważne i interesujące stopniowo znikają z jego pola zainteresowań... Chyba bardzo prawdopodobne jest, że na wyższych sferach pewne strony życia zmieniają się tak dogłębnie, że trudno życie pojmować w dawnych kategoriach.

Słyszałem kiedyś, choć nie wiem tego na pewno, że dusze bardzo zaawansowane w ogóle nie czują potrzeby posiadania ciała! Zupełnie tego nie rozumiem. Podobno jednak, kiedy jest się już bardzo zaawansowanym, traci się potrzebę przybierania formy, czyli przyoblekania się w ciało. Trudno mi to wszystko pojąć. W głowie mi się od tego kręci. Ale bez wątpliwości zrozumieć to, jeśli kiedykolwiek osiągnę wyższy etap.

Inne głosy twierdzą, że na razie nie powinniśmy nawet się spodziewać, że to obejmie rozumem. Ani nawet oczekiwać, że ktoś nam to wyjaśni.

- Nie ma możliwości - przekonywała Ellen Terry - aby dusza opisała sfery wyższe. O tych, znajdujących się bliżej ziemi, można opowiadać, nawet charakteryzować. Jednak dusza znajdująca się na poziomach znacznie

odleglejszych od ziemi nigdy nie zdoła zawrzeć w słowach opowieści o miejscu swego pobytu.

W 1962 roku głos podający się za Holman Hunt dodał: - Wprawdzie istnieje u nas kilka różnych aspektów natury... Wielu jednak z nich nie jesteśmy w stanie wam objaśnić, gdyż nie ma na to sposobu. Nie można opisać czegoś, na co brak słów.

Od tego momentu dalsza przyszłość staje się głównie sprawą wiary.

- Zawsze wspominam - wyjaśniał Drayton Thomas - co Jezus powiedział do kobiety dotykającej skraju Jego płaszcza: "Córko, wiara twoja cię zbawiła". Uważam, że Jezus wiedział, iż w każdym z nas istnieje moc czyniąca nasze zbawienie możliwym. Nikt, prócz nas samych, nie może nas wybawić. Możemy i powinniśmy zachowywać, będąc dobrą, wiarę w wyższe moce. Jednak dopóki wiara nie umożliwi nam dostrzeżenia drogi, nie możemy na nią wstąpić.

Z wiarą związana jest religia. Czy religia może nas wieść do Nieba? Jak z niebiańskiej perspektywy wygląda religia, której uczymy się na ziemi?

Problem religii

- No wiesz, jak to się tam na dole rozprawia o niebie, piekle, ostatnich fanfarach i tych rzeczach. Wszyscy tam się myślą. - Cóż, chyba tak.

- We wszystkich tych sprawach, że jeśli jesteś dostatecznie dobry, to idziesz na górę, na piętro, a w przeciwnym razie na dół, do starej piwnicy. Wszyscy tam są w błędzie, kolego. Tutaj jesteśmy tacy sami, jak byliśmy, tylko lepsi. W pełni szczęśliwi.

Ustalenia Alfa Pritchetta na temat chrześcijańskich nauk to tylko jeden z wielu głosów wypowiadających się na ten temat. Wszyscy się mylimy.

Weźmy głosy ludzi wykształconych. Michael Fearon, posiadacz dyplomu uniwersyteckiego, kapitan Pierwszej Brygady z Norfolków, zabity trzy tygodnie po inwazji na Normandię.

- Kościół - twierdził - nadal obstaje przy tej śmiesznej idei piekła i nieba. Do nieba idziesz, gdy jesteś dobry, wierzysz w pewne dogmaty i tak dalej. Do piekła natomiast, jeśli nie wykonywałeś tego, co oni uważają za słuszne. Doprawdy, gdy się to dokładnie przeanalizuje, nic się w tym nie klei.

Do rozmowy włączyła się matka Michaela, A. C. Fearon, która w 1954 roku brała z Woodsem udział w seansie.

- Kiedy byłem tam ostatnim razem, powiedziałaś: "Na miłość boską, przyprowadź, kogo chcesz, byle nie jakiegos pastora". Masz coś przeciwko nim?

- Nie chciałem, aby zabrzmiało to tak, jakbym miał jakieś uprzedzenia - odparł Fearon. - Obawiam się jednak, że nie poświęcałem Kościołowi zbyt dużo czasu. Ludzie związani z Kościołem mają ograniczone umysły i nie można się z nimi wnieść ponad pewien punkt. Wydaje im się, że zjedli wszystkie rozumy. Uważają, że jeśli się przeczyta Biblię od deski do deski, to już ma się całą wiedzę w małym palcu. Poza tym nie potrafia zaakceptować niczego innego, nie mówiąc już o tym, że, choć wszyscy twierdzą, iż przyjmują słowa zawarte w Biblii, to tylko niewielu ją czytuje.

- A zatem źle interpretują Pismo Święte, tak? - zapytała pani Fearon.

- Chodzi mi o to, że w Biblii oczywiście jest wiele prawdy, wiele dobroci, choćby w prostych naukach Jezusa. Jeśli ktoś będzie postępował za przykładem Jezusa, to nie uczyni ze swym życiem nic złego i na pewno będzie czynił dobro. W rezultacie jego poglądy i rozwój duchowy staną się naprawdę wielkie. Rzecz jednak w tym, że oni starają się zawęzić wszystko, próbują z prostych prawd Jezusa wyciągnąć wiele skomplikowanych przesłanek, od wieków starają się zaciemnić je tak bardzo, że przestają one mieć cokolwiek wspólnego z Jezusem.

- W jaki sposób - zapytała pani Fearon - przybliżyłbyś naukę Jezusa masom?

- Każdy człowiek może w sobie samym znaleźć Chrystusa.

Trzeba czytać Biblię, robić użytek z zawartej tam mądrości i rozważań, a dotrze się do prawdy. Człowiek jednak musi się uczyć wszystkich tych dodatków, przez stulecia dopisywanych piórami ludzi Kościoła, mających w tym swe własne cele.

- Kościół chce iść własną drogą. A jeśli ktoś zawierzy Kościołowi i przyjmie jego naukę, to po przybyciu tutaj też nic złego mu się nie stanie. Wierzę mi jednak, że w nauce Kościoła pokutuje masa bzdur. Wielu ludzi patrzących na życie poprzez religię, po przybyciu tutaj zastaje coś zupełnie innego. W gruncie rzeczy mają oni utrudnioną możliwość postępu. Przychodzą do nas ludzie przekonani, że są wybrańcami Boga, i nadal żyją tutaj w pewnych sferach z przeświadczeniem, że są pępkiem świata. Mają tak ciasne poglądy, iż autentycznie uważają się za jedynych odrodzonych w swoim pojęciu tego słowa. Liczą nawet na powrót na ziemię w fizycznej formie - czekają na zmartwychwstanie ciała.

- Michael, co się dzieje z ludźmi - zapytał Woods - tak bardzo przywiązani do dogmatów, kiedy przechodzą na tamtą stronę?

- Bezpośrednio po śmierci - odpowiedział Fearon - człowiek jest taki sam jak przed pięcioma minutami. Nie zmienia się jego pogląd na świat ani charakter, ani osobowość, dlatego też osoba bardzo religijna, kiedy tu przybędzie, wciąż mocno trzyma się swoich przekonań. Zaczyna jednak uświadamiać sobie, że jest jak ryba pozbawiona wody, że wiele z jej dawnych nauk, idei i przekonań nie znajduje tutaj zastosowania.

Po pierwsze, zaczyna zdawać sobie sprawę, że wszystko tu jest normalne, naturalne. Ludzie niewiele różnią się od tych na ziemi, jednakże nie znają obciążeń typowych dla materialnego życia. Potem zaczyna rozumieć, że wiele z dawnych wierzeń, na przykład o piekle, niebie i Bogu, było wymysłem ludzi. Przyjmuje do wiadomości fakt, że życie tutaj toczy się naturalnym biegiem, a on sam jest dokładnie taki, jaki był. Większość jednak rzeczy, przy których kurczowo obstawał, przestaje się liczyć i trzeba pogodzić się z nowymi okolicznościami i warunkami.

Czy Fearon przesadza? Dziesięć lat później odezwał się głos należący do takiej osoby, jaką opisał Fearon.

- Nazywam się Briggs - przedstawił się. - Będąc po waszej stronie należałem do chrystadelfian.

To amerykańska sekta, wierząca, że tylko oni, i nikt inny, zostaną wyniesieni ponad śmierć i powrócą na ziemię, kiedy Chrystus przybędzie, aby z Jerozolimy podbić świat.

- Kiedy żyłem w waszym świecie - kontynuował - byłem święcie przekonany, że tylko ci, którzy wierzą, w to, co ja, zdobędą Królestwo Boże. Teraz widzę, że było to złudne mniemanie i wszyscy śmiertelnicy zdobywają Królestwo Boże, bo takie jest naturalne prawo. Kiedy człowiek umiera, jego duch dostaje się rzeczywistości duchowej, otaczającej wasz ziemski świat. Od tego nie ma ucieczki.

Wszyscy podlegamy temu prawu, a w zależności od naszych osiągnięć dostajemy takie lub inne miejsce. Innymi słowy, człowiek otrzymuje dokładnie to, co sam stworzył sobie w życiu swymi poglądami na świat i sposobem życia. Religia sama w sobie nie może człowieka wybawić. Religia niekoniecznie musi czynić człowieka lepszym. Dokonuje się to wtedy, kiedy człowiek przyjmuje do wiadomości, iż jest zarodkiem istoty duchowej.

Opowiedział też o swoim przybyciu do Nieba.

- Miałem myśli zamknięte na prawdę. Kiedy tam przybyłem, na początku znalazłem się w otoczeniu, które czyniło mnie zadowolonym i szczęśliwym. Byłem w raju. Teraz jednak rozumiem, iż był to raj głupców. Poziom życia przeznaczony dla ludzi o ograniczonych umysłach. Ludzi uważających i głęboko wierzących, tak jak ja, że to, co myślą, jest pełną i absolutną prawdą. Cieszyliśmy się z naszych spotkań, ze śpiewania hymnów, odmawiania modlitw i rozmów o czasach, kiedy wrócimy na ziemię, zmartwychwstaniemy wchodząc do naszych fizycznych ciał i staniemy się ziemskimi ludźmi żyjącymi w ziemskim raju.

Jego reedukacja przebiegała powoli. Najpierw zaczął się czuć nieswojo. Potem stracił pewność. Następnie zdał sobie sprawę, że także inni ludzie, nie tylko z jego sekty, najwyraźniej także osiągnęli Niebo.

Zaczął z nimi rozmawiać. Jeden z nich, zwany Bernardem, wziął go na długi spacer i opowiedział, że był rzymskokatolickim księdzem. Briggs się przeraził. Nauczono go, że katolicy i spirytualiści będą jednakowo przekłęci. "Nie przejmuj się" - rzekł Bernard. Obydwaj silnie obstawali przy swoich poglądach i obaj trwali w błędzie. Podczas wycieczki odwiedzili kilka małych, odosobnionych społeczności żyjących i noszących się na modłę sprzed trzystu lub czterystu ziemskich lat. Zakończyli wycieczkę w przepięknym mieście, gdzie wszyscy wyglądali na wyzwolonych i kochających się.

- I tu właśnie - stwierdził - znalazłem spokój, którym chciałbym podzielić się z całym światem. Pragnę wszystkim uzmysłowić, że jeśli człowiekowi wolno myśleć samemu za siebie, to jest w stanie pokonać każdą przeszkodę.

Jego reedukacja dobiegła końca.

Czy jeśli Fearon i Briggs mają rację, to biskupi i inni religijni liderzy popełniają błąd? A jeśli tak, to czy po przybyciu do Nieba uświadamiają sobie swą pomyłkę na widok ludzi, którzy nigdy tam nie mieli się znaleźć? Jednym z najbardziej stanowczych rozmówców był głos podający się za Cosmo Langa - arcybiskupa Canterbury, który kategorycznie sprzeciwiał się w latach trzydziestych małżeństwu króla Edwarda VIII z rozwódką, co doprowadziło w końcu do abdykacji króla.

Był rok 1959. Betty Greene zadała swoje zwyczajowe pytanie. Jak zareagował na śmierć?

- Byłem zaskoczony - odparł. - Miałem, zdaje się, ograniczone, religijne poglądy. Zdałem sobie sprawę, iż wiele rzeczy, w które wierzyłem, w gruncie rzeczy nie istnieje. Człowiek ma skłonności do gmatwania prawdy. Poprzez stulecia było to możliwe w stosunku do prostych praw wyjawionych światu przez Jezusa. Dogmaty, stanowiące oczywiście część mojego życia, tutaj, jak się okazało, nie są ważne i w ogóle nie istnieją. Człowiek po śmierci nie jest niczym więcej niż był na ziemi.

W 1960 roku na sesji zjawił się głos należący do sławnego teologa lat trzydziestych, Williama Ralpa Inge'a, który dostał taką samą lekcję.

- Wiele rzeczy, o których byłem przekonany - zwierzał się -... które uważałem za prawdziwe i przez wiele lat wierzyłem, że takie są, ciągnęły mnie do tyłu i wciąż... Kiedy człowiek opuszcza świat z ustalonymi, silnymi przeświadczeniami, a dzieje się tak często, ma przed sobą trudne zadanie. Musi wielu rzeczy się odczytać i stać się niczym dziecko z chłonnym umysłem, pragnące poznać rzeczywistą prawdę.

Co jest tą rzeczywistą prawdą? Czy religie trwają także w przyszłym świecie? Ile czasu potrzeba, aby wyrosnąć z opinii wyuczonych w Kościele, w którym się urodziliśmy? - Czy macie po tamtej stronie kościoły? - zapytał Woods, gdy w 1962 roku na spotkanie przyszła Elizabeth Fry.

- W pewnych sferach bliższych ziemi - odpowiedziała - istnieją kościoły różnych wyznań, trwające w swej wierze pochodzącej jeszcze z ziemi. Ludzie ci pragną tkwić w swych przekonaniach. Chyba można powiedzieć, że żyją w ignorancji. A ignorancja jest ślepotą. Nadchodzi jednak czas, gdy każda ludzka istota zaczyna pragnąć szerszej wiedzy. Na tym polega postęp.

Głosy chrześcijan opowiadają, że różne odłamy chrześcijaństwa muszą się nauczyć, iż ich pogląd na Chrystusa nie jest prawdziwszy niż wyobrażenia rywali. Czy chrześcijaństwo stoi bliżej prawdy niż islam, hinduizm, buddyzm i inne religie na ziemi? Czy istnieje prawda uniwersalna?

Odpowiedzi udzielił głos podający się za jedną z najbardziej świątobliwych postaci dwudziestego wieku, urodzony w hinduizmie, lecz czczony przez wielu chrześcijan oraz ateistów - Mahatma Gandhi.

- We wszystkich, Jak to określacie, organizacjach religijnych - mówił - zarówno tu, jak i tam, znalazły sobie przystań dobre, szczerze dusze. Na nieszczęście jednak wiele tych istot potrafi wyobrazić sobie prawdę tylko w ograniczonym zakresie. Przyjmują tylko to, o czym są przekonane od dawna. Dla nich boskie objawienia są zamkniętym rozdziałem. Ich wiedza została objawiona tylko im i nikomu więcej. Nie zdają sobie sprawy, że wielkich proroków spotkać można w każdym czasie. Ich religie dają im, w ograniczonym zakresie, rodzaj spokoju.

Już pierwsza lekcja uczy, że należy zapomnieć o swoim ja, rozdawać miłość, a ona na pewno wróci. Zarówno Chrystus, jak i inni wielcy nauczyciele twierdzili, że człowiek powinien zapomnieć o sobie. Wtedy dopiero będzie mógł siebie poznać. Pierwszym przykazaniem niech będzie: kochaj bliźniego swego więcej niż siebie samego, a postępując w zgodzie z tym przykazaniem, zaczniesz żyć.

Po kilku latach pobytu w Niebie, Cosmo Lang, arcybiskup Canterbury, zaczął mówić tym samym językiem co Hindus Gandhi i niewiele innym niż Rose, niegdysiejsza kwiaciarka - prosta sprzedawczyni ze stacji kolejowej Charing Cross.

- Jezus troszczył się - wyjaśniał - o istoty ludzkie, aby poprzez miłość, a jeśli to konieczne, przez poświęcenie, znajdowały drogę powrotną do Boga. "Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie".

Słowa te błędnie interpretowano przez całe wieki i narosło wokół nich wiele dogmatów. Z powodu tych słów do ludzkiego życia zakradło się wiele błędów. "Jestem drogą i prawdą, i życiem". Co On miał na myśli? Z pewnością chodziło mu o pójście w Jego ślady, a innymi słowy, stanie się takim jak On - poświęcenie fizycznych aspektów rzeczy, uświadomienie sobie duchowej mocy i łaski, która mieszka w każdym człowieku, rozwijanie jej, myślenie o sprawach ducha i przezwytyczanie ciała - oto "droga, prawda i życie".

"Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie", czyli, "we mnie wierząc, naśladowując mnie, naśladowając to, co robię, dokładając wszelkich starań, żeby stać się takim jak ja, wejdziecie na drogę ku zbawieniu".

Jezus nie zabiegał o materialne rzeczy. Zajmował się duchowym aspektem człowieka.

Gdy złożył swe ciało na krzyżu, zrobił to z własnej woli, bo był to najwidoczniej jedyny sposób, aby przekonać ludzi i uświadomić im, że sprawy ziemskie mają niewielkie znaczenie. Jego zajmował tylko duch, przezwytyczanie ciała, poddawanie się wszystkiemu, poświęcanie wszystkiego, co konieczne, gdyż rzeczy materialne nie prowadzą do Boga. I tak, jak wiecie, pojawił się po śmierci, dał ludziom świadectwo i założył religię - choć osobiście sędzę, iż nie przyszedł po to, by zakładać religię - którą świat nadal wyznaje.

Gdyby nie wstał z martwych, nie byłoby wiaty chrześcijańskiej. Jednakże, na podstawie tego, co teraz widzę i rozumiem, wydaje mi się, iż lepiej pojmuję cele życia Jezusa. Jestem przekonany, że gdy nawoływał, aby pójść za Nim, nie chodziło mu o wyznawanie religii i czczenie dogmatów, lecz po prostu o naśladowanie Go. W prostocie tej można doszukać się mądrości, a dzięki mądrości odnaleźć drogę, która powiedzie nas ku naszemu Stwórcy. Naśladowując Jezusa i biorąc na siebie Jego krzyż, uświadomimy sobie, że poprzez miłość i służbę Bogu znajdziemy zbawienie.

Anglikański arcybiskup, przywódca Hindusów i niepiśmienna niegdyś kwiaciarka przemawiają językiem zrozumiałym dla wszystkich i potrafią przedstawić zarys wiary dostępnej wszystkim.

Jeśli głos przedstawiający się jako Lang jest autentyczny, przekonania ortodoksyjnych chrześcijan można pogodzić z wątpliwościami i nadziejami wszystkich wiar. Dyskusje stają się bezprzedmiotowe.

Lecz czy możemy mieć pewność, że to był Lang?

Obserwacje mediów

Gdyby Lang z ambony arcybiskupa Canterbury ogłosił interpretację nauk Chrystusa i chrześcijaństwa w tym samym duchu jak naświetlił to Woodsowi i Greene wywołałby nie lada sensację w Kościele.

Poglądy te zostałyby z pewnością opublikowane i skrupulatnie przemyślane przez cały świat.

Na nieszczęście, do swych konkluzji mógł dojść dopiero po śmierci. Jego przesłanie było głosem wołającego na puszczy. Komunikatem opatrzonym budzącą podejrzenia etykietką spirytualizmu.

Spirytualizmu, którego praktykujący chrześcijanie zostali nauczeni unikać, który, jak pamiętają ortodoksyjni anglikanie, także Lang za życia odrzucił.

W latach trzydziestych, będąc głową Kościoła Anglikańskiego, Lang powołał pod przewodnictwem doktora Francisa Underwooda, biskupa Bath i Wells, komitet, mający za zadanie przebadać dowody na istnienie zjawisk parapsychicznych. Po dwu latach komitet ogłosił, iż doświadczenia parapsychiczne pewnych osób skłaniają na pierwszy rzut oka do uznania możliwości duchowego porozumiewania się za prawdę.

- Uważamy za prawdopodobne, że wysuwane przez nich hipotezy dotyczące porozumiewania się z duchami są w wielu przypadkach prawdziwe.

Arcybiskup Lang był innego zdania. Nigdy nie pozwolił na opublikowanie tego raportu. Doniesienia komisji do dziś pozostają tajne.

Czy to możliwe, aby właśnie nie kto inny, tylko on wykorzystywał teraz medium związane ze spirytualizmem, który odrzucał jako arcybiskup, do ogłoszenia nam, żyjącym w dzisiejszym świecie, zmiany swych poglądów na religię i kwestię nieśmiertelności?

Jeśli jednak rzeczywiście był to Lang, to jego opinie dotyczące religii przeobraziły się całkowicie, a pogląd na możliwość komunikowania się z duchami uległ gruntownej rewizji.

- Zawsze, gdy w grę wchodził spirytualizm - mówił do Woodsa i Betty Greene - bałem się go. Lękałem się, że mógłby osłabić Kościół, a możliwe, że nawet zniszczyć. Nie miałem pewności, czy jest coś dobrego w tym, co ma do zaoferowania.

- Naturalnie teraz zmieniłem swe podejście do wielu zagadnień. Sądzę, że spirytualizm jest ważny dla wszystkich ludzi i każdy powinien go poznać.

Jednak w pewnych kwestiach nadal pozostawał ostrożny: Uważam - dodał - że wykorzystywany w nieodpowiedni sposób może się okazać niebezpieczny.

Jeśli chceć kontaktować się z formami wyższymi, siłami dobra, tymi, co mogą pomóc światu, tymi, co są w stanie udoskonalić gatunek ludzki, trzeba posiadać instrumenty o odpowiednich umysłowościach i odpowiednich myślach, a wydaje mi się, iż, na nieszczęście, wiele z tych instrumentów zalicza się do drugiego gatunku.

Jeśli ktoś ślizga się tylko po powierzchni astralnego świata, co dotyczy dziewięćdziesięciu procent waszych instrumentów, to jest nie tylko źle, ale i niebezpiecznie, ponieważ miernota przyciąga miernotę. Instrumenty mogą być także wykorzystywane przez istoty niższe, nie mogące opuścić powierzchni ziemi, lgnące do waszego świata, one też mogą poprzez instrument przemawiać do ludzi i opowiadać im rzeczy mijające się z prawdą.

Zdaję sobie sprawę, że ze spirytualizmu pojmowanego na wasz sposób płynie wiele dobra. W gruncie rzeczy zawiera się w nim kwintesencja całego dawnego Kościoła - pierwsi chrześcijanie gromadzili się razem i oddawali boskiej mocy.

Rozumiem, że doznającym utraty osoby bliskiej i drogiej ludziom z waszego świata pilnie potrzeba jest

pociechy. To naturalne, że pragną dowodu na życie po śmierci, a ja wiem doskonale, iż dowód taki został przedstawiony i będzie przedstawiany zawsze, kiedy zajdzie potrzeba.

Woods i Betty Greene nigdy nie narzekali na brak ostrzeżeń przed niebezpieczeństwami spirytualizmu. Otrzymywali przestrogi nawet od tych, którzy na ziemi byli cieszącymi się powodzeniem mediami. Znalazł się wśród nich John Brown, osobiste medium królowej Wiktorii. Opowieść o tym prostym, nisko urodzonym Szkocie, który w dziwny sposób wpływał na osieroconą królową, umożliwiając jej kontakt z ukochanym Albertem, jest zbyt dobrze znana, aby przytaczać ją szczegółowo.

- Wiecie, że Wiktorii bardzo na tym zależało? - zapytał.

- Tak - odparła Betty Greene. - Już nam to mówiłeś, John.

- Z całych sił pragnęła się z nim skontaktować - kontynuował Brown. - Znać tę historię. Naturalnie jej zapiski zostały zniszczone, a to wielka strata, bo rzetelnie prowadziła dzienniki. Właściwie miała specjalny, niewielki kajecik, gdzie notowała wszystkie przesłania. Zbliżyliśmy się w tej pracy do siebie, choć ona musiała trzymać to w tajemnicy. Organizowaliśmy od czasu do czasu niewielkie seanse w Osborne i innych miejscach.

Pod wieloma względami byłem osobą twardo stąpającą po ziemi, lecz posiadałem wielki dar. Dotyczy to, na nieszczęście, oczywiście wszystkich mediów. Obdarzone są potężnym, duchowym darem, zdolnościami, które mogą być wykorzystane w zbożnych celach. Media same w sobie niekoniecznie muszą być złymi ludźmi, mają jednak skłonności do przywiązywania wagi do spraw przyziemnych, materialnych. Ja oczywiście także czerpałem korzyści ze swego związku z Jej Wysokością: ze zwykłego człowieka awansowałem na pozycję, na której moje słowo, można tak teraz powiedzieć, stawało się wyrocznią.

Nierzadko chętnie się swą władzą. Teraz zdaję sobie sprawę, że było to naganne, ale przecież wówczas, dzięki autorytetowi, jakim cieszyłem się u królowej, wiele mogłem zdziałać, aby pomóc jej ukoić smutek. Czasami, mogę wam się przyznać, podczas seansów otrzymywała rady mające wpływ na... eee... ważne sprawy państwowe.

Wiele pomysłów i sugestii, przedłożonych w owym czasie przez Jej Wysokość rządowi, pochodziło z zewnątrz. Czasami też, gdy królowa była zdezorientowana lub niepewna swego, prosiła o radę. Może jednak nie powinienem o tym wszystkim mówić.

Więcej rewelacji przyniósł głos podający się za Emmę Hardinge Britten, jedną z najślawniejszych pionierek dziewiętnastowiecznego mediumizmu. Podzielała krytycyzm nie przekonanych uczestników seansów i sceptycznie nastawionych badaczy.

- W tym wszystkim, co mówią media i spirytualiści, jest wiele lania wody - rzekła stanowczo w 1969 roku. - Wielu się wydaje, że wystarczy zamknąć oczy, aby zamienić się w medium. W taki sposób rodzi się wiele bzdur, a wiele słów, przypisywanych duchom, to płody bujnej wyobraźni i wymysły ludzi, chcących uchodzić za takich, jakimi nie są. Musimy zadać temu kłam. W kręgach spirytualistów

łatwo znaleźć niezliczone rzesze ludzi bezpodstawnie podających się za media i - na nieszczęście - uznanych przez ludzi, od których należałoby oczekiwać więcej inteligencji. Właśnie brak inteligencji przyczynia się do niepokoju o ruch spirytualistów. Nie chodzi o to, aby przyjmować wszystko, co brzmi świątobliwie. Rzecz w tym, aby posługiwać się zdrowym rozsądkiem, a nawet intuicją.

Krytycyzm ten najwyraźniej nie dotyczył Woodsa i Betty Greene, ponieważ głos stwierdził:

- Jednak ta tutaj metoda komunikacji jest o wiele bardziej zaawansowana, a przez to bardziej wiarygodna niż bzdury, wymyślane przez tych głupców, których słowa, po gruntownym przeanalizowaniu, znaczą niewiele lub nie znaczą nic i pochodzą z ich własnych umysłów, z ich podświadomości lub nie wiadomo skąd. Uważamy waszą metodę bezpośredniej komunikacji za najlepszą dotychczasową, przewyższającą wszelkie, znane na waszym świecie sposoby porozumiewania się z zaświatami. Zrobimy, co w naszej mocy, aby wam pomóc. Sprowadzimy do was wszystkich ludzi mogących służyć wam pomocą. Lecz pojawią się też trudności. Sami wiecie, że trzeba się ich spodziewać. Możliwość odbierania, rejestrowania i rozpowszechniania informacji może się okazać ziarnem padającym na podatny grunt. Może jednak upaść także na kamienne podłoże złych intencji pragnących zniekształcać prawdę. Obstają jednak przy tym, iż tą waszą metodą komunikacji, używaną w sposób prawidłowy, można zdziałać więcej na rzecz głoszenia prawdy niż jakkolwiek inną.

Skąd się biorą mylne, dezorientujące wypowiedzi? Czemu niektórych posiedzeń i seansów nie można uznać za satysfakcjonujące?

Oszustwa mało skutecznych mediów dość często wychodzą na jaw i są ośmieszane przez sceptycznych dziennikarzy. Zgodnie z opiniami głosów, więcej szkód spowodować mogą sfrustrowane duchy próbujące przesyłać wiadomości z tamtego świata.

Nikt tak bardzo nie ucierpiał z powodu fałszywego medium jak Alfred Higgins, malarz i dekorator wnętrz z Brighton, który spadł z drabiny. Próbował przesłać wiadomość swojej owdowiałej żonie.

- Zabrano mnie - opowiadał - do kościoła spirytualistów. Godziłem się na wszystko, aby tylko móc przekazać wiadomość żonie. Naturalnie mojej ślubnej tam nie było. Myślę sobie, no cóż, trzeba spróbować namówić ją do przyjścia.

Zacząłem więc odwiedzać małżonkę i starać się spróbować ją nakłonić do przyjścia do kościoła spirytualistów.

Pewnego wieczora czekałem w kościele. Wiedziałem że tu przyjdzie, bo pracowałem nad nią cały dzień. A właściwie nawet kilka dni. Usiadła z tyłu, a kobieta medium stała na ambonie. Wystarczyło raz na nią spojrzeć, aby pomyśleć:

"O rety, będę miał dużo szczęścia, jeśli uda mi się do niej dostać".

Widywałem tam już różnych, dobrych i złych, ale ta wydała mi się jakaś dziwna. Mówiła o rzeczach, które podobały się ludziom, me przykładała jednak wagi do rzeczowych dowodów i raczej nie była w stanie przytaczać szczegółowych opisów dostarczanych przez duchy.

Gdy zaczęła klepać bez ładu i składu, pomyślałem:

"Muszę się jakoś do niej dostać. Trzeba coś z tym zrobić". Koncentrowałem się jak szalony. W końcu do niej dotarło.

Odebrała pewne informacje, które starałem się jej przekazać, na przykład o drabinie. Oczywiście wystątko jej się pomieszało.

"Sama nie wiem moja droga - powiedziała do mej żony - będziesz miała szczęście, ale widzę obok ciebie drabinę".

"To jest to, pomyślałem." O to właśnie chodzi, na miłość boską".

"W pracy posługuję się drabiną". - Kobieta medium zbiło to z tropu.

"Myślę, że twoje sprawy podążają w dobrym kierunku, moja droga - zapewniła. - Widzę, jak się wspinasz po szczeblach drabiny sukcesu".

Oczywiście nic z tych rzeczy nie mówiłem tej przekłetej medium, to była tylko jej interpretacja. "A niech ją!", zakląłem w duchu. W końcu jednak udało mi się przekazać medium parę danych, między innymi moje imię. Lecz w tym samym momencie moja żona powiedziała tak: "chyba wszystko rozumiem". A potem dodała - gdybym mógł kopnąłbym ją w kostkę - "Mój mąż spadł z drabiny i zabił się, miał na imię Alf".

No dobrze, myślę sobie. Co by tu powiedzieć tej medium, aby przekonało to mą żonę? To musi być coś naprawdę mocnego.

Jak pomyślałem, tak też uczyniłem, i z całej siły starałem się kobiecie medium przekazać: "Ta obrączka, którą masz na palcu, jest nie ta sama, jest nowa".

Przypuszczam, że kto inny nie znalazłby w tych słowach sensu, lecz dla mej żony miały wielkie znaczenie, bo zgubiła kiedyś ślubną obrączkę, a ponieważ nie chciała, żebym się o tym dowiedział i zdenerwował, poszła i kupiła sobie nową. W każdym calu identyczną jak poprzednia. Dowiedziałem się o tym dopiero po śmierci, uznałem więc, że ta wiadomość z pewnością ją poruszy.

Żona zbladła, ale odezwała się w te słowa:

"No ale skąd mój mąż może o tym wiedzieć? Nigdy się z tym nie zdradziłam. Trzymałam to w tajemnicy".

Wtedy kobieta medium się obruszyła, sami wiecie, jak oni to robią.

"Ależ moja droga, przecież to jest wyraźny dowód podsunęty przez twojego męża, prawda? " - i dalej zaczęła to swoje ble, ble, ble. Wszystko było cacy, cacy. Cały wieczór miała dobry humor.

- Wielu z nich to ludzie mili, uczciwi. Ale spora część jest niedouczone i zbyt mało rozwinięta. W dużej mierze opierają się na własnej wyobraźni. Od czasu do czasu uda im się coś odebrać, to znaczy jesteśmy w stanie dotrzeć do ich głów. Często jednak wyrządzają nieopisane szkody.

Higgins wyjaśnił, dlaczego idea spirytualizmu przekonała tak nielicznych i uczyniła tak niewiele, aby zastąpić słabnące zaufanie do religii opisującej zmartwychwstanie sprzed dwóch tysięcy lat.

Czy byłoby Inaczej, gdyby każde posiedzenie i każdy seans przynosił dowody tak wyraźne i spójne, jak te, dostarczane przez Woodsa i Betty Greene?

Dlaczego oni potrafią prowadzić mądre, jasne rozmowy ze zmarłymi, podczas gdy inni śmiertelnicy, na innych seansach, zadowolają się takimi informacjami, jak to było w przypadku pani Higgins?

Po pierwsze dlatego, iż wykorzystują wyjątkowe medium obdarzone talentem pozwalającym na najprecyzyjniejsze komunikowanie się między naszym światem a inną płaszczyzną egzystencji. Inny powód przedstawił im głos, który z niezwykłą powagą przemówił pierwszego września 1960 roku, lecz odmówił podania nazwiska i prosił, by zwracać się do niego Pierre.

- Wielu ludzi szukających pomocy mediów - mówił - sądzi, że wystarczy usiąść, a reszta przyjdzie automatycznie. To głupie. Jeśli się zastanowić poważnie, bez trudności można wywnioskować, że to niemożliwe, a na pewno niemal nieprawdopodobne, aby już za pierwszym razem osiągnąć wspaniałe wyniki.

Jedynie bardzo doświadczeni przewodnicy i posłańcy są w stanie prowadzić długie, przenikliwe konwersacje. Właśnie dlatego wasze seanse są unikatowe i dlatego ludzie słuchając waszych taśm wykrzykują "to cudowne!". Mają tu do czynienia z wyraźnymi osobowościami i charakterami. Rozmowy są długie i wyczerpujące. Natychmiast zaczyna im się wydawać, że jeśli odwiedzą to samo medium, albo nawet specjalny seans zostanie zaaranżowany właśnie dla nich, to usiądą i doświadczą tego samego co wy. To śmieszne, bo nie ma takiej możliwości, a w każdym razie jest mało prawdopodobna. Ludzie ci nie rozumieją, iż dopiero wiele lat waszych doświadczeń i starań ludzi po tej stronie mogło doprowadzić do tak wspaniałej formy komunikacji.

Najlepsze porozumienie nawiązuje się tylko wtedy, gdy posiedzenia odbywają się regularnie i w obecności tego samego instrumentu, gdzie przewodnicy i ci, co przychodzą z naszej strony, potrafią do tego stopnia zaaranżować pewne okoliczności, iż następuje idealne zjednoczenie, idealna harmonia. Wibracje są perfekcyjnie dostrojone.

Lwia część ludzi nie ma pojęcia o tych rzeczach. Sprowadzacie tu kogoś w dobrej wierze i co się dzieje? Choć nie wiem jak starałbym się pomóc, a miało to już miejsce w przeszłości, to osoba ta wyjdzie i skwituje: "Tak, to bardzo interesujące, ale jakoś nie tak dobre, jak na taśmach pana Woodsa i pani Greene".

Dlatego właśnie, gdy przychodzicie oboje, jest inaczej.

Nie zalecałbym powiększania waszego grona. Nie ulegajcie presji, bo może się to okazać fatalne dla powodzenia waszego przedsięwzięcia.

- My nie chcemy innych uczestników seansów. Obawiamy się, aby nie zakłócili odbioru instrumentu lub przepływu waszej energii umożliwiającej nam komunikowanie się.

- Sami wiecie, że robicie to wszystko w pewnym określonym celu. Również wy pełnicie funkcję swego rodzaju meidiów i wywiążecie się z tego zadania. Umożliwicie tysiącom ludzi dowiedzenie się o życiu po śmierci oraz możliwość komunikowania się z przyszłym światem. Nawet wśród spirytualistów istnieje sporo egoistów koncentrujących się wyłącznie na tym, co biorą. Mniej ich interesuje prawda duchowa, dlatego zadają takie doczesne, materialistyczne, ziemskie pytania dotyczące biznesu, romansów i tak dalej. Ponad siedemdziesiąt procent ludzi oczekuje informacji od pewnej osoby, aby dowiedzieć się, co robić w sprawach czysto materialnych.

Dlaczego ruch spirytualistów nie poruszył świata i nie zmienił oblicza ziemskiego życia? Albowiem spirytualizm dostępny jest garstce uduchowionych ludzi. Istnieje na świecie wiele, wiele różnych religii. Prezentują one mnóstwo złożonych, często sprzecznych idei i poglądów. Prawda jest jednak tylko jedna. I jest to prawda o życiu wiecznym. O tym, że wszyscy, którzy umarli, żyją.

Jesteśmy wdzięczni, ponieważ wy, jako jedni z niewielu, macie prawdziwe duchowe podejście, wolne i otwarte umysły. Nie kierujecie się uprzedzeniami. Nie ma w was blokad, na które natykamy się u przedstawicieli różnych odłamów religii. Starają się oni za wszelką cenę nagiąć wszelką prawdę do dostępnego tylko im poziomu, aby pasowała do ich własnej religii, wiary i dogmatu.

My nie mamy dogmatów. Nie mamy religii w waszym znaczeniu tego słowa. Tutaj panuje wolność myśli, wyrażania się i swoboda ducha, które wykraczają daleko poza ograniczenia człowieka, poza jego małość i głupotę. Wolno nam mówić prawdę i dlatego też cieszymy się mogąc do was przychodzić i przekazywać ją wam.

Pukajcie, jak było powiedziane, a będzie wam otworzone.

Jednak jakże niewielu ludzi z waszego świata puka naprawdę. Niektórzy skrobną drzwi i dziwią się, że nikt ich nie słyszy. Inni szarpią za klamkę, ale drzwi nie puszczają. Są także ci, co napierają całą siłą i wtedy drzwi stają otworem.

Lecz z powodu swej brutalności, a być może dlatego, że byli nazbyt niecierpliwi lub zbyt dużo siły skierowali w złym kierunku, nie są w stanie ujrzeć prawdy nawet przez otwarte drzwi.

Wy, moi przyjaciele, jesteście mili i uprzejmi, a to, co robicie, czynicie z dobrego serca i otwartym umysłem, dlatego osiągacie wyniki. Dzięki nim możecie prawdziwie służyć tym, którzy poszukują.

Jeśli Pierre ma słuszość, to z jego słów wynika, że taśmy Woodsa i Greene mogą być najbardziej wiarygodnymi relacjami z innej płaszczyzny egzystencji, jakie się udało zdobyć w świecie żywych i jak dotąd najbardziej przekonującym dowodem na nieśmiertelność człowieka.

Tylko czy możemy dowieść, że Pierre ma słuszość?

Badanie głosów

Zakończymy kwestię, od której zaczęliśmy. Skąd mianowicie pochodzą głosy?

Czy są tylko naszym wymysłem? Zanim jeszcze rozpoczęła się długa seria seansów Woodsa i Greene, Leslie Flint poddał się najostrożniejszym testom, jakie byli w stanie wymyślić obiektywni parapsychologowie. W swojej książce, oddając im sprawiedliwość, napisał o sobie tak: "Jestem najlepiej przetestowanym medium w tym kraju i, muszę dodać, medium, które z ochotą poddaje się testom, jeśli czuję, że służą one prawdzie".

Jednym z badaczy poddających go próbie był doktor Louis Young pracujący niegdyś z Thomasem Edisonem - wynalazcą lampy elektrycznej, mikrofonu i fonografu - który zdemaskował w Stanach Zjednoczonych kilka wątpliwej jakości mediów. Flint

miał wziąć do ust kolorową wodę. Światła pozostawały włączone, jednak po seansie Flint wypluł wodę do szklanki.

W 1948 roku wielbny Drayton Thomas, ówczesnie członek Rady Towarzystwa Badań Parapsychologicznych, wymyślił inny test. Wyniki opisał czternastego lutego w "Psychic News".

"Piątego stycznia na jego (Flinta) ustach przykleiłem plaster. Miał on pięć i pół cala długości oraz dwa i pół cala szerokości, a także silny klej. Dokładnie przymocowałem plaster na zaciśniętych wargach, obwiązałem go bandażem.

Natomiast ręce medium przywiązałem do krzesła. Drugi sznur spletałem tak, aby Flint nie miał możliwości pochylania głowy. Wszystko po to, by, gdyby podczas transu udało mu się zrzucić bandaże, nie był w stanie go sobie założyć z powrotem.

Wszyscy widzieli, że przy próbach przemówienia przez zaklejone i zabandażowane usta wydobywały się tylko stłumione, niewyraźne dźwięki. Eksperyment miał na celu ukazanie, że w powyższych, uniemożliwiających mówienie warunkach, daje się usłyszeć słowa wypowiedane głosem bezpośrednim. Eksperyment całkowicie się powiódł. Głosy przemawiały wyraźnie jak zawsze, a Mickey (przewodnik Flinta), aby potwierdzić jego zdolności, kilka razy głośno krzyknął. Obecnych przy tym było jakieś dwanaście osób i wszyscy słyszeliśmy więcej, niż trzeba, by przekonać najzgorzalszego sceptyka, że zakneblowanie ust pana Flinta nie przeszkodziło niewidocznym rozmówcom. Sam sprawdziłem plastry oraz więzy, lecz były nietknięte. Plaster przylegał do ust tak mocno, że trudno go było oderwać nie powodując bólu".

Fearona. Woods udał się na seans z matką Michaela. Głos przeprowadził z obojgiem długą i żywą konwersację. Pani Fearon nie miała wątpliwości, że rozmawia z synem.

Od czasu do czasu krewni i znajomi głosów przyjmowali zaproszenia Woodsa do wysłuchania taśm.

Dziewiętnastego kwietnia 1962 roku głos przedstawił się jako F. E. Smith, Lord Birkenhead, niegdyś Lord Kanclerz _ najwyższy sędzia. Oznajmił, że zmienił zdanie na temat kary śmierci i przedstawił powody dla których uważa, iż przynosi ona więcej złego niż dobrego.

Taśmy zostały odtworzone Charlesowi Loseby, M.C., Q.C., który był studentem Smitha w Gray's Inn. Dwudziestego pierwszego listopada 1965 roku napisał do Woodsa ze swego domu w Guernsey na Wyspach Normandzkich:

Podczas innych testów do gardła Flinta przykładano mikrofon połączony ze wzmacniaczem, co miało wychwytywać każdy dźwięk przez niego wydawany. Ręce miał przywiązane do obserwatorów siedzących obok, a badacze śledzili wszystkie jego ruchy przez wychwytyjący podczerwień teleskop.

Głosy odzywały się nadal. Badacze natomiast zauważyli na wysokości jakichś dwóch stóp nad głową Flinta uformowany z ektoplazmy "przekaznik".

Jeśli zatem głosy nie pochodziły od Flinta, to skąd? Czy można przeprowadzić testy potwierdzające, że głosy płynęły rzeczywiście od tych osób, za które się podawały?

Odkąd Woods rozpoczął nagrania, zapraszał wszystkich, którzy znali tamtych ludzi na ziemi,

puszczał im taśmy i pytał, czy głosy można uznać za autentyczne. Jednym z pierwszych pojawiających się w tej książce był głos Michaela

"Ja, Charles Loseby, M.C., Q.C., niniejszym oświadczam, że usatysfakcjonowało mnie wysłuchanie głosu F. E. Smitha, Lorda Birkenhead, niegdyś Lorda Kanclerza, z taśm magnetofonowych nagranych przez pana S. G. Woodsa podczas seansu w Londynie w obecności znanego medium - Leslie Flinta.

Po uważnym wysłuchaniu mogę stwierdzić, iż podjęto wszelkie kroki, aby uniknąć fałszerstwa, nieporozumienia czy pomyłki.

Słuchałem głosu nadal żywego Lorda Birkenhead, kierującego się najwyraźniej jedynie chęcią pomocy ludzkości".

Czwartego marca 1963 roku, a potem dwudziestego piątego kwietnia 1966 roku odezwał się głos podający się za Sir Olivera Lodge'a, wybitnego angielskiego fizyka, a jednocześnie równie sławnego badacza parapsychologii. Taśmę z nagraniem odtworzono J. Croftowi, przebywającemu na emeryturze fizykowi, studiującemu u Lodge'a i dobrze go znającemu. Pierwszego sierpnia 1966 roku Croft napisał do Woodsa z rodzinnego Angmering-on-Sea w Sussex:

"Na prośbę pana Woodsa i pani Greene wysłuchaliśmy wraz z żoną taśm z nagraniami wypowiedzi udzielonych przez Sir Olivera Lodge'a.

Uważamy, iż głos posiada cechy pozwalające kojarzyć go z głosem Sir Olivera Lodge'a, którego mieliśmy okazję słuchać wiele razy.

Płynny sposób wystawiania się, charakterystyczny sposób wymowy głosek szczelinowych oraz dobór słów i wyrażeń pokrywa się z zapamiętanym przez nas sposobem mówienia Sir Olivera Lodge'a".

Siedemnastego czerwca 1963 roku głos przedstawił się jako Lidian Baylis, założycielka towarzystwa teatralnego Old Vic. Dwudziestego pierwszego sierpnia tego samego roku Woods odtwarzał część tego nagrania w telewizji. W rezultacie tej audycji otrzymał list od Alys F. Watson, chrześniaczki Lilian Baylis, która zamieszkiwała u niej w domu i wraz z nią pracowała w Old Vic. Przyjechała z Howe, miejsca swego zamieszkania, do Woodsa, aby wysłuchać całego nagrania.

Dwudziestego pierwszego listopada znów napisała list:

"Jestem szczęśliwa, że mogę potwierdzić, iż głos, który słyszałam, należy do Lilian Baylis. Jestem tego absolutnie pewna".

Największą liczbę prób przeszły taśmy z głosem podającym się za Cosmo Langa.

Pierwszy raz nawiązał kontakt w maju 1959 roku, kiedy to opowiedział Woodsowi i Betty Greene o zmianie swych poglądów na religię i spirytualizm, co zostało przytoczone w dwóch poprzednich rozdziałach.

We wrześniu 1960 roku wielbny John Pearce-Higgins, wówczas wikariusz Putney i przewodniczący Kościelnego Stowarzyszenia Studiów Parapsychologicznych, pojawił się w niedzielę wieczorem w telewizji w programie "Dookoła religii", biorąc udział w dyskusji na temat powiązań między chrześcijaństwem i spirytualizmem. Jako dowód na istniejące związki podał nagrania.

W tym czasie, będąc dziennikarzem "Daily Sketch", zostałem poproszony przez redaktora naczelnego Collina Valdara o napisanie serii artykułów dotyczących powyższych dowodów na istnienie życia po śmierci. Dowiedziałem się o tym, Woods zaprosił mnie do swojego mieszkania w Brighthton, abym osobiście mógł wysłuchać taśmy.

Jeszcze na studiach, w uniwersyteckiej kaplicy Świętego Jana w Oksfordzie, słyszałem wygłaszane przez Langa kazanie. Był to jakiś trzydziesty siódmy, może trzydziesty ósmy rok. Nie chcąc jednak opierać się na własnych wspomnieniach sprzed z górą dwudziestu lat, postarałem się, w miarę czasowych możliwości, zebrać opinie ludzi lepiej znających arcybiskupa i często słuchających jego słów.

Pearce-Higgins był całkowicie pewny.

- Jeżeli udowodnić, że seans przebiegał prawidłowo - mówił - sądzę, iż najprawdopodobniej był to Cosmo Lang.

Wszystkie przesłanki na to wskazują. Ci, którzy słuchali taśmy i słyszeli Langa, twierdzą, że głos jest bardzo podobny. Że takie rzeczy mogłyby paść z jego ust. Kiedy porówna się tę formę komunikacji z innymi, słabiej udowodnionymi, jest ona prawdopodobnie wiarygodna.

Stara przyjaciółka rodziny, Herbert Lane, mieszkająca w pobliżu Wareham zdawała się być równie mocno przekonana. Często przebywała w obecności Langa.

- Od początku odniosłam wrażenie - mówiła - że głos jest autentyczny. Jakbym go słyszała. I czuję, że to właśnie powiedziałby arcybiskup Lang. W jego stylu nie było krytykowanie bez konstruktywnego uzasadnienia.

Pearce-Higgins pomógł zaaranżować próbę, która, mieliśmy nadzieję, będzie przekonująca. Zgodnie z jego propozycją wypożyczyłem z Dyrekcji Programów Religijnych BBC nagranie głosu żyjącego Langa. Najślawniejsze orędzie radiowe wygłosił w związku z abdykacją króla Edwarda VIII w 1936 roku.

To nagranie oraz te dokonane przez Woodsa zabrałem do domu biskupa Southwark - doktora Mervyna Stockwooda. Odtworzyłem je jedno po drugim, a potem obydwaj jednocześnie biskupowi, jego kapelanowi i rektorowi Teologicznego Koledżu Św. Stefana w Oksfordzie.

Próba nie wypadła przekonująco. Głos żywego Langa był silniejszy i bardziej stanowczy niż głos zmarłego.

- Przypuszczam - rzekł biskup - że możemy wykluczyć jakąkolwiek możliwość świadomego fałszerstwa. Nie wiadomo, skąd głos pochodzi. Możliwe, że to Cosmo Lang. A być może kto inny. Nie potrafię potwierdzić ani zaprzeczyć.

Biskupa i pozostałych dwóch dostojników kościelnych martwiło to, że zmarły Lang mniej błyskotliwie dobierał argumenty i mówił mniej klarownie, niż się spodziewali. Za życia był wybitnym krasomówcą.

Nie przejmował się tym Pearce-Higgins.

- Niemożliwe - twierdził - zważywszy na trudności z artykulacją, aby głos osoby zmarłej był dokładnie taki sam, jak za życia. Wygląda na to, że po śmierci inteligencja obniża się.

Już samo skontaktowanie się z nami sprawia kłopoty. Nie mogą wyrażać się tak samo precyzyjnie jak

normalnie czynią, a nawet tak dobrze, jak im szło na ziemi. Wynika z tego, że czasami ludzie po śmierci zaczynają funkcjonować na niższym poziomie.

Wkrótce potem Pearce-Higgins otrzymał wsparcie z nieoczekiwanej strony.

Pod koniec września 1960 roku Kościelne Stowarzyszenie zebrało się na dorocznej konferencji. Odtwarzano taśmy z nagraniami Langa i dyskutowano na ich temat. Pierwszego października, podczas zwyczajnego seansu Woodsa i Betty Greene z Flintem, głos podający się za Langa znów nawiązał kontakt. Wyjaśnił, z jakiego powodu.

- Byłem na waszym spotkaniu z członkami Kościelnego Stowarzyszenia i aż za dobrze zdaję sobie sprawę z reakcji pewnych stronnictw na odtworzenie nagrania z naszą rozmową. Z niczego się nie wycofuję. Mam nawet coś więcej do powiedzenia na ten temat.

Znów wysłuchali długiego wykładu. Pod koniec Betty Greene wykorzystała chwilę przerwy, aby zadać pytanie: - Czy byłeś z nami także w inne wieczory?

- Tak, moje dziecko - odparł.

- A zatem wiesz o tym, że twój głos budzi kontrowersje?

- Kontrowersje będą się pojawiać zawsze.

- Zwrócono uwagę, że niezbyt poprawnie wymawiałeś niektóre słowa. Sugerowano nam, że gdybyś się jeszcze kiedykolwiek pojawił, powinniśmy zwrócić ci na to uwagę.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. Trzeba pamiętać, że każdy dźwięk musi zostać wyartykułowany. W waszym świecie, dysponując zwyczajnym, ludzkim ciałem, wprowadzacie w drganie powietrze przy użyciu narządów głosu. Do tego dochodzi wychowanie, wykształcenie i otrzymujemy głos charakterystyczny dla danej osoby.

W takim wypadku wątpliwości mogą budzić tylko myśli wyrażane przez człowieka. Ja natomiast, podobnie jak inni przychodzący z wami porozmawiać, artykułuję słowa za pomocą sztucznie stworzonego "przekaznika". Osobiście nie uważam, aby ważne było, czy głos jest identyczny jak za życia. Wątpię, czy ktokolwiek przychodzący z tej strony potrafi idealnie odtworzyć swój ziemski głos. Bo czym właściwie jest głos? Zamknięciem myśli w falę dźwiękową. Nie zapominajcie, przyjaciele, iż znalazłszy się poza waszym światem, nie posiadamy już takiego samego fizycznego ciała, nie możemy przemawiać do was w zwyczajnym tego słowa znaczeniu, a możemy jedynie przesyłać do was myśli dzięki mocy mediów i trudno się spodziewać, abyśmy dokładnie naśladowali głos, a nawet drobniawo pamiętali nasz ziemski tembr.

Czas pozbawia nas wielu rzeczy, lecz na pewno nie prawdy. Tutaj zdobywamy wiedzę i poznajemy prawdę, a jeśli jesteście gotowi, możemy ją wam przekazać.

Nie trąpcie się drobnostkami tak często wytykanymi przez ludzi chcących niszczyć. Oni się boją. To strach przez nich przemawia. W gruncie rzeczy nie ma żadnego znaczenia, czy mój głos brzmi tak samo jak na ziemi, czy nie. Tak czy inaczej, podobnie jak głosy innych ludzi, także i mój zmieniał się z wiekiem. Na starość mówiłem zupełnie inaczej niż jako dwudziestolatek. Także odmiennie wypowiadanie słów nie ma znaczenia. Pamiętajcie, że przemawiam do was z pozycji takiego, jakim jestem teraz, a nie kiedyś, w przeszłości. Pamiętajcie, że, dzięki Bogu, zmieniłem

się. Gdyby duma leżała w mej naturze, mógłbym wyznać, iż jestem dumny z zaszłych we mnie przemian. Terazniejsze moje myśli różnią się od niedgysiejszych, więc dlaczego ton głosu miałby pozostać taki sam?

Tym, którzy wątpią, mogę powiedzieć tylko tyle, że i dla nich nadejdzie czas wiary. Lepiej jednak uwierzyć, kiedy jest się jeszcze na ziemi, bo wtedy można zdziałać więcej, niż tylko czekać na przyjsie tutaj. Wielu jest takich którzy wspominają, że gdyby na ziemi znali prawdę, żyliby zapewne inaczej. Inaczej by postępowali, naprawdę służyli bliźnim a w konsekwencji - Bogu.

To nagranie odtworzone zostało Conanowi Shaw z Angmering w Sussex. Uznał on, że głos Langa jest identyczny jak na Ziemi.

"Jako chórzysta w opactwie York od 1908 do 1915 roku -pisał - miałem wiele okazji kontaktować się bezpośrednio z doktorem Langiem.

Przy licznych okazjach byłem wybierany do orszaku arcybiskupa. Doktor Lang miał w zwyczaju wozić nas, chórzystów, łódkami po rzece Ouse.

Na taśmie wyraźnie zapisał się powolny styl jego mowy, można też wyobrazić sobie jego gesty. Jak oburącz ściska stułę I stopniowo zmierza do punktu kulminacyjnego, do jednego słowa czy zwrotu. Dotyczy to utrwalonego na taśmie zdania: «...staną potem w kościele i ogłoszą to».

Odwracalby głowę (1) z lewej strony na prawą (2), potem z prawej na lewą (3), a następnie spojrzalby wprost na wszystkich zgromadzonych.

Tak, jestem ze wszech miar przekonany, że przybył na rozmowę jest doktor Cosmo Lang".

Współpraca bywa owocna. Tylko czy ich opinie są miarodajne? W świetle słów Langa, że w przyszłym świecie nikt nie potrafi idealnie odtworzyć swego ziemskiego głosu, chyba nie.

- Wielu ludzi z tej strony - twierdził Oscar Wilde - próbuje dużo powiedzieć, a w rezultacie nie mówi prawie nic. Z tego powodu trzeba wykorzystywać tę nadzwyczajną metodę porozumiewania się. Nie wiem, dlaczego nie wymyślą czegoś łatwiejszego w użyciu, skutoczniejszego, lepiej dostosowanego i sprawniej działającego.

Ellen Terry szeroko omówiła ten problem w 1965 roku. Nawet najbardziej doświadczonym nie jest łatwo przyjsć, nawiązać kontakt i prowadzić swobodną, normalną konwersację. Uważam, że już sam fakt, iż w ogóle możemy się kontaktować, jest cudem. A jednak ludzie w waszym świecie, chociaż mają dowody, aczkolwiek wielu komunikujących się z wami czyniło to z powodzeniem, nadal borykają się z problemami i ciągle mają wątpliwości.

Oczywiście my to wszystko rozumiemy. Ważne jednak, aby uświadamiać sobie, iż proces porozumiewania się zachodzi na płaszczyźnie umysłowej. Gdy wysyłane myśli docierają do celu, mogą zostać spaczone lub źle odczytane. Dodając jeszcze do tego fakt, iż istnieje dużo słów na określenie jednej rzeczy i wiele, wiele słów może mieć podobne znaczenie, to być może nie ma możliwości dokładnego zdefiniowania tego, co próbujemy powiedzieć.

Chciałabym też zwrócić uwagę, że ów "przekaznik" ma za zadanie w sposób właściwie sztuczny przekazać indywidualne cechy charakteru, osobowości, dźwięku, głosu, wszystko, co odbieracie, i choć nasze głosy brzmią być może - oczywiście mamy taką nadzieję -

całkiem naturalnie, to jednak nadal jest to mówienie tylko za pomocą "przekaznika" mającego spełniać funkcje narządów mowy, w które wyposażeni byliśmy na ziemi. Wy tam na ziemi macie własne ciała, własne narządy głosu i życie w naturalnych dla siebie warunkach, możecie więc zwyczajnie i swobodnie artykułować głos - powodować drgania powietrza tworzące dźwięki. Dla nas jest to sztuczna czynność.

Stajemy przed tym "przekaznikiem", koncentrujemy myśli najlepiej jak potrafimy, uczestniczymy w seansie całą osobą.

Na pewno sami wiecie, jak trudno jest zachować jasność umysłu i być precyzyjnym w tym, co się próbuje przekazać i wypowiedzieć w normalnych, ziemskich warunkach. O ile trudniejsze musi to być dla nas!

Zbyt trudne, aby głosy w zadowalający sposób przeszły próbę.

Czy istnieje jeszcze jakiś inny test? Nie ma sposobu, aby potwierdzić obserwacje poczynione na tamtym świecie. To, co mówili nam o świecie naszym, dawno już wiemy. Czy istnieje jakiś neutralny grunt, na którym obydwaj byty się spotykają? I gdzie relacje z przyszłego świata mogą sprawdzać ci, co żyją na tym? Czy tym miejscem zbornym jest śmierć?

Dowód ostateczny

Niedługo po tym, gdy George Wilmot, handlarz starszyzną, osiadł u francuskiej rodziny, powrócił jego przewodnik, aby sprawdzić, jak się sprawy mają. Wilmot zwierzył mu się z niepokojem przed wciąż żyjącymi na ziemi jego ekszonami.

- Jedna z nich - rzekł przewodnik - wkrótce zejdzie z tamtego świata. Pomógłbyś jej, gdybyś poszedł się z nią zobaczyć. - Wilmot w końcu zdecydował się tak uczynić. Chciał zobaczyć jej śmierć.

Znalazł się na ulicy, spacerował.

- Było to bardzo dziwne miejsce. Mnóstwo niemal jednakowych domów. Znalazłem się w pokoju staroświeckiego, wiktoriańskiego domu. Moja stara leżała na żelaznym łóżku. Wyglądała tak, jakby była jej tylko połowa!. Chyba nie powinienem tak o niej myśleć. "Mój Boże, wiele mi oszczędziłeś. Wiem, że źle jest tak myśleć, ale nigdy me należała do najprzystojniejszych". W każdym razie wyglądała upiornie. Wtedy ten Michael (przewodnik) spytał:

Wiesz że ona niedługo stąd zejdzie?"

"Słyszałem od ciebie" - odrzekłem. "Nie sądzę, żeby cię poznawała, ani nawet widziała. Oni bardzo rzadko nas dostrzegają. Stań po prostu przy jej łóżku i skup się na niej."

"A niby z jakiej racji? Ona wcale mnie nie obchodzi".

"Posłuchaj - rzekł. - Musisz się nauczyć, że choć z niektórymi ludźmi nie żyłeś w najlepszych stosunkach i nie kochałeś ich za bardzo, to w pewnych okolicznościach masz wobec nich obowiązek do spełnienia. Poza tym to jej pomoże".

Stanąłem więc przy niej. I wtem zauważyłem, że ona jakby zmienia kolor. Wyglądało to tak, jakby na jej policzki wrócił rumieniec, jakby pojaśniały jej oczy i całkiem zmienił się jej wygląd. Usłyszałem, jak wypowiada moje imię. Mówię wam, dziwnie mi się

jakoś w środku zrobiło. Stojąc tam poczułem się jak niespełna rozum.

W każdym razie wyciągnęła przed siebie dłonie i wtedy znów ujrzałem, że się zmienia. Coś się stało. Dookoła niej pojawiło się światło. Wtedy zobaczyłem innych ludzi wchodzących do pokoju i tworzących koło. W dwojgu z nich rozpoznałem jej rodziców. Ona natomiast zdawała się unosić. Tylko tak to potrafię określić. Unosiła się ponad swoje ciało. Teraz to brzmi trochę głupio, ale cofnąłem się schodząc jej z drogi, aby mnie nie zawadziła.

"Opuszcza teraz swoje ciało - szepnął do mnie Michael. - Nic jej nie będzie. Zobaczysz, zaraz ją zabiorą. Przyszli jej z pomocą ojciec, matka i przyjaciele. Chciałem żebyś tu przyszedł, bo też jej w pewien sposób pomogłeś. Nawet sobie nie zdajesz sprawy jak bardzo".

"Bardzo to dziwne - mruknąłem. - Mieszkała tu tak sama". "Tak - odrzekł. - Najwyraźniej od wielu lat mieszkała samotnie i nikt zbytnio się o nią nie troszczył. Przypuszczalnie inni mieszkańcy tego domu nie wiedzieli nawet, że leży chora przykuta do łóżka. Pewnie znajdują ją martwą dzisiaj, a może dopiero jutro. No ale to nie takie ważne. Trzeba jej było pomóc w tej trudnej chwili".

Wszystkie rozpatrywane dotąd doniesienia głosów dotyczyły wydarzeń rozgrywających się po ich własnej śmierci. Ta jest inna. Przedstawia nam chwilę przed śmiercią i samą śmierć oglądaną z perspektywy świata duchów.

Opis Wilmota zawiera dwa spostrzeżenia:

1. Żona w chwili śmierci poczuła jego obecność w pokoju, a na spotkanie wyszli jej rodzice oraz przyjaciele.

2. Kiedy umarła, psychiczne albo eteryczne ciało opuściło fizyczną powłokę i uleciało wwyż.

Czy spostrzeżenia te potwierdzają relacje dotyczące śmierci pochodzące od żyjących osób?

W odpowiedzi na swoje artykuły o życiu po śmierci otrzymałem tysiące listów. Jeden z nich napisała emerytowana pielęgniarka Vivien Keddie z Wells w Somerset.

"Kiedy ciężko zachorowałam i nie miałam już nadziei na przeżycie - pisała - wydawało mi się, że opuszczam łóżko i zmiernam ku stojącej w pokoju matki, na twarzy której malował się ciepły uśmiech. Miała wyciągnięte ręce, jakby czekała na mnie. Nie powiedziała ani słowa i wydawało mi się, że między nas padł cień. Wyczułam, że nie nadszedł jeszcze mój czas, i wróciłam do łóżka".

Pani Marjorie Flint z Anlaby Road w Hull przysłała następujący opis śmierci swej matki:

"Matka moja od pewnego czasu nie odzyskiwała świadomości. Nagle usiadła sztywno na łóżku, wyciągnęła dłonie i powiedziała: «O, moja mamusia! Prawda, że pięknie wygląda?».

Kiedy objęłam ją ramieniem i z powrotem położyłam, próbowała się wyrwać i krzyczała: «Wypuść mnie!».

To były jej ostatnie słowa. Jestem pewna, że moja babcia przyszła jej z pomocą i została jej przewodniczką".

Zostało ustalone, iż w niektórych przypadkach przychodzący z przyszłego świata duchowi pomocnicy

dostrzegani są przez ludzi obdarzonych umiejętnością widzenia ich.

Pani Woodcock z Ringmead w Hampshire opowiadała mi: - Matka moja ulegała atakom. Zatrudniliśmy do niej pielęgniarkę. Następnego dnia rano pielęgniarka opowiedziała, że o trzeciej w nocy ujrzała przy łóżku mej matki postać dziewczynki. Kiedy zapytała postać, o co chodzi, otrzymała odpowiedź: "Przyszłam tylko po swoją mamę". Zaraz potem postać zniknęła.

Matka umarła następnej nocy o trzeciej godzinie.

Pielęgniarka obejrzała potem zdjęcie mojej nieżyjącej siostry i stwierdziła: "To ta sama dziewczynka, którą widziałam przy łóżku".

Jeszcze dziwniejszą historię opisała pani K. McLaughlin z Northborough Road w Norbury w południowym Londynie:

Czy da się znaleźć dowody pochodzące od żywych ludzi, które potwierdziłyby ustalenia Wilmota stwierdzające, że w momencie śmierci psychiczne ciało odrywa się od ciała fizycznego, wlatuje, a potem osiąga przyszły świat? Czy ktoś z tego świata widział, jak to się odbywa?

Wśród osobliwych historii kolekcjonowanych przez Crookalla znajduje się relacja amerykańskiego lekarza R. B. Houta ze stanu Indiana, który posiadał rzadkie zdolności parapsychiczne. Siedząc przy łóżu śmierci swej ciotki ujrzał niezwyklej twór:

"Moja matka zginęła od wybuchu bomby w 1944 roku. W 1948 roku u ojca wykryto raka płuc. Opiekowałam się tatą, aż umarł w 1950 roku.

Po południu przed śmiercią rozmawiałam z nim, gdy nagle odwrócił głowę, uśmiechnął się i rzekł: «Już niedługo, najdroższa».

Następnego ranka ojciec umarł. Mój trzyletni syn urodzony po śmierci babci czekał na dole, bo chciał zobaczyć się z dziadkiem. Kiedy zabrałam go do salonu, powiedział nagle: «Mamusiu, nie podoba mi się ta pani. Ona poszła do dziadziusia, a mnie nie wolno».

Na górze nikogo nie było. Syn mógł widzieć tylko duchową formę mej zmarłej matki".

"To astralne ciało zawisło pionowo kilka stóp ponad swym fizycznym odpowiednikiem.

Było przejrzyste i leżało spokojnie. Natomiast ciało fizyczne poruszało się niespokojnie i wiło z bólu. Wyraźnie widziałem rysy twarzy ciała astralnego. Były podobne do twarzy ciała fizycznego, tylko zamiast starości i bólu wyrażały błogi spokój.

Wujek, zmarły mąż ciotki, stał obok łóżka. Był tam też nieżyjący od wielu lat syn".

Doktor Robert Crookall, kiedyś naczelny geolog w Instytucie Geologicznym Jej Wysokości, poświęcił długie lata na emeryturze na szukanie dowodów potwierdzających istnienie życia po śmierci. Doszedł do interesujących konkluzji.

- Wygląda na to - stwierdził - iż nie ma ani jednego zarejestrowanego przypadku, kiedy umierająca osoba nie widziałaby żywego znajomego, którego błędnie uważała za zmarłego. Z drugiej jednak strony mamy wiele zarejestrowanych przypadków, gdy umierający ludzie widzą przyjaciół, których uważali za żywych, a którzy jednak umarli.

Oświadczenie to samo w sobie znaczyło niewiele.

Jednakże gdy tylko je opublikowałem, posypały się listy od ludzi, którzy otarli się o śmierć lub nawet

przeżyli śmierć kliniczną - przestały bić ich serca - a potem ożyli i powrócili do świata.

Twierdzili, iż automatycznie zaczął się toczyć proces przejścia z jednego świata do drugiego. A potem proces ten musiał się cofnąć.

Pani C. M. Langridge z Poole w Dorset napisała:

"Przeszłam trudną operację. Trzy dni później przyszedł mnie odwiedzić mąż i zapytał, jak się czuję. Odpowiedziałam, że nie najlepiej. Niemał w tej samej chwili przestałam odbierać jakiegokolwiek bodźce ze świata materialnego. Znalazłam się poza swym ciałem. Zawisłam w powietrzu i spoglądałam z góry na siebie. Reanimowało mnie troje czy nawet czworo ludzi.

Później, kiedy już powróciłam do ciała, zapytałam męża, co by się stało, gdyby na sali nie było nikogo. Odpowiedział, że miałam zapasć, a on wezwał siostrę, która z kolei ściągnęła lekarza, a gdyby nie zaczęli działać w przeciągu kilku minut, umarłabym".

"Ciężko zachorowałam i powoli zapadałam w sen. Straciłam przytomność i nagle wydało mi się, że się ocknęłam. Nie czułam bólu, ale wiedziałam, że umieram, bo zaczęłam się unosić. To było jak przeglądanie się w lustrze. Wiedziałam, że to nie jestem prawdziwa ja".

Pani C. A. Paton z Hove z Sussex miała już podpisany przez lekarza akt zgonu. Czuła, że "unoszą się chętnie, łatwo i szybko". Potem poniosło ją do, jak to opisała "cudownego miejsca". Pojawił się pomocnik albo przewodnik, jak przedstawił się nie używając słów. "Chętnie bym poszła - odezwała się do niego - ale muszę wracać do męża". On zaś odpowiedział: - "to będzie trudne, ale pomogę ci". Przybyła z powrotem, straciła wrażenie lekkości i zaczęła odczuwać ból. W końcu znalazła się z powrotem w swej sypialni i ujrzała własnego trupa.

Pielęgniarka coś pisała. Pani Paton obudziła się w fizycznej formie i przemówiła do niej. Pielęgniarka wypuściła z ręki pióro i zaczęła wrzeszczeć.

Pani Paton w chwili swej "śmierci" zauważyła w domu parę rzeczy, których nie dostrzegła leżąc w łóżku. Po powrocie do ciała i odzyskaniu świadomości opisała swoje spostrzeżenia. Opis pokrywał się z prawdą.

W 1968 roku znów napisałem serię artykułów przedstawiających podobne przypadki. Dzięki temu zapewniłem sobie kolejną porcję listów relacjonujących podobne historie.

Pani M. Veitch z Redcar w Yorkshire napisała tak:

Pani Pat Cherry, wówczas pięćdziesięcioośmioletnia kobieta, opisała poważną operację żołądka, jakiej się poddała w szpitalu rejonowym w Northallerton.

"Rozlegało się dziwne charczenie. Potem poczułam, że unoszę się ponad łóżkiem patrząc w dół na swe blade, z trudem łapiące oddech ciało. Czułam, że ulatuję".

Coś takiego zdarzyło jej się trzy razy. Przy ostatniej okazji widziała pielęgniarkę wzywającą lekarza, który zrobił jej zastrzyk w rękę. Wróciła więc do swego fizycznego ciała i straciła przytomność.

Patricia Ariss z Daventry miała operację w Szpitalu Królowej Elżbiety w Birmingham, w celu usunięcia zaatakowanej rakiem tkanki. Zabieg trwał sześć godzin.

Opisywała:

"Poczułam nagle, jak unoszę się nad stołem operacyjnym i spoglądałam na zespół pracujący przy moim ciele. Minał ból, który czułam przed operacją i doznałam uczucia spokoju".

Ujrzała swą matkę, której tuż przed śmiercią amputowano lewą nogę, a teraz wyglądała młodo i miała obydwie nogi. Matka powiedziała do niej: "Jeszcze nie teraz", a Patricia Ariss obudziła się następnego dnia w szpitalnym łóżku.

"Tak - potwierdziła pielęgniarka - przeżyła pani podczas operacji śmierć kliniczną, a nam przypadło zadanie reanimowania pani".

Zbiór nieprawdopodobnych opowieści? Czy zdarzyły się one naprawdę, czy to tylko wytwór snów rojonych w malignie?

Dziwne doświadczenia z opuszczaniem fizycznego ciała, a potem powracaniem do niego, znane są jako "projekcje astralne" lub "doświadczenia spoza ciała". Istnieją przekonujące dowody, że ludzie utrzymujący, iż mieli tego rodzaju doświadczenie, obserwowali zdarzenia i sceny odbywające się czasem setki mil od ich fizycznych ciał, co potwierdzali później niezależni świadkowie.

Na ile jest to powszechne zjawisko? Badania wskazują, że dzieje się to częściej, niż mogłoby nam się wydawać. W jednej z ankiet, przeprowadzonej pod koniec lat pięćdziesiątych na dwustu Anglikach chodzących do kościoła, nie mniej niż dziewięćdziesięciu (czterdzieści pięć procent) przyznało się, iż przynajmniej raz miało do czynienia z takim doświadczeniem.

Nasuwa się prosty wniosek. Skoro za życia nasza egzystencja trwa po utracie świadomości i opuszczeniu fizycznego ciała to dlaczego nie miałyby dziać się tak samo po śmierci?

Nie mamy żywych świadków. Nasi świadkowie mają już śmierć za sobą. Możemy sobie tylko zadawać pytanie, czy ich głosy brzmią przekonująco? Czy potwierdzają swoje spostrzeżenia? A może zaprzeczają sobie nawzajem?

Wszyscy opowiadający o swoich doświadczeniach Woodsowi i Berty Greene twierdzili, że żyli na tym świecie, umarli i odnajdywali się w świecie przyszłym. Czy opisy tego, w jaki sposób tam się dostali i co zastali po przybyciu, zgadzają się?

Spróbujmy odwrócić to pytanie. Przypuśćmy, że istnieje jakiś inny świat, gdzie ludzie żyją, umierają, a potem przybywają na ziemię. Załóżmy, że z pół tuzina takich osób znalazło się w naszym świecie i wysłała raporty tym, którzy zostali, o warunkach, w jakich się znaleźli tutaj. Co by o nas mówili? Gdyby wszyscy przybyli do Wielkiej Brytanii, tu się osiedlili u swoich krewnych, to relacje miałyby ze sobą wiele wspólnego. Jednakże doniesienia o życiu w szkockich górach i na londyńskim East Endzie mogłyby zawierać odmienne: na pierwszy rzut oka wykluczające się informacje.

A gdybyśmy wzięli pod uwagę tak różne od siebie miejsca jak Preston i Pekin, Calgary i Kalkuta, Toronto i Timbuctoo? Czy ktoś dałby wiarę, iż ich opowieści pochodzą z tego samego świata lub że ten świat w ogóle istnieje?

Głosy opowiadały nam o istnieniu w przyszłym świecie wielu sfer oraz o tym, że każdy trafia do miejsca najbardziej odpowiadającego jego charakterowi i rodzajowi życia, jakie wiodł na ziemi.

Przyjmijmy, że z tego względu muszą istnieć różnice.

Jeśli możemy w relacjach złożonych Woodsowi i Betty Greene dopatrzeć się jakiejś wewnętrznej

spójności, to czy możemy je porównać z innymi doniesieniami na temat życia po śmierci zdobytymi przy pomocy innych, całkiem niezależnych metod komunikacji z przyszłym światem?

Metodę budzącą największy szacunek, nie wymagającą mediów i często akceptowaną przez tych, co odrzucają сеанse spirytystyczne, określa się nazwą: pisanie machinalne (automatyczne). Jedną z najbardziej znanych w Wielkiej Brytanii osób zajmujących się pisanem machinalnym jest Grace Rosher.

Gdy odwiedziłem ją w mieszkaniu w Kensington, upierała się, że nie jest żadnym medium i nigdy nawet nie myślała o organizowaniu seansów. Była zwyczajną, uczęszczającą do kościoła chrześcijanką. Pewnego dnia pod koniec lat pięćdziesiątych usiadła, aby skrobnąć coś do przyjaciółki. Przyłożyła trzymane w dłoni pióro do kartki.

Nagle odniosła wrażenie, że otrzymuje jakieś przesłanie brzmiące:

"Przyłóż rękę i patrz, co się stanie". Niemal natychmiast pióro zaczęło pisać swoim własnym tempem: "Od kochającego Gordona".

"Kto za tym wszystkim stoi?", pomyślała. Pióro odpowiedziało: "ja, Gordon. To ja Gordon".

Cztery dni później, gdy zebrała się na odwagę, aby jeszcze raz w ten sam sposób chwycić za pióro, pisała przez pół godziny. Powstały tekst napisany został charakterem pisma Gordona Burdicka. Piętnaście miesięcy wcześniej przygotowywał się on do wyjazdu z Vancouver z Kanady, aby pojąć Grace Rosher za żonę. W noc przed odpięciem umarł.

Stowarzyszenie kościelne, do którego się zwróciła po pomoc, wysłało próbki tego tekstu oraz fragmenty listów pisanych przez Burdicka za życia do mieszkającego w Woking w Surrey grafologa F. T. Hilligera. Specjalista ten stwierdził, iż obydwa teksty napisane zostały ręką tej samej osoby.

W 1961 roku Grace Rosher napisała książkę zawierającą relację Burdicka na temat tego, co działo się z nim po śmierci. Jak jego doniesienia mają się do opowieści głosów?

"Zasnąłem - pisał - i nagle znalazłem się we wspianym ogrodzie. Spacerując dokoła ujrzałem zmierzającą w mój kierunku matkę. "Synku - odezwała się do mnie. - Przyszłam zabrać cię do domu".

Poszedł z nią do domu, gdzie został przyjęty przez brata i siostry, którzy zmarli przed nim. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, i uważał, że z pewnością to sen. Oni twierdzili, że umarł. Zabrano go do szpitala, kazano odpocząć, a potem mógł wrócić do domu i rodziny.

Co opowiadał o swym nowym życiu?

Kiedy umieramy, tworzymy sobie własne niebo lub piekło, które jest stanem naszej świadomości uwarunkowanym sposobem życia na ziemi. Domy i ogrody są bardzo podobne do ziemskich. Nosimy ubrania. Istnieją miasta z uczelniami, galeriami i salami koncertowymi. Rosną cudowne kwiaty, nie ma pieniędzy. Można jeść co się chce, lecz odżywianie nie jest koniecznością.

Można podróżować do woli. Można się uczyć, czego się chce. Żyją tu masy ptaków i zwierząt. Człowiek tak samo wygląda i tak samo odczuwa jak na ziemi. Jedyną więzią łączącą ludzi jest miłość. Po jakimś czasie człowiek czyni postępy i przenosi się do wyższych sfer.

Opis ten brzmi dziwnie znajomie.

Czy jesteśmy w stanie porównać wszystkie doniesienia utrzymujące, że są opisami życia pozagrobowego? Jediną osobą, która usiłowała utworzyć zestawienie, jest Robert Crookall. Cztery lata poświęcił na zbieranie relacji ludzi utrzymujących, że zmarli, i opisujących doświadczenia zdobyte krótko po śmierci. Wyniki swych badań przeanalizował w książce wydanej w 1961 roku".

Niemożliwe, rozumował, aby wszyscy ludzie utrzymujący, że otrzymali wiadomość z zaświatów, działali w zмовie. Nawet, jeśli media fałszowałyby doniesienia, to nie do wiary, aby wszystkie ich komunikaty mogły być częścią zorganizowanego, globalnego oszustwa. Jeśli informacje otrzymywałyby telepatycznie z umysłów uczestników seansów, to czy ci wszyscy ludzie mogliby mieć identyczne pomysły na przenoszenie się poprzez śmierć do innego świata?

Nie były one jota w jotę takie same. Jednak od wysp Pacyfiku po Europę i Amerykę relacje posiadają silną wewnętrzną spójność, ich charakter w ogromnej mierze pokrywa się z treścią wypowiedzi głosów rozmawiających z Woodsem i Bertą Greene.

Dlaczego wszystkie doniesienia są takie podobne?

Możliwe, że dlatego, iż pochodzą z tego samego źródła. Z jakichś sfer znajdujących się w innym świecie, do którego trafimy po śmierci.

Jeśli jest to wyjaśnienie prawdziwe - nikt dotąd nie udowodnił, iż jest tak w istocie - to czy możliwe, aby głosy przemawiające do Woodsa i Betty Greene za pomocą zdolności mediumicznych Flinta zdały nam najpełniejszą i najbardziej szczegółową relację na temat doświadczenia, które stanie się udziałem każdego, kiedy nasze życie na tym świecie dobiegnie nieuchronnie do końca?